

93 346.1
STANISŁAW SCHNÜR-PEPŁOWSKI.

OBRAZY
Z PRZESZŁOŚCI
GALICYI I KRAKOWA
(1772—1858)

I.

LWÓW
NAKŁADEM KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA
1896.

I.

LWÓW I LWOWIANIE

3/1

WYDAWNICTWO KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.

Aer. Pierwszy romantyk, powieść	zlr. ct.
	2 60
Biblioteka polska. Każdy tom brosz. 1 zlr. 80 ct., w opraw.	2 30
T. I. II. Erasiński Z. Pisma. Wydanie z przedmową Stanisł. hr. Tarnowskiego, 2 tomy. — III. — IV. Mickiewicz Adam. Dzieła. Wydanie zupełne przez dzieci autora dokonane, 4 tomy. — VII. — X. Zaleski B. Poezje. Wydanie przejrane przez autora. — XI. Pamiętniki Paska. Wydanie nowe krytyczne, przejrane przez dr. Węclowskiego. — XII. Niemcewicz Jan. Jan z Teczyna. Powieść histor. — XIII. — XVI. Słowacki Juliusz. Dzieła. Wyd. przejr. przez prof. dra. A. Małeckiego. — XVII. — XIX. E...ly Assnyk Adam. Poezje, 3 tomy. — XX. — XXII. Małecki A. Życie i pisma Juliusza Słowackiego, wydanie drugie znacznie pomnożone, 3 tomy. — XXIII. J. Wybicki. Pamiętniki. — XXIV. — XXV. Mickiewicz A. Dzieła. — V. VI. — XVI. — XXVIII. Mickiewicz A. Korespondencja, 3 tomy. XXIX. — XXXI. Kitowicz Z. Pamiętniki i pisma historyczne, 3 tomy. — XXXII. — XXXIII. Kitowicz Z. Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III., 2 tomy. XXXIV. — XXXVII. Romanowski M. Pisma, 4 tomy. — XXXVIII. — XXXIX. Słowacki J. Listy, 2 t., wydanie II. znacznie pomnożone. Słowacki J. Pisma pośmiertne, 3 tomy, wydanie II. znacznie pomnożone. — XLIII. — XLIV. Erasiński. Pisma. — XLVI. Kraszewski J. I. Poezje. — XLVI. — XLVII. Lenartowicz T. Pisma pośmiertne. 4. części Wydanie dr. W. Bruchnańskiego	
Abraham W. Dr. Organizacya Kościoła w Polsce do połowy XII. w. wydanie drugie znacznie powiększone	3 60
Biliński Dr. L. System ekonomii społecznej 2 tomy	10 —
Erznikowski Jan III. Sobieski i dwór jego, czyli Polska w XVII. w. 2 tomy	4 20
Feliński E. S. arcyb. Wiedza chrześcijańska i bezbożna wobec zadań społecznych	3 —
Dr. Antoni J. Opowiadania historyczne. Serya VI.; Iwan Podkowa; ks. Bazyli Ostrogski i zatarg z Kosińskim; S. Nalewajko; T. L. Grabianka i Stanisław August w Grodnie	3 40
— Opowiadania historyczne. Serya VII.: Zbrodnia kamieniecka; Beatrice; Zakładnicy lwowscy; Fatyma; Babka; Spuścizna po księciu Nassauskim; Spuścizna po Humieckich;	3 20
Głabiński St. Dr. Pojęcie nauki skarbowej	1 60
— Wykład nauki skarbowej	5 —
Gubrynowicz Br. Dr. Kazimierz Brodziński. Przyczynek do biografii i charakterystyki	— 60
— Artykuł Brodzińskiego o Mickiewiczu	— 20
— Malarze na dworze Jana III. Szkic historyczny	— 40
— Piast Dantyszek. Kartka z twórczości J. Słowackiego	— 40
— Wincenty Reklewski. Szkic literacki	— 40
Koźmian An Ed. Listy od r. 1829 do r. 1864, 4 tomy	14 49
Koźmian St. Lysistrata, czyli wojna o pokój, komedia w czterech aktach, podług Aristofanesa	1 80
Kraśiński Zygmunt. Listy, I—III, każdy tom	3 20
I. Listy do Konstantego Gaszyńskiego, z przedmową J. I. Kraszewskiego z portretem autora.	
II. Listy do Adama Soltana, z przedmową J. I. Kraszewskiego	
III. Listy do J. Słowackiego, R. Żalńskiego, E. Jaroszyńskiego, Kajetana, Andrzeja i Stanisł. Koźmianów, B. Trentowskiego.	
Kubala L. Dr. Jerzy Ossoliński. 2 tomy	7 60
Liske Z. Cudzoziemcy w Polsce. Podróże i pamiętniki	4 20
Listy Jana III. króla polskiego, pisane do królowej Kazimiry	2 80
Ludzie i wypadki z r. 1861—1865 obrazki z powstania 2 tomy zebrał i ułożył Pułkownik Strus	4 60
Łoziński Wład. Nowe opowiadania J. M. C. Pana Wite Narwoja	4 —
— Patrycyat i mieszczaństwo lwowskie, z 107 rycinami. Wyd. I ^o	10 —
Małecki A. Studya heraldyczne. 2 tomy	6 —
— Gramatyka histor. porównawcza języka polskiego. 2 tomy	6 —
Rolle Michał. Z Przeszłości. Starostwo Barskie	2 60

B 346.1

STANISŁAW SCHNÜR-PEPŁOWSKI.



OBRAZY
Z PRZESZŁOŚCI
GALICYI I KRAKOWA
(1772—1858)

I.

LWÓW
NAKŁADEM KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA
1896.

3/1

№ 8 a 1

117961. 1

II



SPIS RZECZY.

I. Lwów i Lwowianie	Str. 1
-------------------------------	------------------

(Lwów w dobie porozbiorowej. — Pożary przedmieść i śródmieścia. — Straż ogniowa. — Trzęsienia ziemi. — Rynek — Stary ratusz. — Zawalenie się wieży ratuszowej. — Budowa nowego ratusza. — Bruki. — Pan pisarz Rzewuski. — Życie towarzyskie. — Indyjski książę. — Arcybiskupia kamienica. — Sprawa o arsenał Rzeczypospolitej. — Panna Antonina. — Pierwsza siedziba władz austriackich. — Kamienica Andreollego. — Plac kapitulny. — Szpital i kaplica św. Ducha. — Kościół jezuicki. — Pierwsza sesya Stanów Galicyjskich. — Gmachy pofranciszkańskie. — Teatr i sale redutowe. — Kontrakty zimowe. — Letni karnawał. — Jarmarki na wełnę i na Świętą Agnieszkę. — Niższy zamek. — Budowa Skarb kowskiego teatru. — Gmachy potrynitarskie. — Posiedzenia Stanów w dawnym kościele. — Uniwersytet. — Szkoła techniczna. — Traktyernia pod Strzelcem. — Józef Mauss. — Ucząca się młodzież. — Brama Krakowska. — Posiadłość Towarzystwa Strzeleckiego. — Ulica Ormiańska. — Katakomby Dominikańskie. — Furta Bosacka. — Brama halicka. — Przedmieście halickie. — Wały hetmańskie. — Pełtew i jej wylewy. — Posąg Jabłonowskiego. — Figura św. Michała. — Szkarpy gubernatorskie. — Pałac Namiestnictwa — Arcyksiążęta: Ferdynand d'Este i Franciszek Modeński. — Urząd pocztowy. — Karmelici w r. 1809. — Arcybiskup Pisztek. — Pałac Arcybiskupi. — Siostry Miłosierdzia. — Wysoki Zamek. — Kopiec Unii Lubelskiej. — Czerwony Klasztor. — Lonszanówka. — Zakład Orłowskiego. — Strzelnica miejska. — Ziętkiewicz. — Milicya miejska. — Klasztor Franciszkański.

kita. — Łańcut. — Księżna marszałkowa Lubomirska. — Goście w Łańcuckim zamku. — Katarzyna Starzeńska. — Alfred Potocki. — Wyścigi i polowania. — Sieniawa. — Księżę jenerał ziem podolskich. — Domownicy i przyjaciele książąt. — Uroczystość króla migdałowego. — Pani Morska. — Ziemiaństwo galicyjskie. — Józef i Ignacy Kalinowscy. — Rozbitki z listopadowej rewolucyi. — Kolbuszowa. — Zarzecze. — Pułkownik Kuszel. — Protokoły spisywane z wychodźcami. — Ukraińcy we Lwowie. — Mistyfikacja Langenaua. — Samozwańcy. — Przygoda Alopeusa. — Polki w dobie ucisku. — Felicya Tyszkiewiczowa. — Radziszewska, Swobodówna. — Towarzystwo Sióstr. — Schadzki u Malsburgowej. — Biurokracya. — Jej charakterystyka przez Fredrę. — Baron Krieg. — Fryderyk Langenau. — Leopold Sacher - Masoch. — Karol Krauss. — Józef Pressen. — Maurycy Wittman. — Filip Krauss. — hr. Łażański. — Chomiński. — Kalchberg. — Agenor hr. Gołuchowski. — Szkolnictwo galicyjskie. — Szkoły normalne i trywialne. — Szkoła wzorowa w Przemyśle. — Złota księga szkoły lwowskiej. — Gimnazya galicyjskie. — Profesor Niemeczek. — Nauczyciele klasowi. — Program naukowy. — Młodzież przemyska. — Reorganizacya systemu szkolnego. — Konspiracya dzieci) 400

WAŻNIEJSZE OMYŁKI DRUKU.

Str. 24., w. 6 z góry, zamiast: dwudziestym — ma być: dziewiątym.
 Str. 24., w. 11 z góry, zamiast: l. 16 — ma być l. 10.

I.

Dzieje przeobrażania się starego Lwiego grodu w miasto nowoczesne nieznane są niemal zupełnie żyjącemu pokoleniu, dla którego fizyonomia Lwowa od czasów rewindykacyi do połowy bieżącego wieku jest czemś zupełnie nowem, obcem. Przez długie lata sądzono nawet, że gród ten z doby porozbiorowej nie posiada żadnych wspomnień, ni też cenniejszych pamiątek. Co prawda, pod względem dziejowych zabytków nie może Lwów iść w porównanie z stuwieżycowym Krakowem, który i dłużej pozostawał w posiadaniu macierzystej Rzeczypospolitej i w późniejszych lat dziesiątkach zdołał zachować swą udzielną jako wolne, niepodległe i ściśle neutralne miasto.

Do skreślenia obrazu, jaki przedstawiał Lwów w latach 1772—1850 niezbyt wiele posiadamy materyałów. Dzienniczek Thulliego, relacye Krattera, Feyerabenda, Rohrera, artykuły Raspego, Pindtera, Schneidera i Meechofera, kilkadziesiąt rycin, zachowanych w tekach biblioteki Pawlikowskich, kilka obrazów Langa, przedstawiających Lwów a uratowanych szczęśliwie od zniszczenia w zbiorach archiwum miejskiego — oto wszystko, co posłużyć może obok urywkowych, dziennikarskich wzmianek, do odtworzenia postaci Lwowa z dawnych, lepszych czasów — jak mawiali starzy.

Jedną z przyczyn, dla których niewiele stosunkowo starożytnych budowli zachowało się z przeszłości w tem mieście, były częste pożary, jakich ofiarą padał wielokrotnie Lwów średniowieczny. Płonęły niejednokrotnie i obszerne przedmieścia naszego grodu, zapalane przez najeźdźnicze hordy tatarskie, kozackie, tureckie a i śródmieście, zabudowane po części budynkami dre-

wnianymi, krytymi gontem, ścieśnione w obrębie murów i wałów, stawało się bardzo często pastwą płomieni.

Po raz ostatni spłonęły lwowskie przedmieścia, podpalone rozmyślnie w czerwcu 1796 roku, podczas szturm Barszczan na miasto. Chcąc utrudnić atakującym konfederatom przystęp do murów i wałów miejskich, podпалиł komendant Lwowa, Felicyan Korytowski, domostwa, położone w okolicy furty jezuickiej. Ogień, podniecany wiatrem, przerzucił się następnie ku południowi i zniszczył znaczną część halickiego przedmieścia.

Pożary w śródmieściu były w przeważnej części skutkiem nieostrożności mieszkańców, zwłaszcza starozakonnych, osiadłych głowa przy głowie, w dzielnicy żydowskiej. I tak pierwszy znaczniejszy pożar, zapisany w kronikach miasta, wybuchł w dniu piątym sierpnia 1494 roku w dzielnicy, zamieszkałej przez żydów. Poszły wówczas z dymem: ulica Ruską, Zarwanica, pięć baszt, stare i nowe parkany miejskie, z których płomień przerzucił się na dzisiejszą ulicę Łyczakowską. Król uwolnił pogorzelców na przeciąg lat piętnastu, zaś ogół mieszczan na lat dziesięć, od wszelkich podatków i danin. Zaledwo jednak lat dziesięć minęło od daty owej klęski, gdy znów w roku 1504 pożar wybuchł mniej więcej w tem samem miejscu przez nieostrożność pewnego mieszczanina, Pawła. Spłonęła wówczas cała część miasta południowo-wschodnia, zamknięta dziś ulicami: Ruską i Sobieskiego. Ofiarą płomieni padły: siedm baszt, woskobójnia i stajnie miejskie. Sprawca katastrofy, ów nieszczęsny Paweł, przeprosić musiał panów radnych i opłacić się ofiarą czterdziestu złotych oraz czterech koni na rzecz miasta. W roku 1511 zapisują znów kroniki lwowskie wielki pożar, niewiadomo w której dzielnicy miasta. Pożoga wszakże musiała być znaczną, gdy przyzwolono mieszczanom na sześćioletnią wolność od podatków.

Natomiast pożar, który nawiedził miasto z końcem czerwca 1527 roku, groził Lwiemugrodowi zupełną zagładą. Ogień wczął się w domu, stojącym w miejscu dzisiejszego muzeum im. Dzieduszyckich i podniecany zachodnim wiatrem począł się

szerzyć w dwóch równocześnie kierunkach, zajmwszy z jednej strony dzisiejsze ulicy: Ormiańską, Skarbkowską i Krakowską z drugiej zaś domy, położone przy ulicach: Teatralnej, Trybunalskiej i Halickiej. W rynku złączyły się oba ogniste potoki, obracające w perzynę wszystko, co spotkały po drodze. Nadto z baszty, wniesionej na bramie krakowskiej, płomień dostał się aż na Wysoki Zamek a ztamtąd na Zniesienie. Klęska była straszliwa. Z całego śródmieścia ocalały jedynie: klasztor i kościół Franciszkanów, (dziś szkoły Mickiewicza i przemysłowa), oraz ratusz z wieżą. Wielu mieszczan ratując swe mienie, znalazło śmierć wśród płomieni a nawet niektórzy nosili się z myślą opuszczenia na zawsze pozostałych zgłiszczów. Ostatecznie przeważało wśród ludności przywiązanie do rodzinnego miasta. Zaczęto się odbudowywać, znosząc dotychczasowe pod-sienia i drewniane, kramarskie budy. Dwudziestoletnia wolność od wszelkich opłat i danin miała być dla pogorzalców zachętą do pozostania na miejscu.

Jakoż przez pół wieku niemal niszczący żywioł stronił od Lwowa i dopiero w roku 1565 dzwon pożarny zwiastował miastu nową klęskę. W sam Wielki Czwartek wybuchł pożar w stajni, stojącej w pobliżu katedry łacińskiej i niebawem pochłonął zachodnią połąć rynku, (domy oznaczone dziś liczbami 23—32), szpital i kościół Świętego Ducha, (stojące na placu tegoż nazwiska), kościół i klasztor Franciszkanów, ulicę Krakowską i przyległe przecznice. I znów ulgi podatkowe przypadły w udziale miastu, które niebawem, bo już w roku 1571 stało się znów w pewnej części pastwą płomieni. W święto Wniebowstąpienia Pańskiego ogień pokazał się w tylokrotnie nawiedzanej pogorzela dzielnicy żydowskiej a zniszczywszy Zarwanicę i ulicę Ruską, obrócił w perzynę świeżo poświęconą cerkiew wołoską i ominąwszy gmachy dominikańskie, zajął też część ulicy Ormiańskiej. Pożar halickiego przedmieścia, który zniszczył trzydzieści sześć domostw w roku 1584, nieznacznie stosunkowo przedstawiał straty w porównaniu z klęską pożogi, nawiedzającą w dniu 26 marca 1616 r. po raz czwarty dziel-

nicę żydowską. Prócz siedziby starozakonnych, ofiarą pożaru padły: ulica Ruska, dach arsenału miejskiego i wieży cerkwi wołoskiej, zabudowania Staupigii i część poprzecznej ulicy Ormiańskiej. W siedm lat później, w r. 1623 znów przedmieście krakowskie wypaliło się doszczętnie wraz z kościołami Maryi Śnieżnej, Panien Benedyktynek, św. Jana, tudzież z ruskimi cerkwiemi Onufrego i Mikołaja i z ormiańskimi: Świętego Krzyża i Jakóba. Z powodu niebezpieczeństwa, jakie wówczas zagrażało miastu, wydały władze zakaz budowania się na przedmieściu w odległości, bliższej nad czterysta łokci od murów a zarazem oddawano pogorzelcom odleglejsze miejsca pod budowę — bezpłatnie. Ostrożność ta nie przeszkodziła pożarowi, który w roku 1626 po raz piąty w popiół zamienił żydów siedliska. W ubiegłym wieku Lwów dwukrotnie nawiedziła klęska pożogi. I tak pod datą 1712 roku notują kronikarze ogólnikowo wielki pożar w mieście. O następnej zaś katastrofie pożarowej, przypadłej w maju 1778 roku, dowiadujemy się z lakonicznej wzmianki, umieszczonej w numerze czterdziestym i trzecim *Gazety Warszawskiej*. Klęska ogniowa dotknęła wówczas ulicę Ormiańską, chłonąc wraz z przeważną częścią wzniesionych przy niej domostw, także pałac arcybiskupów ormiańskich.

Rząd austriacki, zajmwszy Galicję, dopiero w lat dziesięć po rewindykacyi pomyślał o wydaniu ustawy ogniowej dla miasta Lwowa. W dniu 31. maja 1782 roku wydany został «Uniwersał, stanowiący porządek gaszenia ognia dla stołecznego miasta Lwowa». Obszerna ta ustawa, podzielona na sześć tytułów, zawierała w pierwszym rzędzie zasady policyi ogniowej. Piwowarowie, piekarze, kowale, farbiarze, mydlarze, gorzelnicy i garncarze mogli odtąd wykonywać swój proceder tylko na przedmieściach. Nowe domy, prócz strychów, wykładanych cegłą, posiadać musiały murowane kominy o dostatecznej wysokości, za których należyte czyszczenie odpowiedzialny był kominiarz na równi z gospodarzem domu. Osobne

przepisy objaśniały mieszkańców, gdzie i w jaki sposób przechowywać należało zapasy słomy, siana, drzewa i węgla opałowego.

W razie pożaru strażnik, umieszczony na wieży ratuszowej, dawał znak dzwonem. Jedno uderzenie zwiastowało pożar w śródmieściu, dwa na krakowskim, trzy na halickim przedmieściu. Nadto w dzień kierunek pożaru oznaczała chorągiew, wywieszona z ratuszowej wieży, w nocy latarnia. Obowiązkiem burmistrza było zawiadomienie o wypadku rajców, ławników tudzież «czterdziestu mężów» a następnie zabezpieczenie archiwum. Ponieważ zaś miasto nie posiadało straży pożarnej, przeto ratunek powierzono cechom, zaś koni dostarczała poczta. Spieszyli więc do ognia na odgłos dzwonu: kominiarze, cieśle do zrzucania dachów, wyznaczeni przez swój cech, murarze z kilofami, zakony żebrzące i pewna oznaczona z góry ilość żydów dla noszenia wody. Lwów posiadał w owym czasie cztery duże sikawki, nad którymi w roku 1872 powierzono nadzor ślusarzom: Kasprowi Zachowi i Wawrzyńcowi Trumowi, tudzież stolarzom: Józefowi Slambergerowi i Janowi Teiflowi. Ci mieli do pomocy cechy: ślusarski, krawiecki, rzeźniczy i piekarski. Do każdej, małej sikawki przeznaczony był majster szewski wraz z sześcią czeladzi. Drabiny dźwigali cieśle i murarze. W razie pożaru na przedmieściu, oznaczone były z góry miejsca zboru dla ratujących, zaś koni dostarczali właściciele sąsiednich gruntów. Dla odznaczających się przy gaszeniu pożaru istniały nagrody, (najwyższa w kwocie dwunastu złotych), zaś opornych karano grzywnami. W podobnym duchu ogłoszono też w czerwcu 1786 r. ustawę ogniową dla miast, miasteczek i wsi galicyjskich.

Mimo tych przepisów, trudnych, co prawda do przeprowadzenia, Lwów z początkiem naszego wieku, w dniu szóstym czerwca 1800 roku, stał się widownią straszliwego pożaru, który zniszczył przedmieście Krakowskie. Rozmiarów tej klęski nie znamy, jak również ogólnikowe tylko posiadamy wiadomości o wypadkach ognia, które w pierwszych lat dziesiątkach bieżącego stolecia zdarzyły się w naszym mieście. Do ważniej-

szych katastrof tego rodzaju zaliczyć wypadnie pożar gmachu, dawniej służącego Karmelitankom trzewickowym a następnie przeobrażonego na magazyn żywności dla wojska. Z niewiadomej przyczyny ogień, zapuszczony w tych składach, wybuchł jasnym płomieniem wieczorem czternastego maja 1811 roku i pomimo ratunku trwał przez całą dobę.

W tradycji starszego pokolenia Lwowian utrzymuje się dotychczas wspomnienie o dwóch wypadkach ognia, które zdarzyły się w latach 1833—1838. I tak w dniu piętnastym maja 1833 roku, o godzinie dziesiątej przed południem, wybuchł pożar tak gwałtowny w klasztorze Franciszkanów, (przy placu ich nazwiska), iż w przeciągu kilku godzin kościół, klasztor i przyległe budynki zamieniły się w bezkształtne rumowisko. Ponowne poświęcenie odbudowanej świątyni nastąpiło w dniu czwartym października 1835 roku.

Okropniejszą pod względem rozmiarów, była klęska pożaru, dotycząca po raz szósty dzielnicę żydowską. W nocy z dwudziestego trzeciego na dwudziestego czwartego września 1838 roku ogień pojawił się przed północą w domostwie, oznaczonym dziś numerem czterdziestym czwartym przy ulicy Boimów i z przerażającą szybkością ogarnął sąsiednie budynki. Niebawem stanęły w płomieniach domy pod nrami: 46, 35, 34, 31, przy ulicy Boimów oraz realności pod liczbami: 24, 26, 28 przy ulicy Blacharskiej, tudzież trzy inne budynki przy tej ulicy, dziś nieistniejące. Ogółem paliło się jedenaście domów, przepętlonych mieszkańcami, którzy wyrwani z pierwszego snu, ledwo z życiem uszli. Jedenastu mieszkańców znalazło śmierć w płomieniach, a nadto przy ratunku doznali śmiertelnych obrażeń kapral policyjny Józef Patek oraz kominiarczyk Adam Ulmer. Rannych było pięćdziesiąt osób. Opisy współczesne z chlubą wymieniają niejakiego Hersza Tetelesa, który umknąwszy w pierwszej chwili z płonącej kamienicy, wrócił na trzecie piętro do swego mieszkania, by wyratować chorą matkę. Oboje ocaleli. Nędza wśród pogorzalców była niezmierna. Zarządzono wprawdzie w mieście składkę, która prócz datków w białiznie

i w odzieży, przyniosła kwotę 4.734 złr m. k. lecz suma ta była niczem wobec szkód krociowych.

Dzień drugi listopada 1848 roku pamiętnym również po-
zostanie w dziejach Lwowa. Po burzliwej nocy, w ciągu której
przerażona wrogą postawą załogi wojskowej ludność budowała,
to znów na wezwanie gwardyi narodowej burzyła barykady,
nastąpiło o godzinie dziesiątej przed południem bombardowanie
bezbronnego miasta z rozkazu komenderującego generała, Wil-
helma barona Hamersteina. Ze wzgórza, na którem się wznosi
pałac arcybiskupów łacińskiego obrządku i z Wysokiego Zamku
leciały na miasto race kongrewskie i palne granaty, podczas
gdy działa, ustawione w śródmieściu, ziały bezustannie karta-
czowym ogniem. Już po godzinie bombardowania ukazały się
płomienie w kilku punktach miasta. Paliły się: stary teatr,
mieszczący w sobie biura Rady Narodowej, dom narożny przy
ulicy Ormiańskiej, (dziś l. 2), własność Mieczysława Darowskiego,
w którym istniała szkoła techniczna i kilka budynków pry-
watnych. O godzinie jedenastej przedpołudniem podporucznik
gwardyi, hr. Cetner, wywiesił z rozkazu swego komendanta,
Bielińskiego, z ratuszowej wieży dwie białe chorągwie. Mimo
to nie ustawały strzały na ratusz wymierzone i niebawem
płomień ukazał się w tym gmachu równocześnie z dwóch stron.
Według relacyi urzędnika budowniczego, Salemana, przedłożo-
nej w dniu 23. listopada t. r. magistratowi, począł się ratusz
palić od strony północno-wschodniej. Siedmioletowe granaty
przebiły sklepienia aż do pierwszego piętra, gdzie zapaliły pa-
piery, nagromadzone w t. z. politycznej registraturze. W mgnieniu
oka pożar przedostał się na drugie piętro, gdzie świeżego do-
starczyły mu żeru papiery, zapelniające registraturę cywilną
— (magistrat lwowski dzielił się w owym czasie na dwa se-
naty: polityczny i cywilno-sądowy) — a niebawem płomień
wtargnął się do wnętrza wieży ratuszowej, szybko ogarniając jej
rusztowanie drewniane. Dym straszliwy uniemożliwiał wszelki
ratunek, choć pozostali jeszcze w ratuszu gwardziści narodowi,
pragnąc ocalić depozyty sierocińskie, uszykowali się w łańcuch

dla podawania wody. Wojsko pobiło jednak spieszących po sikawki kominiarzy i nie dopuściło do gaszenia szalejącego żywiołu. O godzinie wpół do czwartej po południu runęła z okropnym hukiem w głąb wieży kopuła, mieszcząca jej szczyt, druzgocąc swym ciężarem dzwony i zegar. Całe drugie i trzecie piętro gmachu gorzało gdyby świeca, płomień buchał przez szczeliny dachu a grozę położenia powiększały jeszcze rakiety, rzucane nieustannie na północno-zachodnią część ratuszowego gmachu. Równocześnie z ratuszem stanęła w płomieniach wszechnica, (dziś gmach domu narodnego), wraz z biblioteką i z zbiorami, pomieszczonymi w potrynitańskim kościele, (dziś cerkiew miejska). Bibliotekarz Stroński, zdawszy własne swe mieszkanie na opiekę Opatrzności, ratował z narażeniem życia, co się ocalić dało, z skarbów bibliotecznych, ze zbiorów fizykalnych i przyrodniczych.

O godzinie wpół do pierwszej z południa zamilkł huk działowych wyrzasków. Lwów kapitulował. Akt kapitulacyi ze strony miasta podpisali: dr. Michał Gnoiński, Kłodziński i Miliowski. Dopiero wszakże o godzinie piątej po południu udało się Salcmanowi uzyskać od Hamersteina oddział, złożony z czterdziestu saperów, celem położenia tamy szerzącej się pożodze. Prócz ratusza i starego teatru, płonęły też przyległe do gmachu teatralnego sale reutowe. Zgliszcza tlały przez trzy doby, zanim zdołano zalać ogień, ukryty wśród gruzów. Podobnież uciążliwem było ugaszenie pożaru wśród ruin wszechnicy i szkoły technicznej, w której granaty przebiły sklepienia aż do piwnic. Prócz realności Darowskiego, spłonęły nadto z budynków prywatnych domy dwupiętrowe: pani Le Bacque, (ul. Teatralna 18), Matkowskiego, (ul. Grodzickich l. 3), Żarskiej, (ul. Ormiańska l. 4), Barszczyńskiego, (ul. Krakowska l. 19) oraz dach na kamienicy dra Wolfa, (ul. Krakowska l. 23).

Nie mając do dyspozycyi ani strażaków ogniowych, których Lwów jeszcze nie posiadał, ani też nie mogąc liczyć na pomoc ludności, która wystraszona żołnierskimi wybrykami kryła się po domach, musiał się Salcman ograniczyć na loka-

lizowaniu i obserwacji płonących budynków. Stłumienie ostateczne ognia nastąpiło dopiero w dniu ósmym listopada.

Nieszczęście, jakie wówczas gród nasz dotknęło, miało przynajmniej ten dodatni skutek, iż magistrat oraz dodani mu mężowie zaufania, wybrani z grona mieszczan, poczęli myśleć o zorganizowaniu straży pożarnej, której zawiązanie odraczano do tej pory z roku na rok — ze względów oszczędnościowych. Odnosne postanowienie zapadło na posiedzeniu, odbytem w dniu czwartym stycznia 1849 roku lecz dopiero w kwietniu roku następnego znajdujemy w *Gazecie Lwowskiej* pierwszą wzmiankę o istnieniu straży pożarnej w naszym mieście. Oto co pisał organ urzędowy w dniu 13. kwietnia 1850 roku: «Przysposabia się u nas korpus tak zwanych pompierów z ludzi do straży municypalnej należących i już w tej mierze odbyto w dniu 5 b. m. próbę w dziedzińcu klasztoru pokarmelickiego, (dziś gimnazjum Franciszka Józefa przy ul. Batorego). Użyto przy tem wszelkich przyrządów, używanych do gaszenia pożarów i ratowania ludzi oraz rzeczy w czasie ognia a mianowicie drabin na kołach i wora ochronnego, jaki właśnie nadesłano z Tryestu. Przy wykonaniu obrotów okazali ci ludzie zręczność już niepospolitą, tak przy użyciu owych przyrządzeń jakoteż przy spinaniu drabin, jedna na drugą, do znacznej wysokości i spodziewać się możemy, że jeszcze w ciągu bieżącego, administracyjnego roku powstanie wzmiankowany korpus pompierów, zwłaszcza, że ćwiczenia ciągle się odbywają i ludzie sposobią się do wszelkich wypadków. Będzie to dla mieszkańca otuchą, iż w przypadku niebezpieczeństwa sam i dobytek jego może być ocalony».

Inicytorem stworzenia tego korpusu był ówczesny przewodniczący magistratu, Karol Höpflingen-Bergendorf, który, prócz strażaków miejskich zamierzał powołać do ratunku podczas ognia także czeladź rzemieślniczą. Atoli pierwsza ta próba organizacyi straży pożarnej okazała się zaraz z początku niepraktyczną. «Postanowiono przeto» — pisze *Gazeta Lwowska* z dnia szóstego lutego 1851 roku — «dobrać ludzi zdatnych

obyczajnością i umysłowem wykształceniem, którzy rekwizyty do gaszenia bezustannie mają utrzymywać w najlepszym stanie i być przewodnikami przy gaszeniu». Jakoż z początkiem lutego t. r. przyjęto kilkunastu ludzi «dobrej konduity», którzy mieli stanowić związek korpusu pompierów. Cały korpus straży pożarnej miał się składać z czterech oddziałów. Pierwszy tworzyć mieli pompierzy zawodowi, drugi kominiarze, murarze i cieśle, trzeci ich pomocnicy. Te trzy oddziały miały zająć się gaszeniem ognia, ratunkiem osób i mienia, podczas gdy czwarty oddział, złożony z poważniejszych obywateli, strzedz miał rzeczy, wyratowanych z pożaru. Nieco później, w dniu pierwszym maja 1851 roku, ukazała się w druku instrukcja praktyczna dla dozorców domowych, jak się zachować mają podczas pożaru, wydana przez magistrat lwowski.

Z owej instrukcyi dowiadujemy się również, że prócz głównej strażnicy w ratuszu, istniały jeszcze posterunki pompierów przy ulicy Czarneckiego, koło kościoła św. Anny i na Żółkiewskim przedmieściu, w starym browarze miejskim. W razie pożaru, straż na wieży ratuszowej wywieszała w dzień chorągiew a w nocy latarnię w kierunku ognia i uderzała w dzwon alarmowy. Liczba uderzeń, od jednego do czterech, oznajmiała pożar w pierwszej, drugiej, trzeciej i czwartej dzielnicy. Pożar w śródmieściu zwiastowała straż pięciokrotnem, pożar za miastem sześciokrotnem uderzeniem w dzwon. Sygnały, dane z wieży ratuszowej, powtarzał strażnik, umieszczony na dzwonnicy bazylikańskiego klasztoru przy ulicy Żółkiewskiej. Nadto straż na wieży ratuszowej oznajmiała przez tubę mieszkańcom o przebiegu pożaru.

Uniform strażacki składały: ciemnoszaraczkowy kubrak i spodnie tegoż koloru, pas skórzany, siekiera i powróż, czarna czapka i hełm. Pierwszym komendantem pompierów był urzędnik biura budowniczego, miejskiego, Eitelberger, któremu do pomocy dodano niejakiego Eichlera. Prócz obowiązków strażackich, żądano od pompierów, spełniania dozoru przy czyszczeniu i oświetlaniu miasta a nadto Eitelberger musiał pro-

wadzić biuro szupasowe. Niedziw przeto, że w obec tych rozlicznych zajęć wykształcenie zawodowe strażników nie było dostateczne. Komenda korpusu odbywała się po niemiecku a strażacy czasem wdawali się w nieswoje rzeczy. Widać to z notatki kronikarskiej, zamieszczonej w *Głosie* w dniu dziewiątym stycznia 1861 roku. Oto strażacy, usłyszawszy jakiegoś przechodnia, śpiewającego znaną piosnkę o zającu, «siedzącym pod miedzą», rzucili się za nim w pogoń, dopatrując się w tem demonstracyi politycznej. Ścigany schronił się do sklepu Justiana zaś pompierzy w miejsce śpiewającego pochwycili jakiegoś innego mężczyznę, w konfederatce i okładając go kulakami, zaciągnęli na swą strażnicę do ratusza. Wypadek ten wywołał ogólne oburzenie w mieście. Mniej szczęśliwą była natomiast straż pożarna w wykonywaniu właściwych swych obowiązków. W nocy z piętnastego na szesnastego marca 1864 roku wybuchł pożar w tak zwanej Starej tandecie na Żółkiewskim przedmieściu. Spłonęły wówczas dwa domy, 33 kramy drewniane a płomienie dosięgały już wieży klasztoru Bazylińskiego, który z trudem zdołano ocalić.

Jeszcze gorzej powiodło się pompierom w dniu dziewiątym czerwca t. r. O godzinie drugiej z południa zaczął się palić dom Götza przy ulicy Krakowskiej, (dziś nr. 14) a wśród szalonego wichru w przeciągu pół godziny ogień ogarnął domy oznaczone liczbami: 8, 10, 11 przy ulicy Krakowskiej oraz domy pod numerem 3 i 10 przy ulicy Ormiańskiej. Dopiero cynkowy dach Domu Narodnego wstrzymał dalszy postęp pożaru, grożącego z jednej strony klasztorowi ormiańskiemu, z drugiej zaś szkole techniczej, (ul Ormiańska l. 2). Podczas ratunku trzech ludzi znalazło śmierć w płomieniach zaś w liczbie rannych był też Eitelberger, który po długiej chorobie umarł.

Następcą jego w jesieni 1864 roku został Paweł de Praun, oficer inżynierji. Jeszcze jako żołnierz zajmował się Praun nader żywo teorią gaszenia pożarów, którą studyował w Moguncyi i w Berlinie. Zaznajomiwszy się gruntownie z najnowszemi urządzeniami ogniowemi za granicą, przystąpił Praun do reor-

ganizacyi powierzonej mu straży, która w chwili objęcia przez niego komendy składała się z 69 ludzi.

W ogóle władza autonomiczna nie szczędziła żadnych nakładów na udoskonalenie straży pożarnej, której liczba, mimo znacznego wzrostu miasta w ostatniem trzydziestoleciu, jest zupełnie wystarczającą. Krycie domów materiałem ogniotrwałym czyni zbędnem pomnożenie korpusu pompierskiego który zresztą znajduje pomoc znaczną w straży ochotniczej «Sokoła lwowskiego», zorganizowanej w kwietniu 1868 roku za inicjatywą Prauna. Zrazu tworzyło ową straż ośmnastu ochotników, których liczba wzrosła później do ośmdziesięciu głów.

W ślad za urządzeniami, mającemi na celu zabezpieczenia miasta od klęski ogniowej, zapuściliśmy się w nowsze czasy, z których cofnąć się nam wypadnie w odleglejszą przeszłość. Pożary były też jedyną klęską, nawiedzającą Lwów od czasu do czasu, gdyż wylewy Pełtwy, które ongi znaczniejsze przybierały rozmiary, nie wyrządzały miastu większych szkód, podobnie jak powtarzające się od czasu do czasu objawy trzęsienia ziemi.

Stare kroniki wspominają o lekkich trzęsieniach ziemi, nawiedzających gród ten w latach 1578, 1596 i 1598. Silniejsze trzęsienie zapisuje kronika stauropigjalna w jesieni 1619 roku. Szyby wówczas z okien wylatywały, spadały szklanki ze stołów. Następne trzęsienie przypadło w roku 1637 w dniu pierwszym lutego, o godzinie dziewiętej wieczorem. W ciągu wieku ośmnastego nie znajdujemy żadnej wzmianki o objawach tego rodzaju, które dopiero w bieżącym stuleciu zaczęto pilniej obserwować. Wśród ludu ruskiego krążyło przed laty podanie, zapisane przez Bielowskiego w podróżniczych jego notatach temi słowy: «Wieśniak z Kozowa powiadał mi, że Lwów stał na bardzo wysokiej górze. Trzęsła się ziemia raz, góra osiadła, trzęsła się drugi raz, zrobił się dół. Jeżeli się trzeci raz zatrzęsie, zapadnie się miasto bez ochyby...» «Za pobytu mego w Buczaczu około roku 1820» — dodaje przy tej sposobności Bielowski — «rozeszła się była wieść o zapadnięciu się

Lwowa, której powszechnie prawie wierzono...» Podobna wieść krążyła między pospólstwem we Lwowie z początkiem 1834 roku. Głoszono mianowicie, że miasto zapadnie się o północy dwudziestego pierwszego stycznia t. r. i znaleźli się tacy, którzy święcie wierzyli owej pogłosce. W dniu piętnastym października 1834 roku o godzinie wpół do ósmej rano znów nastąpiło trzęsienie ziemi we Lwowie. Trwało dwie do trzech sekund w kierunku zachodnio-wschodnim i rozróżniano w niem dwa uderzenia. Odczuli je, prócz strażnika pożarnego, umieszczonego na wieży cerkwi wołoskiej, także robotnicy, pracujący na budującej się właśnie wieży ratuszowej. Jeszcze dokładniejszą relację posiadamy o wstrząśnieniu, jakie nawiedziło Lwów w dniu dwudziestym trzecim stycznia 1838 roku o godzinie trzy kwadranse na dziewiątą wieczorem. Pierwsze uderzenie było słabsze. Zakołysały się lekko wiszące na ścianach obrazy; przedmioty metalowe i szklane wydały dźwięk przygłuszony. Po chwili nastąpiło silniejsze uderzenie, pod którego wpływem zadrżały mury domostw do tego stopnia, iż wahadła zegarów, wiszących na ścianach mieszkań piętrowych zatrzymały się w biegu, a ustawione na stołach szklanki i butelki poczęły się wywracać. Po chwilowej przerwie nastąpiło uderzenie trzecie, tak potężne, że przerażeni Lwowianie wybiegli tłumnie na ulice, myśląc, że domy się walą. Cała ta groźna scena rozegrała się w ciągu dwóch minut. Równocześnie odczuto wstrząśnienie ziemi w Czerniowcach, gdzie wszakże wystąpiło z taką siłą, iż szyby w oknach popękały. Zauważono tam jeno dwa uderzenia przy odgłosie podziemnego łoskotu. O tym samym czasie nastąpiło trzęsienie ziemi w Tarnopolu. Natomiast w Dukli zauważono je dopiero w nocy z ósmego na dziewiątego lutego t. r. Najsilniej miało objawić się owe wstrząśnienie w tamtejszym klasztorze bernardyńskim, gdzie poruszyło nawet sprzęty, ustawione w celach. Relacja wszakże, jakoby drzenie ziemi trwać miało dziesięć minut, wydaje się niezbyt prawdopodobną.

Ostatnie trzęsienie ziemi nawiedziło Lwów oraz część

Galicyi wschodniej już za naszych czasów, w dniu siedemnastym sierpnia 1875 roku, o godzinie trzy kwadranse na piątą po południu. Wstrząśnienie było faliste w kierunku południowo-północnym, trwało przez sześć do siedm sekund i najwyraźniej objawiało się w domach piętrowych. W niektórych budynkach w Rynku, przy ulicach: Teatralnej, Jagiellońskiej i Kopernika, mieszkańcy odczuli wyraźnie drżenie murów. W ratuszu, w urządzie budowniczym, stół, przy którym rysował dyrektor Hochberger, chwiało się tak silnie, iż musiał on przerwać swą pracę, a i cały gmach skarbkowskiego teatru, oparty, jak wiadomo na pilotach, zdrzął znacznie w swych posadach. W stawie tak zwanym Alsnerowskim, na Wulce, kąpiący się zauważyli falowanie niezwykle wody, zaś mieszkańcy domu dozorczy przy kopcu Unji Lubelskiej doznali takiego wrażenia, jakby ten budynek usuwał się w przepaść. Ciekawej też obserwacji dokonał zamieszkały przy ulicy Kopernika, inżynier Müllern, kierownik stacji meteorologicznej, na małpach, znajdujących się w jego posiadaniu. Zwierzęta te już o godzinie trzeciej po południu zachowywały się jakby w przeczuciu burzy. Trzy małpy zamknięte w klatce, zakopały się w sianie, tuląc się przerażone do siebie, zaś większa małpa jawańska, uwiązana w przedpokoju, była w niebogłosy, usiłując dostać się do mieszkania. Profesor lwowskiego uniwersytetu, dr. Kreutz, zajmujący się naukowem, o ile możności dokładnem zbadaniem tego wstrząśnienia, doszedł do przekonania, że objęło takowe obszar, zawierający prócz Lwowa, część wschodnią powiatu żółkiewskiego, wąski pas gubernii Lubelskiej i Wołynia wzdłuż granicy austriackiej, Podole galicyjskie i że sięgało aż po Czerniowce. W niektórych miejscowościach słyszano mniej lub więcej donośny huk podziemny. W Mostach Wielkich mur kościelny zarysował się od góry aż do fundamentów, podobnie jak w Krystynopolu. W obu tych miasteczkach runęło sporo kominów, a w Sokalu prócz walących się kominów, szyby dzwoniły w oknach i tynk odrywał się ze ścian budynków mieszkalnych. W Uhnowie popękały mury kościelne, zaś w Brzeżanach wstrząśnienie wywo-

łało ogólną panikę wśród ludności, która w najwyższem przeobrażeniu wybiegła na ulicę. Po tem zboczeniu w dziedzinę żywiołów przystępujemy do opisu starego Lwowa.

Zacznijmy od śródmieścia a raczej od rynku, nad którego rozległością i foremnością unosili się w pochwałach wszyscy turyści cudzoziemscy, zwiedzający Lwów z końcem ubiegłego wieku. Środek rynku był zabudowany, gdyż prócz ratusza, budowy datującej się jeszcze z końca piętnastego wieku, a posiadającej od strony placu Kapitulnego ośmiokątną wieżę, wykończoną w roku 1617, istniało w miejscu dzisiejszego zabudowania ratuszowego jeszcze jedenaście domostw prywatnych. Stary ratusz, gmach niepozorny, przeistaczany kilkakrotnie, posiadać miał ongi wspaniałe urządzenie wewnętrzne. Posadzkę w sali radnej pokrywały perskie kobierce, w oknach lśniły się weneckie szyby, ściany zdobiły karty geograficzne tudzież obrazy królów, hetmanów i wybitniejszych mężów stanu Rzeczypospolitej. Wszystkie ta okazałość wraz z drogocennym serwisem miejskim, używanym podczas publicznych wystąpień, należała w roku 1785 do bezpowrotnie minionej przeszłości. Gmach ratuszowy używanym był w owym czasie na areszty a brudne lachmany, powiewające z okien tego budynku budziły odrazę wśród mieszkańców rynku, do których wraz z arcybiskupem rz. kat., i z pisarzem Rzewuskim zaliczała się śmietanka tu-tejszego towarzystwa.

Prawdziwą ozdobą ratusza była wieża trzydziestosądziowej wysokości, na której szczycie mieścił się zakupiony po Jezuitach w roku 1788 zegar. Po wydzwonieniu każdej godziny strażnik wieżowy trąbieniem na cztery rogi miasta oznajmiał mieszkańcom swą czujność w baczeniu, czy się gdzie nie ukaze złowrogi płomień. Nosząc się przez długie lata z myślą budowy nowego ratusza, zakupiło miasto w roku 1790 jeden z domów sąsiednich obok starego gmachu, a oddzielonych od niego jedynie wąską uliczką, noszącą miano ogrodniczej, ale wypadki polityczne i smutne stosunki, w jakich znalazły się fundusze miejskie z końcem minionego wieku, podały znów na

czas dłuższy w odwłokę myśl przyozdobienia rynku odpowiedniejszą budową. Dopiero około roku 1826 wzięto się znów do dzieła, lecz robota około zakładania fundamentów pod nowy gmach niefortunnie poprowadzona tuż obok podstawy starej wieży, spowodowała w dniu czternastym lipca tego roku smutną katastrofę. Oto dolna część wieży, czworogranna, zachwiana w swej posadzie, poczęła się gwałtownie rozsuwać i o godzinie wpół do siódmej wieczorem rozstąpiła się na dwie strony, skutkiem czego górne piętra wieżowe wraz z zegarem runęły na rynek, uszkodziwszy po troszę kamienicę Rzewuskich. Co gorsza jednak, iż wypadek ten nie obył się bez ofiar w życiu ludzkim, gdyż mimo ostrzeżeń znanego w owym czasie budowniczego, Karola Kawki, który rozpiąwszy na wieży arkusz papieru, wskazał po kilku godzinach na przedartą tego powierzchnię, dowodzącą jasno, iż mury się rozchodzą, znalazło się w chwili katastrofy kilka osób na wieży. Z pod gruzów wydobyto ośm zwłok ludzkich; w tej liczbie prócz strażnika i jego córki, piętnastoletniej dziewczyny, znalazły się zwłoki dwóch żołnierzy, którzy na chwilę przedtem pospieszyli na galeryę — z ciekawości..

Smutne to zdarzenie podało Janowi Kamińskiemu myśl do napisania wesołej krotchwili p. t. «Zawalenie się wieży ratuszowej, czyli Kominarz i młynarz», powtarzanej wielokrotnie, z której treścią, co prawda, okropna katastrofa w dość luźnym pozostawała związku. Brak wieży przyspieszył atoli wykonanie nowej budowy ratusza. Uroczyste założenie kamienia węgielnego nastąpiło już w dniu 21. października 1827 roku, a w siedm lat później, kosztem pół miliona zł. stanął nowy ratusz wraz z wieżą. Wykupiono przy tej sposobności i zniesiono sąsiadujące realności, między którymi były gospoda, zwana: «Pod olejem», tudzież domostwa Mikołajewicza, Wiśniowskiego, Manowardy, Wernera, Mathego i Panatowskiego. Gmina postarała się i o odpowiednie wewnętrzne urządzenie gmachu liczącego 156 pokojów i 9 sal.

Sama dekoracya wielkiej sali obrad, zdobnej w marmury i sztukaterye złożone, kosztowała około siedmnaście tysięcy

zł. Nowy zegar wieżowy sprowadzono z Wiednia z warsztatów tamtejszego instytutu politechnicznego. Ustawieniem i uregulowaniem zegara, nakręcającego się co dwie doby, zajmował się profesor Stampfer, zaś znany profesor matematyki, Strasznički, poświęcił opisowi wewnętrznego urządzenia zegarowego obszerny artykuł, wydrukowany w Mnemozynie z roku 1837. Budynek z takim nakładem wykończony, padł już w kilkanaście lat później ofiarą pożaru. Spłonął, jak już wspomniano, w pamiętnym dniu drugim listopada 1848 roku i dopiero w rok później mogło się odbyć pierwsze posiedzenie wydziału miejskiego w odnowionym po części gmachu. Restauracya wieży przeciągnęła się aż do roku 1851. i w dniu trzecim maja t. r. poraz pierwszy ozwał się z niej zegar, wydzwaniający nam do tej pory godziny. Z tego też powodu grono osób, które uczestniczyły przy ustawianiu zegara przed laty czterdziestu, zbiera się corocznie w tym dniu na wieży ratuszowej na wspólną pogawędkę i przekąskę.

W gmachu ratuszowym, który od pół wieku prawie nie uległ żadnym, ważniejszym przeobrażeniom, mieściły się, prócz odwachu, istniejącego w miejscu dzisiejszej strażnicy pożarnej i biur magistratu, także szkoła ludowa dla chłopców, szkoła realna i zakład galicyjskiej kasy oszczędności, posiadające obecnie osobne gmachy.

Bruk w rynku był ohydny, nie mówiąc już o przedmieściach, które na wiosnę i w jesieni były niemal nieprzystępne dla pieszych przechodniów. I nie mogło być inaczej, gdy jeszcze w roku 1764 musiano z Warszawy przysłać do Lwowa osobną komisję, która by rozstrzygnęła, kto ma z miasta wywozić nieczystości i śmiecie. Niedziw przeto, iż podczas pierwszej bytności cesarza Józefa II. w naszym mieście, sześciokonny pojazd monarszy ugrzązł w błocie wśród rynku i z trudem został z tej topieli wydobyty. Gdy rząd nakazał ponowne wybrukowanie miasta, okazało się, iż w niektórych miejscach zapomniane pod pokładami błota spoczywały trzy kondygnacye bruków w poprzednich latach kładzione. Czysz-

czenie miasta z końcem ubiegłego wieku było przekazane więźniom, którzy spełniali swą powinność bardzo niedbale zaś wozy, które miały wywozić zgromadzone przez nich błoto po za obręb miasta, gubiły połowę swego ciężaru na ulicach.

Mimo to rynek był — jak to już wspomniano — siedliskiem śmietanki towarzyskiej i władz rządowych. W kamienicy dawniej Korniaktów i Sobieskich (Rynek l. 6) przemieszczał wesoły pan pisarz Kazimierz Rzewuski, mimo piętego krzyżyka zawsze skory, czy do robót politycznych, czy do hulanki, protektor masoneryi i jeździec zawołany, rej wodzący wśród hulaszczey młodzieży.

Młodzież nadawała też ton we Lwowie i w następnych lat dziesiątkach, w dobie, jaka nastąpiła po wielkich wstrząśnieniach dziejowych, wywołanych wojnami napoleońskimi.

Brak życia publicznego i umysłowego usiłowano bowiem zastąpić silnie, rozwiniętym ruchem towarzyskim, w którym prym wiodła młodzież, świeżo powracająca z obozów wielkiej armii. Urok bohaterstwa, jak słusznie zauważył w swym dzienniczku Aleksander Fredro, żywe zajęcie się nowością, nadawały tej młodzieży pewną przewagę w salonach lwowskich, tak, że ona jedynie ton nadawała zabawom, zebraniom towarzyskim, zgłębiała codziennemu trybowi życia. Lekkomysłność garnizonowa, życie bez jutra, znalazły u nas grunt nader dogodny. Niefrasobliwe próżniactwo, podtrzymywane marnotrawstwem, grą i zalotnością, krzewiło się w najlepsze wśród tutejszego społeczeństwa, wiodącego życie bez celu.

Duchowego obroczku dostarczała Kratterowska Gazeta Lwowska, wychodząca co trzy dni w półlarkuszowym formacie, a podająca przekłady z zagranicznych gazet, zaś Bruno hr. Kiciński, późniejszy założyciel warszawskiego Kurjera, przesiadujący podówczas w Sichowie, nie mało zażył kłopotu, zanim udało mu się zebrać materyał dla zapełnienia pierwszego tomika Pamiętnika lwowskiego, który po dwuletnich przygotowaniach opuścił prasy drukarskie. I nie bez racyi może porównał ktoś Galicyę, tę piękną krainę, zasilającą niegdyś utwo-

rami Zimorowiczów i Szymonowiczów literaturę swej macierzy — z Irokezami amerykańskimi, którzy lubo uważani w Europie za ludożerców, posiadali czasopisma informacyjne o polityce, historii i literaturze.

Życie towarzyskie, salonowe, było jedynym wyrazem tego społeczeństwa. O dyktaturę w tym świecie, bawiącym się od rana do nocy, ubiegały się panie Teodorowa i Adamowa Potockie. Pierwsza, połowica ogólnie poważanego wojewody bełzkiego, miała za sobą powagę wieku i niepospolitego rozsądku, lecz dumna i surowa w swych sądach, nie chciała i nie mogła w salonach swego pałacyku przy placu halickim (dziś siedziba Izby handlowej) utrzymać młodzieży płoczej, goniącej jedynie za rozrywkami. Musiała więc poprzestać na towarzystwie starszych pań i panów, przypominających manierami czasy Stanisława Augusta, tchnących bergamotem, podczas gdy młodszy spieszyli na przyjęcia u pani Adamowej z Potworowskich Potockiej, żony pułkownika z 1809 roku, osoby młodej i niebrzydkiej, żądnej zabawy i użycia świata. Otwarte salony prowadzili też w owym czasie księstwo Karolowie Ponińscy. Księżna Helena, z domu Górską, prócz urody wyróżniała się w ówczesnem towarzystwie niezwykle wykształceniem. Pisała powieści, była muzykalną, malowała. Wesóło też bawiono się u państwa Morskich, dziedziców Zarzecza i u Wincentych Skrzyńskich, rezydujących zimą w swym pałacyku przy ulicy Lipowej. Młodzież dziarska, lubo nie bardzo uczona, hasała zapamiętałe do białego dnia, zwłaszcza gdy gospodarstwo nie żałowało wina.

Kielich szampana od ręki do ręki,
Niosąc gospodarstwu dzięki,
Niósł razem dowcip do głowy,
W nogi moc i ogień nowy...

— Pisze w swym pamiętniku późniejszy twórca *Zemsty* o ówczesnych zabawach, w których przodowali oficerowie napoleońscy, pochopni do wypitki i do wybitki, lubo złocisty mundur zastąpił u nich frak o długim stanie i jaskrawe w paski — jak

mówiono wtenczas — sankiuloty. Eleganta owej doby tak przedstawia stara spiewka :

Włosy krótko ostrzyżone,
Gdy się nadmą, gdyby sowie,
Loczki w górę najeżone,
Wziąwszy fraczek szafirowy,
Na nim szpencer popielaty,
Kapelusz z pokrowca nowy.
I kolezyk w uchu bogaty...

Że wśród rozbawionego towarzystwa lwowskiego zjawiały się od czasu do czasu zagadkowe figury obieżyświatów, rzekomych rozbitków z armii małego kaprala, to było rzeczą zupełnie naturalną. Po ostatecznym pogromie korsykańskiego zdobywcy, nie miano czasu na sprawdzanie stopni oficerskich i dekoracyi, jakimi chlubili się rozmaici awanturnicy, krążący wówczas po całej Europie. Że gościnna Galicya, żywiąca tyle sympatyi dla wiarusów, ogorzałych wśród piasków Egiptu, zahartowanych w śniegach Moskwy, była rajem dla rycerzy przemysłu, nadużywających tej dobrej wiary — dodawać byłoby rzeczą zbyteczną. Odosobnienie i oddalenie tej prowincyi od Francyi, brak szybkiej komunikacyi i korespondencya wielce utrudniona, sprzyjały tego rodzajowi wyzyskowi.

Szczególniejszą wszakże sensacyę obudziło w całym kraju zjawienie się w lecie 1815 roku księcia indyjskiego, który przez długi czas figurował w opowieściach tutejszych pod mianem cesarzewicza arakańskiego. Książę ów nie przybywał bezpośrednio z nad brzegów Gangesu, nie towarzyszył mu orszak przybrany w złotogłowi dworaków, ani też nie wieziono za nim skrzyń, wypełnionych złotem i klejnotami. Nie mniej jednak doznał rzekomy wygnaniec serdecznego przyjęcia u poczciwej szlachty w Sokalskiem, która przyjęła go z otwartemi rękami, choć egzotyczne owe książątko pojawiło się w okolicy Narola, przybrane w strzępy żołnierskiego uniformu armii Królestwa Kongresowego. Z pod Narola udał się zagadkowy wędrowiec do Werchraty, gdzie proboszcz miejscowy dostarczył mu chłopskiego przebrania i wskazał drogę do Lwowa. Pieszko dostał

się nasz książę do Dobrusina. Dziedziczka tamtejsza, pani Urbańska, zaopiekowała się tułaczem, który nazwał się Salomonem, Justynem Balsaminem, cesarzewiczem arrakańskim, królewiczem peguańskim, wielkim księciem indyjskim i następcą tronu. Szumne te tytuły nie tylko olśniły gospodynię domu, która tak dostojnego gościa oporządziła od stóp do głów, zaopatrzyła w pojazd i w służbę, lecz nadto wieść o zjawieniu się tak niezwyklej osobistości w tych stronach ściągала do Dobrusina liczny zastęp okolicznej szlachty, spieszącej z pokłonem dla księcia pana. Poczciwi hreczkosieje nie tylko się kłaniali, ale i pożyczali przyszłemu władcy Arakanu znaczne sumy, nie wiedząc zapewne, że rzekome dziedzictwo jego, kraik górzysty, dziki i niezdrowy, położony w północno-zachodniej stronie półwyspu indyjskiego, wielce niepewną dla wszelkich pieniężnych operacji przedstawiał hipotekę. Salomon Justyn Balsamin przyjmował łaskawie te objawy lojalności ze strony galicyjskiego ziemiaństwa, przyrzekając swym wierzytelom tytuły i ordery: Boskiej Opatrzności, Słonia białego, Złośliwych Tygrysów, a nawet posprawał sobie srebrne pieczęcie dla nadania aktom, wydawanym przez niego tem większej wagi. Gdy nadto na listy cesarzewicza, wyprawione do Jass i Stambułu, przybyli do niego przysłani rzekomo przez rząd sułtański dwaj sążniści arnauci, w złotolitych kaftanach, w zawojach i pasach, za którymi tkwiły kindżały i srebrem nabijane pistolety, pierchły resztki wątpliwości z mózgownic szlacheckich. Prócz tej straży honorowej, towarzyszył księciu nieodstępnie sekretarz, Szat bej, mianujący się persem z rodu, władający wieloma językami. Natomiast cesarzewicz mówił tylko po francuzku i to dość słabo. Powierzehowność posiadał ujmującą. Był to młody, dwudziestokilkuletni człowiek, średniego wzrostu, wysmukły, o cerze bladej, cokolwiek piegowanej. Cichy, łagodny, nieśmiały, pozyskał sobie rychło sympatyę płci pięknej, która go troskliwą otoczyła opieką.

We Lwowie, dokąd zawitał w lecie 1815 roku, przyjęto Arakańczyka z pewną ostentacją, a nawet zastępujący guber-

natora, wiceprezydent gubernialny, Jerzy Ochsner, okazywał wobec niego względy, należne dynastom. Przy drzwiach hotelu, w którym zamieszkał, postawiono wartę honorową; na przyjęciach u indyjskiego księcia bywał cały Lwów, pewien zaś uczony bernardyn spisał z całą skrupulatnością dziennik podróży Salomona Justyna na podstawie jego opowieści. Pisać bo nie umiał cesarzewicz...

Według opowiadania księcia, Arakan był rajem ziemskim, obfitującym we wszelkie ziemiopłody, rządy zaś w tej ziemi sprawował jego ojciec, Dawid VII. Jozafat Balsamin; noszący obok tytułów cesarza arakańskiego i króla Pegu, przydomki: przyjaciela i krewnego Najwyższego Boga i Jego Opatrzności, króla zausznic rubinowych, księcia srogich lwów i lampartów, że nie wymienimy dalszego szeregu nazw wielce fantastycznych. Dawid powierzył wychowanie syna księżom katolickim, bawiącym w kraju w charakterze misyonarzy i w roku 1811 na Indostan i Ispahan wysłał go do Stambułu. Celem wszakże ostatecznym tej podróży był Paryż, gdzie władca Arakanu powierzył swego jedynaka opiece Napoleona. Książę Salamon towarzyszył swemu protektorowi w wyprawie w głąb Rosyi, a podczas odwrotu z pod Moskwy, dostał się na Podlasie. Było mu tam zrazu nieźle, lecz niebawem władze rosyjskie uwięziły go jako jeńca i dostawiły do Warszawy, zkąd po wielu przygodach zdołał umknąć za granicę galicyjską.

Opowieść ta, spisana przez łatwowiernego zakonnika ze wszystkimi, drobiazgowymi szczegółami peregrynacji cesarzewicza, dowodzi pewnego polotu fantazyi, a zarazem zręczności ze strony jej autora, który wylicza z wielką, jak u indyanina, poprawnością nazwy szlacheckich domów i miejscowości w Polsce.

W lipcu t. r. wyjechał książę do Lubienia pod Lwowem dla poratowania zdrowia i bawił się wesoło w gronie tamtejszych kuracyuszów. Tymczasem długi honorowe rosły, zasilki zaś spodziewane ze Stambułu, nie przychodziły, podobnie jak owe wory złota i klejnotów z Arakanu, o których tyle ładnych rzeczy nasłuchali się pocziwi Galileusze..

Pewnej pięknej nocy syn najdostojniejszego Dawida VII, pana srogich lwów i lampartów — przepadł bez wieści i więcej go nigdy oko ludzkie nie ujrzało w królestwach Galicyi i Lodomeryi.

O dalszych losach życia cesarzewicza arakańskiego rozmaite, wielce sprzeczne krążyły wieści, lecz nie brakło — dziwnym zbiegiem okoliczności — pocziwców, utrzymujących uporczywie, że Najjaśniejszy Salomon Justyn Balsamin był autentycznym sukcesorem arakańskiego tronu. Inni głosili, że widziano go w mundurze oficera gwardyi carskiej w Petersburgu, to znów prawili o wywiezieniu na Sybir samozwańca, któremu miano udowodnić morderstwo prawdziwego księcia i zabranie jego papierów.

Pewne światło na dalsze życia koleje indyjskiego księcia rzuca pamiątnik ks. Alojzego Niedzielskiego, prowincyała Augustyanów, odkryty w październiku 1895 roku w Warszawie. Oto co pisze książdz Niedzielski o egzotycznym ksiąźatku:

«Rok 1816, *in Februario*, zjawił się w Warszawie królewicz arkański, ksiązę indyjski, jadący na wojaż, który ze Lwowa przybył. Lecz że stanął w prywatnym domu za Bernadynkami, straciwszy pieniądze we Lwowie, u swej gospodyni pożyczył 12 złp, dawszy w zastawę suknie. Ona, uznawszy je za bardzo bogate, po wyjściu jego do miasta, dała znać na odwach żołnierzom. Dla podejrzenia, czy nie jest to jaki szpieg, wzięto go do aresztu na ratusz. Lecz gdy przejrzano paszporta i listy cesarza austriackiego, do niego pisane, poznawszy rzetelnie godność jego stanu, z najprzypoitozsem uszanowaniem z ratusza pojazdem zajechał do pałacu W. Ks. Konstantyna, zkąd w czasie przyzoitoym, przystojnie obdarzony pieniędzmi, wyjechał z Warszawy pod eskortą honorową na wojaż do Petersburga, podług swego upodobania».

Mimo to najbardziej zbliżoną do prawdy wydaje się opowieść Siemieńskiego Lucyana, datująca się z roku 1839. Siemieński twierdzi, że samozwańcze owe ksiąźatko osadzono w Zamościu. Więzień odzyskał wolność dopiero podczas rewo-

lucyi listopadowej i zginął w bitwie pod Ostrołęką. Dziś już chyba traf zdoła wyjaśnić zagadkową historję indyjskiego księcia, który gdyby błędna gwiazda zjawił się na bruku lwowskim by wkrótce przepaść bez śladu.

Tuż w sąsiedztwie siedziby Rzewuskich a następnie Ponińskich, w kamienicy, oznaczonej dziś numerem dwudziestym, rezydowali aż do roku 1844 arcybiskupi rzymsko-katolickiego obrządku. W arcybiskupiej rezydencji znalazła też pierwsiastkowo przytułek jeneralna komenda wojsk cesarskich, pozostająca pod rozkazami jenerała Hadika. W sąsiedniej kamienicy (l. 16), nazywanej niewiadomo z jakiego powodu starym arsenalem, mieściły się pierwsiastkowo, oprócz apartamentów gubernatora Pergena, biura gubernialne.

W ogóle co do pomieszczenia nowych dykasteryi i garnizonu zachodziła w pierwszej chwili po rewindykacyi niejedna trudność.

Wojsko zajęło arsenały Rzeczypospolitej, (za kościołem dominikańskim) i miejski, (przy ul. Sobieskiego), tudzież szpichlerz miejski, istniejący dotychczas naprzeciw Karmelitów, a zwany pospolicie saletrzalnią. Resztę potrzebnych kwater musieli dać mieszczanie, zaś w ratuszu, od strony kamienicy arcybiskupiej urządzono odwach. O arsenał Rzeczypospolitej rozegrała się w owym czasie wielce ciekawa sprawa między austriackim skarbem wojskowym a starostą lwowskim, Janem Kickim, właścicielem tego zabudowania. W r. 1768 sprzedano bowiem ów arsenał jako bezużyteczny na zasadzie uchwały sejmowej Kickiemu. Gmach, oszacowany na sumę 38.993 złp. oddano mu w tymże roku w posiadanie, lecz nowy rząd unieważnił cały akt sprzedaży z powodu, iż w akcie, potwierdzającym nabycie arsenału przez Kickiego, nie wyrażono ceny kupna. Kicki udał się na drogę prawa, lecz w r. 1796 przegrał ostatecznie proces. Nakazano mu «wieczne milczenie». W latach następnych kilkakrotnie przebudowywano arsenał, który podczas restauracyi, dokonanej w roku 1821, postradał dawne swe ozdoby i napisy. Gdy na pomieszczenie wojska obmyślano inne

budynki, przeważnie gmachy zniesionych klasztorów, urządzono w arsenale warsztaty artylerji, które czynne były w tem miejscu do r. 1835, poczem je przeniesiono do Czerwonego Klasztoru.

Powróćmy jednak do kamienicy arcybiskupiej, która w dniu piętnastym grudnia 1809 roku stała się widownią niezwykłego wypadku. Po dniach radości i wesela, jakie panowały we Lwowie w maju i w czerwcu t. r., podczas krótkiego pobytu wojsk polskich w tem mieście, trwała aż do połowy grudnia t. r. przykra okupacya rosyjska zaś nazajutrz po wyjściu rosyjskiej załogi powróciły wojska austriackie.

Witano je z całym urzędowym ceremoniałem u rogatek Gródeckich, wystrzałami działowymi i odgłosem dzwonów kościelnych. Wystąpili i deputaci magistratu w towarzystwie cechów z chorągwiami i milicya mieszczańska z janczarską muzyką na czele. Tu i ówdzie podniosły się nawet powitalne okrzyki, lecz brzmiały jakoś nieśmiało, sztucznie... Przed kościołem katedralnym arcybiskupi Kajetan Kicki i Szymonowicz w towarzystwie biskupa ruskiego, Angellowicza, udzielali błogosławieństwa przybyłemu wojsku. Wieczorem magistrat wyprawił dla oficerów ucztę, nie zapominając również o uczestowaniu szeregowców, zaś całe miasto dobrowolnie zostało oświecone...

Manifestacye te nie mogły być przyjemne dla polskiego społeczeństwa we Lwowie, które nie tak dawno jeszcze entuzjazmowało się przy odgłosie pieśni:

Za złotym orłem pójdziemy,
Rozszerzyć nasze ziemie...

Znikły też bez śladu granatowe kurtki ułańskie z amarantowymi wyłogami, tyle powabu mające dla Lwowianek, nęcących na nutę krakowiaka znaną śpiewkę:

Granatowa suknia z amarantem koźnierz,
Jakże go nie kochać, gdy to polski żołnierz?

Był to piękny sen — jak powiada Lucyan Siemieński —

sen poczęty w maju, kończący się z ostatnim liściem jesieni. Lepiej było nie śnić, niż tak boleśnie się budzić!...

W kamienicy arcybiskupiej w rynku, huczna odbywała się biesiada na cześć generała Egermana i towarzyszących mu dostojników. Arcybiskup Kicki pełnił honory domu. Na balkonie, w przezroczu, jaśniał dwugłowy czarny orzeł, otoczony trofeami zwyciężkami i setkami lamp gorejących. Tłumy ciekawej gawiedzi krążyły po rynku, kupiąc się głównie przed rezydencją arcypasterza, płonąca zdala morzem światła.

Nagle z ulicy podnoszą się okrzyki:

— *Vivat! Orzeł Polski!*

Kicki w towarzystwie kanonika Bema wypada do pokoju, przyległego balkonowi i oko w oko spotyka się z postacią, okrytą szczelnie ciemnym płaszczem, z kapeluszem wciśniętym na oczy. Nieznajomy w jednej ręce trzymał świeżo wyciętego z transparentu orła, w drugiej dzierżył długi, połyskujący nóż... Bem chciał zawołać służbę na pomoc, lecz powstrzymał go skinieniem ręki arcybiskup i łagodnym tonem przemówił do na-pastnika, w którym poznał kobietę:

— Moja ty Judyt wojująca, zaprawdę jam nie Holofernes, lecz Polak, dobry Polak, jak i aspanna. Ale kto wiele przeszedł kolei, kto ma lat z górą sześćdziesiąt...

— Ten powinien zdradzać! — zawołała w uniesieniu przybyła, rzucając starcowi pod nogi trzymanego orła.

— Nie — brzmiała spokojna odpowiedź Kickiego — lecz przebaczać. Księżę kanoniku — dodał zwrócony do Bema. — Przeprowadź tę pannę, aby jej włosy nie spadł z głowy. Przed kamienicą słyszę rozruch. Zapewne policya szuka winnych!

Bem pospiesznie oddalił się z swą towarzyszką, zaś arcybiskup padłszy na kolana, pogrążył się w długiej, gorącej modlitwie. Któż zgłębi jej tajemnicę? Może błagał przebaczenia dla siebie, a może też chciał uprosić u Pana Zastępów lepszą dolę dla kraju...

Tymczasem po mieście bajeczne krążyły wieści. Jedni mówili, że duch zmarłego arcybiskupa dokonał tak zuchwałego

czynu. Inni twierdzili, że sprawcą był tajny wysłannik Napoleona, lecz w końcu policya doszła po nitce do kłębka. Przy tylnem wejściu do kamienicy arcybiskupiej znaleziono nóż porzucony. Znak monstrencyi na niej wyryty, zdradził, że nóż pochodził z kuchni Panien Sakramentek. Jakoż okazało się, że jedna z pensyonarek tego instytutu, panna Antonina P..., oburzona przyjęciem wojsk austriackich, dopuściła się tego zamachu. Chciano ją schwytać i uwięzić, lecz piętnastoletnia winowajczyni przepadła bez wieści i śladu. Nieznany rymopis opisał to zdarzenie w wierszu zatytułowanym: Ze Lwowa dnia 16. grudnia 1809, a zachowanym w rękopisie Henryka Bogdańskiego w zbiorach Zakładu Ossolińskich.

Wiersz ten opiewa jak następuje:

Donoszę Ci przyjacielu,
 Żem był w Lwowie jeden z wielu,
 Kiedy Niemcy tam wchodzili
 I solennie ten dzień czcili.
 Naprzód uderzono w dzwony,
 Ale tak żałosne tony,
 Pomieszały radość z biedą.
 Rzekłbyś, że na pogrzeb idą.
 Potem kotły i piszczałki,
 Zaczęły grać swe kawałki.
 W tem dają znać biedne żydki,
 Że już idą niedobitki
 Wizerunek smutku szczery,
 Patrząc na te bohaterzy:
 Trzewik zdarty w rejteradzie
 Nie dał blasku tej paradzie.
 W tem krzyk powstał na ulicy:
 Nie nasze to są bermice,
 Co pod Pniowem i Raszynem
 Zdziwiały świat swoim czynem
 Dalej Niemiaszki dość strojne,
 Odziane w błyskotki hojne,
 Przy zwykłej sobie przesadzie
 Dodali blasku paradzie;
 Lecz nie najlepiej z tej strony
 Błyskot jałowcem skropiony,

Jednak wszyscy zachęcali,
 By huczne *vivat* wołali.
 Jakoż wprawdzie bez różnicy
 Krzyk się rozszedł po ulicy,
 Ale jakiś siwy starzec
 Szedł ulicą, gdyby marzec
 I rzekł: O biedny *vivacie*
 Po takich chłostach i stracie!
 W tem tu potrójne biskupy
 Pokrapiali wodą kupy.
 Mądry Kicki tem się wślawił,
 Ze po trzykroć błogosławił;
 Angiełłowicz zaś nadęty
 Wspinał w górę swoje pięty;
 Szymonowicz chociaż ziewał,
 Jednak ręką na krzyż kiwał.
 Potem poszóstne karety
 Dały widok znakomity.
 Do tej karety bogatej
 Siadły pany i prałaty.
 A zaś w Kickiego basztardzie
 Siedział Bauer i Żach hardzie.
 A Kicki zrobiwszy minę
 Prosił wszystkich na gościnę.
 Tam się najlepiej udało,
 Bo zjedli zastawę całą,
 Lecz te ich wesołe gadki,
 Zerwał im przypadek rzadki:
 Już była siódma godzina,
 Kiedy wpada heroina,
 W dobrej minie i humorze
 Na kawałki orła porze;
 A urwawszy jedną głowę,
 Do Kickiego zwraca mowę:
 O ty wyrodku Polaka,
 Zimny na przyjęcie rodaka,
 Za tve dzisiejsze fety
 Spodziewaj się tej odwety,
 Jaka się w podobnej sprawie
 Dawniej trafiła w Warszawie.
 Gdzie infuły i purpury
 Popodwyższano do góry...

Tak mu przyjaźń okazała,
 Ze mu prawdy nagadała,
 Nad którą się tak zdumieli,
 Ze jej przytrzymać nie śmieli
 I szczęśliwie ztamtąd wyszła,
 Zkąd znienacka tamże przyszła.
 Później trochę łapać chciano,
 Lecz się na tem oszukano
 A chociaż lud oświecony,
 Zrobił z tego zabobony,
 Jednakże głosić nie skąpią,
 Że dwa jednemu ustąpią.

W przyległej do arcybiskupiej rezydencji kamienicy nie-
 długo mieściły się biura władz austriackich. Po dokonanej
 kasacie zakonu Jezuitów w r. 1773 znalazły w ich kolegium
 i klasztorze pomieszczenie wszystkie biura gubernialne, skarbowe
 i rządowe, skutkiem czego ulica dziś Trybunalska a w starym
 Lwowie szewską zwana, otrzymała nazwę dykasteryalnej. I biura
 wojskowe wraz z mieszkaniem komenderującego generała zmie-
 niły swą siedzibę. Przeniesiono je do kamienicy, tworzącej róg
 rynku i ulicy dykasteryalnej, nazwanej Wilczkowską, od dawnych
 jej posiadaczy, Wilczków, starego, patrycyuszowskiego rodu
 lwowskiego.

Tuż opodal, (Rynek I. 29), powstała w roku 1803 pierwsza
 we Lwowie cukiernia, założona przez Szwajcara Dominika
 Andreolego, od którego istniejąca po dziś dzień, przechodnia
 kamienica wzięła swe nazwisko. Zbudował ten dom ostatni
 komendant wojsk Rzeczypospolitej we Lwowie, Felicyan Ko-
 rytowski, którego herb Mora widniał ongi na frontowej facyacie
 domostwa. Do budowy tej użyć miał Korytowski hajdamaków,
 których setkami po uśmierzeniu ukraińskich buntów nasyłano
 mu do Lwowa. Po Andreolich własność cukierni i kamienicy
 przeszła na Ehrbahrów, pod którą to firmą zakład cukierniczy
 istniał w tem miejscu do niedawnych czasów.

Graniczył z rynkiem plac Kapitulny a raczej cmentarz
 katedralny, odgradzony od ulicy Halickiej murem i przechodnią

kaplicą Domagaliczowską z cudownym obrazem Matki Bożej, umieszczonym dziś w głównym ołtarzu archikatedry. Naprzeciw teraźniejszego wejścia do zakrystyi znajdowała się brama, zwana królewską, służąca do przejazdu powozów, podczas gdy piesi schodzili na cmentarz katedralny po kilku stopniach. Mur obwodowy załamywał się w dalszym ciągu pod kątem prostym w kierunku dzisiejszej ulicy Kilińskiego, zostawiając wolny tylko przejazd wzdłuż domów, gdzie dziś sklepy: Au Louvre, Knauera i Drexlera, okalając również katedrę od strony południowej, podczas gdy czwartą ścianę czworoboku formował rząd domów kapitulnych, dotykający kaplicy ogrojcowej. Dwie furty: ku placowi św. Ducha oraz ku jatkom zwrócone, ułatwiały przystęp do katedry od północy i południa. Prócz kamiennego wizerunku Pana Jezusa w grobie, ustawionego dziś pod północną ścianą kościoła, zacieśniały plac katedralny liczne kaplice, zaś jatki rzeźnicze umieszczone za furta, tuż naprzeciw głównego wejścia do katedry, nie dodawały bynajmniej świetności temu miejscu. I wewnątrz katedry przepełnione było pomnikami, skrzyniami brackimi i ołtarzykami do tego stopnia, iż niepodobna było w niej ani odprawić uroczystej procesyi, ani też ustawić potrzebnej liczby konfesyonałów. Z tego też powodu przystąpił do przebudowy katedry w r. 1765 arcybiskup Sierakowski i wielkiego tego dzieła dokonał w ciągu lat jedenastu, poświęciwszy na ten cel przeszło pół miliona złotych polskich. W kwietniu 1776 roku odbyła się uroczystość ponownego poświęcenia katedry i wówczas to wraz z dawnymi kapliczkami zniknęły i mur obwodowy, okalający cmentarz i obie furty. Jatki rzeźnicze, przedmiot długoletnich sporów między kapitułą a mieszczanami, zakupiła gmina dopiero w r. 1800 i poleciła je rozebrać, przez co odsłonięto t. zw. czarną kamienicę, również już przed laty zburzoną, w której się mieściło seminaryum rz. k. obrządku. Natomiast nowe jatki powstały obok bramy krakowskiej w fosie, oraz przy bramie halickiej.

Przybywszy niewielką przestrzeń, dzielącą plac Kapitulny

od dzisiejszego placu św. Ducha, dochodziło się ulicą Długą, (dziś Teatralną), do szpitala św. Elżbiety, obok którego w równej linii z kościołem Jezuitów, wznosił, się kościółek św. Ducha. Wąska uliczka Łażnicza rozdzielała jedynie kolegium jezuickie od budynków szpitalnych, zaś na końcu uliczki, koło dzisiejszej krajowej dyrekcji skarbu, zamykała miasto murowana furta jezuicka, podwójna. Minąwszy pierwszą furte, schodziło się po dwunastu schodach na dół, by dostać się do furty drugiej, umieszczonej już między wałami miasta. Most zwodzony, rzucony na Pełtwi, ułatwiał komunikację z ulicą Pojezuicką, wzdłuż której ciągnęły się wówczas — według świadectwa Thullego — skromne dworki.

Wróćmy jednak na plac św. Ducha, a raczej do budynków szpitalnych i kościółka pod tem wezwaniem pozostającego, zajmujących miejsce dziś puste, a dawniej zapewne obejmujące także cmentarz, gdyż jeszcze w lipcu 1840 r. wywieziono stąd stosy ludzkich kości. Zarówno szpital, jak należąca do niego kaplica, przedstawiały w r. 1792 zupełną ruinę, zdatną chyba na rozbiórkę, którą też sprzedano w owym czasie kupcowi Preschlowi za cenę 1.504 złr. 55 kr., a uzyskaną sumę przeznaczono na restaurację kościoła w Malechowie. Za część placu, zajętą dziś przez gmach dyrekcji skarbowej, zapłacił rząd 3.257 złr. 43 kr. na rzecz szpitala św. Łazarza.

W budynkach pojezuickich przez długi szereg lat mieściły się — jak już wspomniano — biura gubernialne i w czasie sesyj tygodniowych przejazd przez plac był wstrzymany zapomocą łańcuchów, któremi zamykano ulice przyległe.

Kościół jezuicki służył po kasacie tego zakonu dla nabożeństw garnizonowych; kazania prawiono w nim po niemiecku. W tym też kościele odbywały się pierwiastkowo posiedzenia sejmów Stanowych.

Sejmy owe, zwane także postulatowymi, nie cieszyły się zbyt wielką popularnością w galicyjskiem społeczeństwie i do naszych czasów zachował się cięty dowcip hr. Rozwadowskiego,

iż zgromadzenia owe prosiły zawsze o to, czego im nie dano i dziękowały za to, o co nie prosiły...

Pierwotna organizacya Stanów, datująca się z dnia 13 czerwca 1775 roku, obejmowała — jak wiadomo — jedynie stany: magnacki i rycerski. Do pierwszego, prócz książąt, hrabiów i baronów, zaliczali się też arcybiskupi, biskupi i infułaci; do drugiego należał ogół szlachty osiadłej, płacącej rocznie przynajmniej 300 złp. (75 złr.) podatku.

Zakres czynności tych sejmów był bardzo szczupły. Nie wolno im było zastanawiać się nad tem pytaniem: czy, lecz jedynie nad kwestyą, jak dana sprawa miała być przeprowadzoną. Informacje, udzielane rządowi o stanie kraju, rozkład żądanego przez władzę centralną podatku, oraz sprawy indygenatu, tworzyły zakres obrad zgromadzeń Stanowych, których organem wykonawczym było kolegium stałe, złożone z sześciu deputatów, wybieralnych na lat sześć, z płacą 8000 złp. rocznie. Przewodniczącym tego kolegium był każdorazowy gubernator, lub też najstarszy deputat ze stanu magnackiego, zaś kancelarya Stanów składała się z dwóch urzędników i z dwóch kopistów. «Sejmy krajowe co lat dwa być mają» — pisał w r. 1786, w swej «Geografii» Ewaryst Kuropatnicki — «nie mówią na nim, ale w cichem milczeniu po podaniu kandydatów elekcyi reprezentantów następuje, potem zalecenie przez szefa i prezydenta Stanów do indygenatów, które samże z reprezentantami podpisuje i na tem się sejm jednodzienny zawsze kończy. Seseje reprezentantów Stanów co środa bywają w każdy tydzień. Tam projekta wentylują, referenci opinię dają i do aprobaty lub reprobaty do Wiednia wysyłają.»

Mimo tak niewinnych atrybucyj stanowych, sejmy galicyjskie nie były zwoływane w przepisanych terminach i «przez długi czas» — jak pisze kronikarz Lwowa, karmelita Chodyniecki — «były zmuszone w martwej zostawać nieczynności.» Raz tylko jedyny, w roku 1795, słyszymy o zwołaniu Stanów galicyjskich, celem uchwalenia nadzwyczajnych ofiar na cele wojenne...

Dopiero w roku 1817 pomyślano o wskrzeszeniu Stanów, które miały być rodzajem reprezentacji narodowej, lecz zwołano je na zasadzie organizacyi, nadanej tej instytucyi przez Józefa II. w r. 1782. W myśl takowej za warunek należenia do Stanów postawiono wpis do metryki Statuum, od którego też uczyniono zależnem prawo nabywania posiadłości ziemskiej w Galicyi. Prócz dawniejszych członków, zasiedli też w sejmie delegaci kapituł, zaś miasta, jak dawniej tak i teraz, były reprezentowane w izbie jeno przez dwóch deputatów miasta Lwowa.

W dniu 17 czerwca 1817 roku odbyło się pierwsze zgromadzenie Stanów w kościele jezuickim. Wojsko i oddziały milicyi miejskiej zajęły rynek, tworząc szpaler, środkiem którego zjeżdżali się do kościoła członkowie obrad w paradnych mundurach, które — jak to Ignacy hr. Komorowski zauważył — nadawały im pozór generałów francuskich, lub angielskich admirałów... Mianowany przez cesarza prezesem Stanów, gubernator ówczesny, Franciszek hr. Hauer, powitał zgromadzonych imieniem rządu, na co odpowiedział mu prymas Galicyi, Andrzej hr. Ankwicz w wyrazach pełnych wdzięczności, poczem wybrano czterech deputatów celem zaproszenia komisarzów sejmowych: Kazimierza Rzewuskiego i Stanisława Mniszka.

Jechali ci panowie w galowej karecie, odbierając po drodze honory wojskowe, a powitani u drzwi kościelnych przez prymasa i gubernatora, zasiedli na przygotowanych dla nich krzesłach obok tronu. Teraz dopiero rozpoczęły się właściwe obrady od przeczytania przywiezionego przez komisarza dyplomu cesarskiego i nadania indygenatu Hauerowi. Zaprzysiężenie członków sejmu, ponowne przemówienie Ankwicza i uroczyste nabożeństwo w katedrze zakończyły dzień pierwszy obrad. Komisarze odjechali do swego mieszkania, dokąd też niebawem pospieszyli członkowie Stanów dla złożenia im czołobitności, zaś po pięciodniowych obradach, w dniu 22 czerwca, sejm został zamknięty wśród podobnych ceremonii, jakie towarzyszyły jego otwarciu.

Że jednak pompa ta nie zdołała pokryć istotnych nicości

zebrań stanowych, dowodem wierszyk, zachowany w *Silva rerum* Hieronima Polanowskiego:

Wprowadzono na koniec sejm dla Lwowa w zysku,
 Lecz dla celu przykrego i szlachty ucisku.
 Niejeden w pierwszym roku doznał swojej zguby,
 Ostatnią rzecz zmarnował dla jakowejś chluby,
 Bo w mundurze zabłyszczał, jeździł sześćma gładko,
 Wrócił on potem na wieś, ale z miną rzadką.
 I chcąc się prędzej dostać do działek, do żony,
 Musiał się w drodze zlekkszyć, sprzedając galony.
 Dlatego w roku przyszłym był każdy ostrożny,
 Nie bardzo na sejm spieszył, chyba bardzo możny
 I tych nie wiele było, jak pamięć ma mieści,
 Zjechało się na ten sejm osób ze trzydzieści.
 Mundury na nich stare, inne nicowane,
 Szlify wraz z galonami szychem przerabiane.
 Roześmiałem się w duchu, bo nie miałem głosu,
 Z tej odmiany tak nagłej dumnych panów losu

Jeżeli jednak nieznaną poetą, zapewne pod wiejską ukrytą strzechą, kpił sobie z braci szlacheckiej, sadzącej się na cudackie mundury w 1817 roku, to inny znów, również anonimowy rymotwórca bardziej bezwzględnie przemawia do zmarłego w roku 1822 gubernatora Hauera:

Twoim to było dziełem, aby łudzić naród,
 Zaprowadzić im Stany, ten łupiestwa zaród.
 Te Stany śmiechu godne, które nic nie znaczą
 Grają komedję w mieście, gdy wieśniacy płaczą.
 Tylko kilku próżniaków, zwanych deputatów,
 Biorąc darmo pieniądze krajowi wydarte
 Robią hańbę rodakom nigdy nie zatartą.
 Nie dość, że ty zdzierałeś jako prezes Stanów,
 Trzebaż było i „wice“, trzeba więcej panów,
 Aby każdy z łupiestwa narodu zyskiwał
 A za twem przewodnictwem z ręcznie oszukiwał!

Kościół pojezuicki dwukrotnie odbierano to znów oddawano Jezuitom, którzy wygnani w roku 1773, powrócili w tegoż posiadanie w sierpniu 1836 roku, by w roku 1848 na ponowną udać się tułaczkę. Po trzech latach, (w roku 1851), oddano

im ostatecznie kościół ten, pozostający pod wezwaniem Apostołów Piotra i Pawła, lecz o zwrocie kolegium nie było i mowy. W obec tego Ojcowie umieścili się niezbyt dogodnie w kamienicy prywatnej, naprzeciw kościoła położonej. Strome schody, wiodące z kościoła jezuickiego na ulicę teatralną, stały się w Ostatni Wtorek 1874 roku widownią strasznego wypadku, gdy pod wpływem paniki, fałszywym alarmem wywołanej, tłum zebrany na czterdziestogodzinnem nabożeństwie w świątyni, jął się tłoczyć i trącić nogami zepchnięte ze schodów osoby. Od tego czasu, podczas nabożeństwa stoją otworem, prócz głównego, także dwa boczne wyjścia.

Od kościoła Jezuickiego dalsza część dzisiejszej ulicy Teatralnej nosiła nazwę Franciszkańskiej, od klasztoru Franciszkańskiego wraz z kościołem św. Krzyża, zniesionych w roku 1785. W klasztorze umieszczono szkołę normalną, w kościele od roku 1789 odbywały się przedstawienia teatralne w niemieckim dawane języku. Poprzednio teatr niemiecki koczował w drewnianej, walącej się budzie za furtaa jezuicką. Uprzywilejowany przedsiębiorca widowisk niemieckich, Henryk Bulla, nabył w roku 1792 od rządu gmach teatralny pod nader korzystnymi warunkami, bo za sumę 2.255 złotych, płatną wiesięciu rocznych ratach. W trzy lata później dobudował Bulla do teatru sale reductowe kosztem niespełna dwudziestu trzech tysięcy złotych, by w roku 1801 odprzedać całą tę nieruchomości miastu za cenę 68.721 złr 3 kr. Co prawda, gmina broniła się, jak mogła, przeciw nabyciu tych budynków, ale Bulla miał w stolicy stosunki i wpływy, dzięki którym udało mu się po długim targu i zwłoce doprowadzić do skutku korzystny dla niego interes. Budynek teatralny, mimo wielu niedogodności, ciasnoty za kułisami, braku odpowiedniego lokalu na garderobę, służył Lwowianom z górą przez lat pięćdziesiąt. Amfiteatr owalnej formy liczył łoż parterowych, pierwszego i drugiego piętra, trzydzieści i sześć, krzeseł zamkniętych sto czternaście oraz po dwieście miejsc w parterze i w galerii. A choć w teatrze ciemno było i zimno, choć olej często gęsto spadał

z żyrandola kroplami na głowy parterowych widzów, to jednak z starym — jak nazywano budynek ten — teatrem, łączyły się świetne dla sztuki polskiej wspomnienia, zwłaszcza z czasów pobytu Wojciecha Bogusławskiego w naszym grodzie, w latach 1795—1799, oraz po roku 1809, gdy dzieło przez ojca naszej sceny podjęte, znakomicie rozwinął i utrwalił Jan Nepomucen Kamiński. Zrazu starsze pokolenie tutejszych mieszkańców ze zgrozą spoglądało na teatralne widowiska, wyprawiane w murach kościelnych, na grobach — jak się to okazało w roku 1796 — nie opróżnionych z trumien — ale później zapomniano o smutnej przeszłości dla teraźniejszości wesołej. Po przeniesieniu z wiosną 1842 roku przedstawień teatralnych do teatru Skarbkowskiego służyła sala dawna do urządzania koncertów, widowisk magicznych i tym podobnych reprezentacji, lecz dzień drugi listopada 1848 roku przyniósł i starej świątyni Melpomeny wyrok zagłady.

Sale reutowe, wzniesione obok teatru, służyły zarówno do zabaw jak i do zawierania wszelkiego rodzaju transakcyi w porze kontraktowej. Słynęły bo też lwowskie kontrakty z licznych zjazdów obywatelskich, w mnogości spraw załatwianych i z hucznych zabaw, nie ustępując pod żadnym względem odprawianym w innych miastach Rzeczypospolitej. I z tego też powodu jednym z pierwszych rozporządzeń, wydanych przez lwowskie gubernium po zajęciu Galicyi, było postanowienie, ogłoszone w dniu dwudziestym szóstym października 1772 roku, zapowiadające odbycie się kontraktów w roku następnym, jakkolwiek w owym czasie wszystkie zjazdy i obrady najsurowiej były zabronione... «Dla uniknienia wszelakiej w tej mierze wątpliwości» — głosiło rzeczzone rozporządzenie — «niniejszym uniwersałem zgromadzenia i zjazdu tego nawet na rok następny 1773 od święta Trzech Królów poczynającego się a przez trzy następujące tygodnie ciągnąć się mającego, z wszelakim przypadających interesów, ziemskie czyli prywatne ugody zawierających ubezpieczeniem, byle na złe użyty nie był, albo na znowy jakie, wszystkim obywatelom polskim tak w objętych

województwach y ziemiach mieszkającym, iako y postronnym — pozwalamy».

O ile ciężką była stylizacya powyższego dekretu, o tyle lekko, wesoło płynął czas kontraktowy w Lwim grodzie, dokąd się ścigało ziemiaństwo z całego kraju z żonami i z córkami. Starsi załatwiali w tym czasie interesy dzierżawne i zastawne, kupowali lub szukali korzystnej dla swych kapitałów lokaty, pleć piękna zaś czyniła zakupna na rok cały, a młodzież korzystając z rozpoczynającego się w owej porze karnawału hulała w najlepsze. Kontrakty były punktem zbornym dla szlachty, porą obfitego żniwa dla lwowskich kupców i rzemieślników. Najhucniejszy wszakże kontraktowy zjazd przypadł na zimę 1795 roku, kiedy to, według świadectwa Bogusławskiego, przybyłego w owym czasie do Lwowa, pół Warszawy znalazło się na tutejszym bruku. Otwarte domy prowadzili wówczas i państwo Teodorowie Potoccy, i gubernator Uermenyi, bardzo pocziwy człowiek, lubiący Polaków a nawet mówiący ze słowacka po polsku i Arcybiskup Kicki i miecznikowa koronna Humiecka i głośna w całej Rzeczypospolitej pani Kossakowska, zajmująca od szeregu lat pałacyk biskupów ruskich pod świętym Jurem, Olszewscy, Baworowscy, Tarnowscy, Mierowie, Dominikowie Dulscy, Zabielscy i starosta Kalinowski, że nie wymieniamy całego szeregu arystokratycznych nazwisk, przedstawicieli starych rodów i fortun olbrzymich. Lwów, którego stała ludność wynosiła w owym czasie mało co więcej nad trzydzieści tysięcy głów, sprawiał wrażenie świetnej i ludnej stolicy. Pieniądzy było moc, gdyż miliony tu wpływały ze strony bogatych, zamiescowych gości, szukających w murach Lwowa bezpiecznego schronienia wobec wojennej zawieruchy. U księcia Adama Ponińskiego grano szalenie w karty i przegrywano olbrzymie na owe czasy sumy. Dość powiedzieć, że sam gospodarz, mimo wydatków bardzo wielkich na utrzymanie domu i przyjęcie gości, posiadał w swej kasie 94.000 dukatów, pochodzących z wygranej. Uparł się jednak dociągnąć tę sumę do wysokości stu tysięcy. Tymczasem szczęście odwróciło się

od niego i za ledwo z dwudziestoma tysiącami dukatów wyjechał książę ze Lwowa. W towarzyskiem życiu rej wiedli pan pisarz Rzewuski i Michał Wielohorski, a choć nie brakło nieuniknionych w tak licznym zjeździe kotery i intryg, to przecież żaden głośniejszy pasztet — jak mówiono w owe czasy — nie zamącił pogodnej, rozbawionej atmosfery Lwowa. Zimą przez całe kontrakty i zapusty — pisze w swych pamiętnikach Ochocki — co dzień bywała reduta, co dzień piknik, co dzień *Bürger-bal*, wszędzie pełno, wszędzie młodzież z miejsca na miejsce po dwa razy przechodziła. Dodać do tego partykularne zabawy, w kilku przynajmniej domach prośzone wieczory, po magnackich pałacach bale a wszędzie pełniuteńko — wystawić sobie będzie można z tego, jaką wówczas ludność i jak wesołą Lwów obejmował!... Prócz zebrani towarzyskich, nie zbywało miastu na widowiskach publicznych. Były więc: teatr polski Bogusławskiego i niemiecki Bulli, przedstawiające dramat, komedję, operę, balet i pantominę. Była galerya figur woskowych, zajmująca trzy obszerne sale; — istniały: szczywalnia, menażerya i cyrk wędrowny, w którym bogatsza młodzież pobierała lekcy konnej jazdy. Za godzinę płacono się trzy złote, lecz za przykładem Rzewuskiego, który codziennie bywał w maneżu, panował ścisk taki, że na dzień naprzód należało zamawiać bilet wstępu. Słowem bawiono się bez końca, kochano na zabój, grano w karty bez pamięci i zapijano się na śmierć.

Niedziw przeto, że gdy ze zmianą politycznych stosunków zniknął ze Lwowa żywioł napływowy, to miasto sprawiało wrażenie dziwnej pustki i mizeryi. Z owych to czasów datuje się zapewne wierszyk, zachowany w zbiorach Hieronima Polanowskiego a zawierający następującą inwokacyę do Lwowa:

O Lwowie, niegdyś zabaw wszelkich wynalazku!
Pełno w nim było ludzi, pełno wszędzie wrzasku,
Dawniej, gdzie czas przepędzić, gdzie pieniądze stracić,
Nigdzie, tylko we Lwowie, choćby i przepłacić.
Lecz minął już czas dawny, niema w nim tej chluby,
Zniknęły owe stroje i fioki i czuby.

Uległ też zmianie termin kontraktowych zebrań, gdyż w dniu dwudziestym ósmym października 1796 roku ogłoszono rozporządzenie, zapowiadające, iż począwszy od roku 1798 kontrakty rozpoczynać się będą z dniem pierwszego lutego. Równocześnie zapewniała władza, że postarała się o utrzymanie publicznego bezpieczeństwa na gościńcach oraz o zaopatrzenie miasta w odpowiednie zapasy żywności. Przyrzekał rząd nadto wszelką asystencję i pomoc władzy na przyzwoite żądanie, wyrażając wszakże ze swej strony nadzieję, że «każdy prawa ku utrzymaniu publicznej spokojności i dobrego policyi porządku zmierzające jak najściślej zachowywać zechce!» Dokładny opis kontraktów lwowskich z tego czasu podaje Józef Rohrer w swych wspomnieniach z podróży po Galicyi, odbytej w zimie 1802 roku. Pora kontraktowa była i wówczas decydującą dla lwowskiego świata kupieckiego. Gdy kontrakty nie dopisały, żalili się Lwowianie, jak rok długi, na złe czasy. Tłum gości zapełniał w tej porze sklepy modnych towarów: Nagażewskiego, Machowskiego, Clotza, Koberweina i braci Bürgerów, podczas gdy oszczędniejsze panie czyniły zakupna w żydowskich handlach: Cudyka, Bałabana i Götzla. Hulali nietylko dorośli, ale hasała też dziatwa na balikach dziecinnych, urządzanych przez metra tańców, Kurtza, Alzeczyka z pochodzenia.

Śmietanka towarzyska bywała też na redutach, które urządzał przedsiębiorca teatru niemieckiego, Bulla, w zbudowanych przez niego salach redutowych na placu *Castrum*, lecz nie brała udziału w tańcach. Płasał zato ogół publiczności, po-przebieranych za krakowiaków, pasterzy, Turków, Włochów i Hiszpanów. Żydzi, Murzyni i średniowieczni rycerze, w stal zakuci, krążyli po salach, lub też kupili się koło bufetu, w którym podawano lody i inne chłodniki.

Pozornie przynajmniej najlepsza harmonia panowała między Niemcami a krajowcami. Po teatrze zbierano się zazwyczaj w pierwszorzędnej restauracyi «pod trzema hakami», utrzymywanej przez Żorża Hoffmana, gdzie też toczyły się żarliwie dysputy o rozmaitych sprawach bieżących, zakrapiane

sowiecie «Erlauerem» lub maślaczem. Równie licznie odwiedzana była kawiarnia Lewakowskiego, który dla ujęcia sobie niemieckich gości, przemawiał do nich w tymże języku.

Interesy załatwiała się głównie w porze wieczornej, między godziną szóstą a dziewiątą, w salach redutowych, podczas gdy w porze pozakontraktowej gromadzono się najchętniej w kasynie Höchta przy ogrodzie pojezuickim, (dziś gmach sejmowy). Wstęp do sal redutowych kosztował w czasie kontraktów piętnaście krajcarów, porządku zaś pilnowali komisarz wraz z oficerem od warty. Asystencya ta wszakże była zbyteczną, gdyż goście kontraktowi, odznaczali się, być może, niezwykłą dla Niemców kordyalnością przy witaniu się wzajemnem, lecz nie dawali nigdy powodu do interwencji stróżów bezpieczeństwa. W wielkiej sali urabiały się interesa, przyczem adwokaci główną a głośną odegrywali rolę. Dzierżkowski, o tuszy nadzwyczajnej, w strój polski przybrany, wymowny i lubiący się popisywać swą erudycją, gromadził zawsze w koło siebie licznych słuchaczy. Dowcipny, skory do hulanki Węgłęński, i skoli-gacony z Radziwiłłami Nowakowski przedstawiali główne filary lwowskiej palestry, skupiając w swych rękach interesy nietylko obywateli galicyjskich ale i ziemian z Wołynia, Ukrainy i Podola rosyjskiego. Gdy targowano się w głównej sali, pijatyka odbywała się w najlepsze w bocznych pokojach, gdzie krążyły gęsto szklanki, napełnione gorącym ponczem...

Goście kontraktowi mieścili się w przeważnej części w kwaterach, opłacanych w sumie od dziesięciu do pięćdziesięciu dukatów, a zamawianych w domach prywatnych na czas zjazdu. W porze kontraktowej rodziny urzędników cisnęły się, jak mogły, w izdebkach od podwórza, odnajmując swe pokoje mieszkalne przyjezdnym. W ten tylko sposób były w stanie opłacać wysokie czynsze, które już wówczas nie ustępowały cenom mieszkań w Wiedniu. Ciekawe pod tym względem daty podaje znany podróżnik niemiecki, Karol Feyerabend, zwiedzający Lwów w roku 1798. Kilka niewielkich pokoików, bez mebli, kosztowało wówczas od ośmdziesięciu do stu dwudziestu dukatów

rocznie a kamienicznicy byli tak pewni swego, iż raczej dopuszczali, by mieszkanie stało pustką, niżby mieli wynająć je po tańszej cenie. Osobnego, umeblowanego pokoju nie podobna było dostać niżej sześćdziesięciu dukatów rocznie...

Część gości kontraktowych, mniej wybredna, zamieszkiwała przeto domki żydowskie, rozsiane gęsto na przestrzeni między dzisiejszą ulicą Jagiellońską a Gródecką. Co prawda, musieli kontraktowicze owi poprzestawać na brudnej izbie, w której prócz gołego tapczana, kulawego stołu i zydla o trzech nogach, żadnych nie było sprzętów, służbę zaś pokojową przedstawiał zamorusany myszures. W roku 1802 istniał we Lwowie jeden, jedyny hotel, w europejskiem tego słowa znaczeniu, utrzymywany przez Höchta. Tam też, prócz materaców, znaleźć można było i umywalnię i służbę, odpowiednio przyuczoną. Ale raj ten z powodu cen słonych, dostępnym był tylko dla szczęśliwych wybrańców losu. Mimo tych niewygód i kosztów, goście kontraktowi corocznie powracali do Lwowa w karnawałowej porze, łącząc sprawy finansowej natury z zabawą. Ten porządek rzeczy istniał aż do roku 1808, kiedyto termin rozpoczęcia kontraktów przeniesiono na dzień dwudziesty czwarty maja.

Ze stanowiska ekonomicznego przeniesienie kontraktów z pory zimowej na letnią nie było zmianą, korzystną dla szlachty wiejskiej, zmuszonej do opuszczania gospodarstwa rolnego w przededniu żniw. Ucierpiały też na owej zmianie biedna literatura i teatr, choć stary Kamiński starał się nadzwyczajnemi przedstawieniami zwabiać na polskie reprezentacje pocziwych hreczkosiejów. Zato księgarze wzdychali za kontraktami zimowymi, podczas których łatwiej było wiejskim gościom, dopytującym się o nowe kalendarze, wsunąć do ręki jakąś książczynę.

Większy lub mniejszy ruch kontraktowy był barometrem, dającym dokładne wyobrażenie o stanie zamożności w kraju. Gdy ziemia szła w górę, gdy dobijano się o dzierżawy, wówczas z pewnością było w Galicyi sporo grosza, uzyskanego z sprzedaży ziemiopłodów za granicę, o których przerabianiu

na miejscu nikomu się nie marzyło. Co prawda, skłonność do życia nad stan, oraz chęćka do nabywania towarów zbytkowych mogły niejednego cudzoziemca, nieznającego stosunków, w błąd wprowadzić co do istotnego stanu majątkowego naszego obywatelstwa wiejskiego. W każdym jednak razie zarabiali na tem lwowscy kupcy i rzemieślnicy. Każdy z kontraktowych gości zaopatrywał się we Lwowie w odzież, w meble, w pojazdy; panie kupowały bławatne towary i stroiki — a czasem i grosz jaki zbywający poświęciły na zakupno literackiej lub muzycznej nowości. Nie mogli się też uskarżać na zastój w interesach cukiernicy, sprzedający bajecznie wielkie ilości lodów, orszady, limoniady. Natomiast przestali nawiedzać rynek tutejszy handlarze futer, ryb solonych, wyziny i kawioru, znajdujący dawniej we Lwowie licznych odbiorców.

O rozmiarach interesów kontraktowych, lwowskich, dają pewne wyobrażenie dość szczegółowe sprawozdania pióra niejakiego Kochańskiego, zamieszczane w Gazecie Lwowskiej, poczynawszy od roku 1837. W tym to czasie było dóbr na sprzedaż w sumie 347.000 dukatów, do wdzierżawienia na 28.000 dukatów. Widocznie jednak popyt na dzierżawy był o wiele znaczniejszy, gdyż zrobiono kontraktów dzierżawnych na 20.500, zaś sprzedane dobra przedstawiały wartość jeno 93.000 dukatów. Zaledwo więc część czwarta wystawionych na sprzedaż nieruchomości znalazła chętnych nabywców.

Sprawy kontraktowe załatwiała się, jak już wspomniano, w tak zwanem «Kasynie Interesowem», odbywającem się podczas pogody w sali Höchta, (dziś gmach sejmowy), zaś podczas deszczu przenoszono się do sal redutowych miejskiego teatru. W roku 1839 kancelaryę kontraktową przeniesiono do pałacyku niegdyś Potockich, później Komorowskich, (dziś plac Halicki l. 10), gdzie i obszerna sala, wykładana taflami zwierciadlanemi oraz ozdobna kolumnadą, tudzież ogródek, znajdujący się od tyłu, zdawały się przedstawiać najodpowiedniejszy dla tego rodzaju negocyacji teren. Mimo to niejednokrotnie sala kontra-

ktowana świeciła pustkami, zaś przeważna część interesów załatwiała się po hotelach, kawiarniach i cukierniach.

Z kontraktami, które w latach późniejszych rozpoczynały się dopiero w pierwszych dniach czerwca, łączyły się dwa jarmarki: wełniany i św. Agnieszki. Jarmark wełniany wszedł w zwyczaj dopiero od roku 1837 i trwał przez tydzień, to jest od pierwszego do siódmego lipca. Przez zaprowadzenie wełnianego targu we Lwowie chciano zapobiedz wyzyskowi ze strony starozakonnych przekupniów, którzy, krążąc od dworu do dworu, nabywali wełnę po cenach bardzo niskich przez nich ustanowionych. Miasto w nadziei znacznych zysków z owego jarmarku pobudowało kosztem trzech tysięcy złotych szopy na pomieszczenie wełny, nie pobierając na razie od wystawców żadnych opłat. Budynki te mieściły się na wolnym placu obok jezuickiego ogrodu. Niestety i niepomysłny stan pogody i pokątne intrygi faktorów, lękających się jarmarku i z tego powodu wykupujących gotowe zapasy wełny po drobniejszych owczarniach, sprawiły, iż pierwszy zaraz targ wełniany na lwowskim rynku sromotnie zawiódł. Z powodu deszczów, padających nieustannie w ciągu maja i czerwca, wielu właścicieli, choć nie sprzedali swych zapasów żydowskim handlarzom, odłożyło strzyżę na lipiec. Tak więc na jarmarku pierwszym dostarczono zaledwo 1.700 cetnarów z owczarni pierwszorzędnych: Wojciecha Gołuchowskiego, Borkowskich, Lubomirskich, Sapiehów i Siemińskich, a i ten szczupły zasób nie znalazł nabywców, gdyż zaledwo dwóch kupców zamiejscowych zjawilo się na targu. Jeszcze gorzej poszło w roku następnym, gdyż zniechęceni pierwszem niepowodzeniem ziemianie dowieźli zaledwo 1.450 cetnarów towaru. Nie dziw przeto, iż zagraniczni kupcy nie zjawiali się po tak drobne stosunkowo zakupy. A choć producenci odgrażali się, że w latach następnych obeszłą liczniej jarmark lwowski, to przecież do szczęśliwego rozwoju tych targów nie przyszło i od roku 1855 przeniesiono je do Brodów.

Pomyślniej zapowiadał się jarmark na świętą Agnieszkę, przypadający pierwotnie na styczniowe kontrakty, a następnie

przeniesiony na czerwiec i podany w zapomnienie. Usiłowano go wskrzesić w roku 1856 w terminie od dwudziestego szóstego czerwca po dzień czwarty lipca. W tym celu plac Gołuchowski przeznaczono na miejsce sprzedaży produktów surowych, place, halicki i bernardyński oznaczono jako targowicę na konie i powozy. Na placu Ferdynanda, (dziś: Maryackim), sprzedawać miano wyroby fabryczne i kolonjalne, na placu Castrum drzewo i garnki. Nowość ta miała powodzenie w pierwszym roku, mimo słoty, towarzyszącej otwarciu jarmarku. Nie brakło ani kupujących ani też iście amerykańskiej reklamy, jak świadczyły napisy, umieszczone na niektórych kramach, a opiewające w tym sensie: Łokieć ręczników za cztery centy! lub: Trzy szklanki kawy za krajcar! Jeden z korzenników tutejszych zdobył się nawet na koncept przebrania swego subiekta w oryginalny strój wschodni, dzięki czemu koło tego namiotu ciągły tłok panował, a rożki jego, cukier lodowaty, figi i daktyle znachodziły szalony pokup. W latach następnych jarmark św. Agnieszki stracił urok nowości i poszedł niemal zupełnie w niepamięć.

Tyle o handlowej i przemysłowej stronie kontraktów letnich, które wszakże i pod względem towarzyskim ważną w życiu Lwiego grodu odegrywały rolę. Po ulicach i przechadzkach publicznych snuły się liczne, nowe lub odnowione przynajmniej pojazdy z paniami strojnymi według najświeższej, wiosennej mody paryskiej. Dostarczycielką główną strojów modnych i stroików dla wielkiego świata była modystka Papiusowa, która na tiulach, gazach, sztucznych kwiatach i koronkach krociową zdobyła sobie fortunę. Wyrocznią w kwestyach mody i towarzyskiej etykiety, zwłaszcza dla pań i panien w świat dopiero wchodzących była zmarła w roku 1855 Ludwika Bobowska, żona konsyljarza gubernjalnego. Była to dama salonowa w całym tego słowa znaczeniu. Wyniosłej postaci, elegantka, wymowna, interesowała się wszystkim i o wszystkim wiedziała. Matkowała pannom na balach, doradzała stroje mężatkom, urządzała loterie fantowe na cele dobroczynne i —

jak wszystkie osoby, zajmujące w towarzystwie wybitniejsze stanowisko — posiadała wielu życzliwych i sporo niechętnych wobec niej osób...

Na kontrakty przyjeżdżano nie tylko dla interesów, sprawunków, lub zabawy. Niejedni rodzice, obficie pobłogosławieni potomstwem, aniżeli opływający w dobra doczesne, wieźli na kontrakty lwowskie dojrzewające lub przejrzałe panny, szukając mężów dla swych pociech, mężów idealnych, nie pytających o posag przed ślubem. Niejeden młodzian z dalszych stron Podola, lub Pokucia, spieszył za pożyczone pieniądze do Lwowa, by błysnąwszy szykiem i pozorami fortunki, poprawić zachwianą swą egzystencję. Słowem karnawał letni we Lwowie odgrywał za dawnych lat tę samą rolę, co dzisiejsze zdrojowiska. Kosztował atoli o połowę taniej...

Na brak widowisk nie mogła się uskarżać publiczność kontraktowa. Nie licząc bud z panoramą i menażeryi, przeznaczonych dla szerszej publiczności, rozbijały w arenie pod jezuickim ogrodem swe namioty cyrki wędrownie: Rentza, Schlezaka, Hinzego. Na tem samem miejscu wystawiał Kamiński dramat Czokego p. t. Karol XII. pod Benderem, ozdobiony wojskowymi popisami na koniu, «Bitwę pod Połtawą» i «Zbójców» Szyllera. W ogóle podczas kontraktów letnich Lwów ożywał się do najwyższego stopnia. Pełno było w teatrze, w sklepach, w lokalach publicznych; na przechadzkach wesoło i gwarno. Anonimowy autor artykułu «Kontrakty» zamieszczonego w *Rozmaitościach* z roku 1825, (Wacław Zaleski?), temi słowy kończy swą relację o letnim karnawale Lwowa: «Życzymy nadal kontraktom takich szczęśliwych czasów, ażeby mniej było chcących pożyczyć pieniędzy, więcej mających do pożyczania — więcej dzierżawców jak dzierżaw, więcej rzetelnych dłużników i mniej upartych wierzycieli, więcej mężczyzn, jak panien do stanu małżeńskiego się zabierających, a wtedy kontrakty byłyby jedynie zabawie i najpomysłniejszym układom poświęcone, kupcy nie uskarżałiby się, chociaż może

mniej słusznie na małość kupujących, teatr na niewielu inżyników...»

Od widoku rozbawionego w porze karnawałowej Lwowa, pora odwrócić oczy ku placowi Castrum, który do niedawna świecąc pustką w samym środku miasta, dziwne na każdym przejeździe sprawiał wrażenie. Nie zawsze plac ten był pusty, gdyż gmachy pofranciszkańskie graniczyły bezpośrednio z tak zwanym niższym zamkiem, siedzibą grodowego starostwa, дарowaną przez Józefa II. w roku 1782 Stanom galicyjskim. Z lustracyi tego zamku, zwanego dla odróżnienia od Wysokiego Zamku, zamkiem dolnym, (*castrum inferius*), dokonanej na krótki czas przed rewindykacją, (w roku 1765), dowiadujemy się, że archiwum aktów grodzkich mieściło się nad bramą murowaną i sklepioną. Po prawej stronie bramy szło się do kancelaryi grodzkiej, po lewej stronie ciągnęły się więzienia. Główny budynek, jednopiętrowy, o murach grubości dwułokciowej, był już wówczas w bardzo złym stanie. W obrębie zamkowym istniały nadto: kościółek św. Katarzyny, stajnia, wozownia, kordegarda, pięć chałup tudzież oficyna murowana. Po rewindykacyi noszono się wprawdzie przez czas jakiś z zamiarem przeniesienia biur gubernialnych do niższego zamku, lecz smutny stan tego budynku był zapewne powodem, dla którego odstąpiono od tego projektu. W sierpniu 1802 roku gmina miasta Lwowa nabyła od Stanów walące się mury za cenę 8.528 zlr. i zniosła je dla urządzenia w tem miejscu targowicy.

Część pustego placu zakupił od gminy w grudniu 1837 roku Stanisław hr. Skarbek na gmach teatralny, którego budowę rozpoczął z wiosną 1839 roku, znosząc istniejącą w tem miejscu basztę piekarskiego cechu. Planów dostarczył tutejszy budowniczy, Saleman, który poprzednio kosztem hrabiego zwiędził najcenniejsze budynki teatralne na zachodzie. Budowa gmachu trwała bez przerwy przez zimę 1840 roku i zaprzętała uwagę całej publiczności. Robotników dostarczyły w przeważnej części rozległe dobra skarbkowskie, z kądem też od świtu do późnej nocy długie szeregi fur włościańskich — były to czasy

pańszczyźniane — zwoziły budulec, cegłę, wapno, kamień. Kilka-
dziesiąt tysięcy pilotów wbito w bagnisty grunt pod budowę
przeznaczony, zaś sam Skarbek w swym wiecznym, szaracz-
kowym surducie, od świtu krążył po placu, wdzierał się na
rusztowania, kłócąc się z cieślami o każdy gwóźdź zmarno-
wany, sam wypłacając robotników. Oszczędność jego graniczyła
z sknerstwem. Śmiano się z sknery, szydzono z niego, opo-
wiadano na ten temat rozliczne anegdotki, lecz hrabia nie
zważał na próżne gadaniny, jeno gorączkowo przyspieszał ro-
botę. W styczniu 1842 roku już nawet wnętrze sali i sceny
zostało wykończone, zaś w dniu 28 marca tegoż roku, nowy
teatr oddany został do użytku publicznego.

Gmach teatralny przedstawiał się na zewnątrz w tej
samej, co obecnie, szacie. Brak dziś tylko drewnianej grupy,
przedstawiającej Apollina, jadącego na wozie, ciągnionym przez
pegazy, a umieszczonej w roku 1841 na frontonie teatralnym.
Silny wichur strącił w maju 1847 roku tę przystawkę, która
rozleciała się na trzaski. Potężna rozmiarami budowa teatru,
budziła podziw wśród szerokich kół publiczności tutejszej. Prasa
zwała gmach skarbkowski lwowskim «Palais Royal», projektując
urządzenie w tym budynku sklepów, hotelu, restauracyi, cu-
kierni. Jednakowoż położenie teatru wśród dzielnicy, zamie-
szkałej przeważnie przez ludność izraelską, nie okazało się
korzystnem dla tego rodzaju przedsięwzięcia.

Pierwszy dzierżawca kawiarni teatralnej zawiesił wypłaty
już po dziesięciu miesiącach egzystencyi, a i w późniejszych
latach czynione próby utrzymywania w budynku teatralnym
pierwszorzędnego lokalu publicznego, restauracyi czy cukierni,
nie lepszego doznały powodzenia.

Wracając ulicą teatralną ku śródmieściu, naprzeciw zamku
niższego widziało się obszerne gmachy potrynitańskie wraz
z kościołem, którego front zwrócony był ku ulicy Krakowskiej.
Gmach ten ponury i wilgotny służył od roku 1784 na pomie-
szczenie uniwersytetu oraz klas gimnazjalnych, podczas gdy
kościół przeznaczono na bibliotekę, gdzie też odbywały się wa-

źniejsze akty uniwersyteckie i posiedzenia sejmów stanowych, przeniesione z kościoła pojezuickiego. Obrady stanowe, mimo sztywnego ceremoniału, przepisującego sposób odbywania tychże, bywały od czasu do czasu widownią humorystycznych epizodów. Jedną z scen tego rodzaju przekazały nam pamiętniki Ksawerego Preka, który w dniu dziewiętnastym września 1839 roku, obecnym był przy zamknięciu obrad galicyjskiego sejmku.

Już od godziny dziesiątej rano poczęli przybywać członkowie Stanów w pojazdach mniej lub więcej ozdobnych przedgmach biblioteczny, zaś jedni z ostatnich przyjechali komisarze sejmowi: Alfred hr. Potocki i Wincenty Skrzyński, których przywieziono w dworskiej, całkowicie oszklonej karecie. Niebawem po nich bicie w bębny i odgłos wojskowej muzyki oznajmiły przybycie gubernatora cywilno-wojskowego, którym był podówczas arcyksiążę Ferdynand d'Este. Wszyscy ruszyli ku drzwiom, w których ukazał się arcyksiążę w amarantowym, huzarskim mundurze, z białym dołmanem, przewieszonym przez ramiona i z sobolowym o białej kicie kołpaku w ręku. Po powitaniu zasiedli wszyscy na oznaczonych miejscach i w językach niemieckim a następnie polskim, jęto odczytywać prośby Stanów do tronu, dotyczące zaprowadzenia Towarzystwa kredytowego ziemskiego, kolei żelaznych i ulg podatkowych dla kraju pożądaných.

«W pośrodku tego widzę» — słowa dziennika Preka — «że się arcyksiążę na krześle kręci, raptem wstaje i pospiesznym krokiem postępuje ku drzwiom sali. Wszyscy zdziwieni a niektórzy potrwożeni patrzą za nim. Zatraskuje drzwi, nikt nie wie, co to znaczy, kiedy za parę minut otwierają się podwoje i spostrzegamy go wracającego znowu, jeszcze spieszniej, z mową swoją w ręku, którą był w karecie zapomniał, co znowu do jego mieszkania odjechała, a on nie mógł się doczekać powrotu posłańca».

W dalszym ciągu odbywało się posiedzenie już bez przeszkód. Arcyksiążę odczytał swą mowę, pełną życzliwych zapewnień dla kraju i wysłuchawszy dziękiczynnych odpowiedzi

wypowiedzianych przez arcybiskupa Pisteka i Ignacego hr. Krasickiego, ogłosił formalne zamknięcie sejmku.

Po raz ostatni obradował sejm postulatowy w Galicyi we wrześniu 1845 roku i wówczas to prezydent gubernialny Krieg miał się wyrazić w obec niektórych członków Stanów, zwracających jego uwagę na nurtującą w kraju agitację spiskową, że nie ma w tem nic strasznego, a w najgorszym nawet razie zaburzenia nie potrwać dłużej nad trzy dni, poczem będzie sto lat pokoju... Krwawy rok 1846 i procesy polityczne, jakie toczyły się w roku następnym w całym kraju, były przyczyną, iż Stanów galicyjskich nie zwoływano i dopiero w kwietniu 1848 roku zamierzył to uczynić hr. Stadyon. Wobec adresu marcowego, żądającego zwołania konstytucyjnego sejmku, krok ten był już spóźniony, tem bardziej, iż i deputacya polska w Wiedniu potępiła myśl zwoływania stanowych obrad jako bezsens polityczny, obliczony na wywołanie rozdwojenia w tu-tejszem społeczeństwie. Mimo to gubernator zapowiedział otwarcie sejmku stanowego na dzień dwudziesty szósty kwietnia.

Atoli już na dzień naprzód, w sali Zakładu Ossolińskich o godzinie czwartej popołudniu, odbyło się burzliwe zebranie przygotowawcze, w którem, prócz członków Stanów, uczestniczyli też delegaci świeżo zawiązanej Rady Narodowej i przedstawiciele pism miejscowych. Długo ważyły się zdania, czy należy wziąć udział w zapowiedzianych obradach stanowych, lecz w końcu znaczna większość zgromadzonych przywodziła okrzykowi Stanisława Chojeckiego: Nie ma sejmku!

Sejm stanowy przestał istnieć we Lwowie.

Prócz reminiscencyi politycznych, łączą się z gmachami potrynitarskimi, drogie wspomnienia młodości dla starszego pokolenia Lwowian, gdyż w dawnym klasztorze obok kursów uniwersyteckich i filozoficznych, mieściły się też klasy gimnazjalne. Że pomieszczenie uniwersytetu w tem miejscu nie było odpowiednie, dowodem liczne skargi i urzędowe dochodzenia, nakazywane przez władzę, zwłaszcza z początkiem bieżącego stulecia. Pomieszanie klas niższych szkół z wykładowemi sa-

lami akademickimi, zbiory biblioteczne i naukowe, marniejące skutkiem niewłaściwego przechowywania, wreszcie liczne mieszkania prywatne, zajmowane przez osoby, niepozostające w żadnym stosunku urzędowym z uniwersytetem, stanowiły główną treść zarzutów, podnoszonych przeciw zarządowi budynków akademickich.

Mówiono w mieście, że gmach uniwersytecki stał się domem zajezdny. Znalazł się nawet dowcipniś, podpisujący się jako Piotr Bürgers, pensjonowany kapitan, który wniósł do nadwornej komisji oświecenia prośbę o udzielenie mu także mieszkania w tym hotelu, zamieszkałym przez tyle pięknych kobiet... Równocześnie ze starym teatrem spłonął i uniwersytet z biblioteką w dniu drugim listopada 1848 roku. Opustoszałe mury darował rząd Rusinom pod budowę Domu Narodnego i w dniu ósmnastym października 1851 roku nastąpiła wobec panującego monarchy uroczystość założenia kamienia węgielnego pod nowy gmach.

Oddzielona od uniwersytetu wąską uliczką akademicką, (dziś dolna część ormiańskiej ulicy), w domu narożnym, (ul. Ormiańska l. 2.), istniała do roku 1877 akademja techniczna, dziś przeobrażona w instytut politechniczny i wyposażona wspaniałą rezydencją przy ulicy Sapiehy. I ten zakład ucierpiał wiele podczas listopadowej katastrofy 1848 roku, lecz dla braku odpowiedniego pomieszczenia pozostać musiał w dawnej siedzibie, niezbyt wygodnej, ciasnej i ciemnej. Przyległy do akademii technicznej dom Hausnerowski, ozdobiony filarami, (dziś muzeum im. Dzieduszyckich), zaliczał się do celniejszych kamienic w starym Lwowie, zaś istniejąca naprzeciw dawnego teatru restauracya: Pod Strzelcem, była licznie uczęszczaną przez młodzież uniwersytecką. W godzinach przedpołudniowych zdarzało się często, iż zajętym grą w bilard akademikom przerwywał partję dobry koleżka, pędzący co tchu z wiadomością, że ten a ten profesor «czyta katalog». Na wyskoki biegli rozbawieni chłopcy do sal wykładowych, by stawić się na czas wywołania swego nazwiska przez profesorów, wiedzących aż

nadto dobrze, czemu zawdzięczają tak nagły przyływ słuchaczy.

Wyjątkiem pod tym względem były wykłady Józefa Maussa, najpopularniejszego z profesorów lwowskiej Almae Matris, który stał się postacią niemal legendową, w opowiadaniach, krążących po dziś dzień po całym kraju. Żyjące jeszcze pokolenie zapamiętało owego człowieka, chuderlawego, siwego, zawsze pełnego dowcipu i serdeczności wobec młodzieży, wykładającego z zapalem swój przedmiot w ciemnowych, szufladowatych salach potrynitarskiego klasztoru. Mauss był profesorem historii austriackiej i powszechnej na tak zwanych kursach filozoficznych, na które dozwolonym był przystęp młodzieży po ukończeniu sześciu klas gimnazjalnych. Urodzony w Thengen, w Badeńskim Wielkiem Księstwie, (dnia 12. lutego 1778 r.) uczył się w Wiedniu i od roku 1806 wykładał historję w Lublanie, w tamtejszem liceum, skąd powołany został na dwór cesarski w charakterze mentora następcy tronu, arcyksięcia Ferdynanda, zaś od roku 1811 zasiadał na katedrze we Lwowie gdzie pierwszy wykład o przeznaczeniu i stanowisku akademika wypowiedział w d. 15. listopada t. r.

Uczonym badaczem w ścisłem tego słowa znaczeniu nie był Mauss nigdy. Świadczy o tem jego spuścizna literacka, złożona z kilku opowieści ulotnej treści, z notatek archeologicznych i z artykułków przygodnych, rozrzuconych w wydawnictwach współczesnych, w «Pamiętniku lwowskim», w «Pielgrzymie lwowskim» i w «Mnemosynie». Około roku 1817 nosił się wprawdzie nasz profesor z zamiarem opracowania dziejów Galicyi, a nawet czynił odpowiednie poszukiwania w archiwum aktów grodzkich, lecz skończyło się niestety na projekcie. Wziętość swą, powagę, popularność wśród młodzieży zawdzięczał Mauss znakomitym zdolnościom pedagogicznym, idealnemu pojmowaniu obowiązków swego zawodu, w którym nie kępując się suchymi formułkami, naznaczonemi mu z góry, starał się przy każdej sposobności pouczać młodzież w duchu obywatelskim, patryotycznym. —

«Był to romantyk na katedrze» — jak go najtrafniej scharytaryzował dr. Ludwik Finkel w swej «Historji uniwersytetu lwowskiego». «Muzy przywoływał ustawicznie w pomoc, wykłady jego i artykuły przetkane są fantazją... Idąc za podręcznikiem szkolnym Jakóba Branda historii powszechnej, umiał snuć na tej twardej kanwie wielkie idee i piękne obrazki, słowem działać na uczucie i wyobraźnię pokolenia oddychającego poezją i tem je naprzód jedną, zajmował, do swego wykładu przykuwał».

Niedziw przeto, że uczniowie Maussa wspominają go z najwyższym pietyzmem i szacunkiem. Ksawery Bronikowski w wydawanych przez niego w Paryżu «Pamiętnikach polskich» na samem czele помещa własne wspomnienie o zacnym profesorze, który — jego zdaniem — wykładając historję powszechną, zawsze zwracał uwagę uczniów na główne przyczyny zmian dziejów ludzkich i odrywał ją od drobnych szczegółów, wbrew systematowi austriackiemu, obciążającemu pamięć kosztem rozumowania w historii i zapatrywania się na nią z punktu filozoficznego.

Ten sam autor z rozrzewnieniem wspomina o egzaminie swym, odbytym w mieszkaniu prywatnem Maussa. «Zacny ten człowiek» — pisze Bronikowski — «przez dwie godziny Austriaka galicyjskiego przerabiał na Polaka. Nareszcie przypomniał sobie, że trzeba mnie egzaminować z tego, co wykladał i po ogólnym rysie półrocznego wykładu, przeszedł do rewolucyi francuskiej, do jej przyczyn. Kiedy mu odpowiedziałem, zapytuje mnie, czy rewolucya francuska miała wpływ na Polskę? Tyle o dziejach własnego narodu wiedząc, ile prawie cała ówczesna młodzież galicyjska, odpowiedziałem mu, że zdaje mi się, iż rewolucya francuska nie miała żadnego wpływu na Polskę. Mauss aż odskoczył odemnie, tak mu się odpowiedź nie podobała. Jak to! — zawołał prawie w uniesieniu — a ten wyraz obywatel za czasów Kościuszki, odpowiadający wyrazowi *citoyen*, a ten Kollątaj, a ten Kiliński, a te wyroki ludu, a ten manifest rozbiorowy Prus, który Polaków nazywa Jakobinami, co bynaj-

mniej nie jest dla Polaków obelgą?... Egzamin zakończył się treściwą lekcją o rewolucyi Kościuszkowskiej, o czem, jak się rozumie, Mauss ani słowa nie mówił na publicznych prelekcjach».

O żywej sympatyi, łączącej szlachetnego Niemca z naszym narodem, świadczą najlepiej dwa jego listy, datujące się z lat 1817—1818, a zachowane w zbiorze autografów Zakładu Nar. im. Ossolińskich.

Pierwszy z tych listów skreślił Mauss w języku niemieckim do twórcy Zakładu Ossolińskich, bawiącego we Wiedniu. Zaczawszy od życzeń noworocznych, wspomina następnie Mauss o znacznej frekwencji młodzieży na uniwersytecie i w bibliotece, gdzie bibliotekarz Vuchich wydaje akademikom dziennie do stu dzieł. Opowiada też w drwiącym tonie o przebiegu uroczystości ponownego otwarcia uniwersytetu lwowskiego w dniu czwartym listopada t. r. «Właściwa ceremonia inauguracyjna odbyła się w bibliotece uniwersyteckiej, pomieszczonej w potrynitarskim kościele, (dziś cerkiew miejska). Lecz podczas gdy cały piękny świat lwowski, zaproszony na ów akt biletami, zredegowanymi w języku francuskim, rozsiadł się wygodnie w sali — kazano profesorom gimnazyalnym i młodzieży wyczekiwać końca festynu na gankach...» Po tej ironicznej apostrofie, przystępuje Mauss do omówienia sprawy katedry literatury polskiej na lwowskim uniwersytecie. «Brak jeszcze katedry polskiego języka i literatury» — pisze do Ossolińskiego. — «Ucieszyła mnie ta wiadomość, że kancelarya nadworna prosiła waszą Eksce-lencyę o odnośny projekt. Tak więc przyszły profesor tego przedmiotu znajdzie wyborną wskazówkę, by zarówno własnym studjom, jakoteż swemu wykładowi nadać właściwy kierunek. Należałoby ów projekt podać do publicznej wiadomości za pośrednictwem miejscowych dzienników w języku polskim i niemieckim. Jeżeli znajdzie się człowiek, odpowiadający wymaganiom, wyrażonym w projekcie, wówczas nie pozostanie nic do życzenia, gdyż pojętność naszej młodzieży jest bardzo wielka. Niektórzy już dziś dostarczają pięknych wypracowań w mowie ojczystej, co jest rzeczą konieczną, gdyż w ten właśnie

sposób odwykają od obczyzny. Najbardziej wyróżnia się wśród młodzieży Wasilewski, pełnym energii młodzieńcem jest Głogowski. Pierwszy szczęśliwie próbował swych sił w poezyi, drugi zamierza podjąć wydawnictwo pisarzy polskich od czasów Zygmuntofskich aż do naszej doby. Wydawnictwo rzeczony ma zawierać również przekład niemiecki, by i Niemcy mogli się z niem zapoznać i korzystać z klasyków polskich. Tkwi w tem myśl zasadnicza nawiązania ożywionych stosunków literackich między oboma narodami, które to związki mogą mieć jak najlepsze skutki dla jednych i drugich... Cel jest wielki i niemniej znacznemi będą owoce, bogate w skutki, które ducha obu narodów, oglądającego się jawnie lub skrycie na wzory Zachodu lub Południa, uczynią bardziej samoistnym. Nienawiść, dzielącą jeno i szkodzącą wspólnemu dobru, pozostawić należy motłochowi. Umysły wyższe miłują się, stwarzają sobie raj wspólny i szanują się wzajemnie.. Jest jeszcze jeden młodzieniec, pełen nadziei i ożywiony świętym zapalem dla umiejętności, młody hrabia Tytus Dzieduszycki, obdarzony również najrzadszemi zdolnościami, tak, że u niego: chcieć i módz, znaczy tyleż co u Głogowskiego. Z kółkiem tej rozkwitającej młodzieży utrzymuje też stosunki wybór młodzieży niemieckiej. Donoszę o tem waszej Ekscelencyi, wiedząc, że sprawię tem przyjemność waszemu umysłowi, poświęconemu nieustannie dobru ludzkości, wyrażając zarazem pomyślną nadzieję, że dorastający synowie ojczyzny nie okażą się niegodnymi przykładu dostojnych swych i dobrze zasłużonych przodków, lecz kierować się będą roztropnością i wytrwałością. Jakkolwiek się stosunki ułożą, doskonałość młodzieży wróży nam lepszą przyszłość. Dobę dziejową stwarzają ludzie, natura dobrotliwa daje blask słoneczny, lub pogodę, lecz tylko cnota i sprawiedliwość wytwarzają wielkich mężów»... W dalszym ciągu listu wspomina Mauss o postępie budowy gmachu Zakładu Ossolińskich, oraz nadmienia o dziele swem, traktującym o «Hystoryi Galicyi», które doprowadził do roku 1347.

Pismo powyższe wymaga pewnych komentarzy. Przede wszystkim potrzebuje wyjaśnienia zawarta w początkowym ustępie listu wzmianka o katedrze języka polskiego na uniwersytecie lwowskim. Rozporządzeniem cesarskim z dnia czwartego listopada 1817 roku postanowiono wprawdzie wprowadzenie języka polskiego, jako nadobowiązkowego w programie nauk tutejszej wszechnicy, lecz wiele lat upłynęło, zanim postanowienie to weszło w życie. Ubiegającego się o katedrę Jana Kamińskiego, dyrektora sceny miejscowej, nie chcieli mieć w swem gronie luminarze lwowskiej wszechnicy, twierdząc iż aktor nie może być profesorem, zaś inni kandydaci nie posiadali wymaganych warunków. Tak więc dopiero w roku 1825 zamianowano profesorem polskiego języka i literatury Mikołaja Michalewicza, skończoną miernotę, dzięki czemu tak długo oczekiwane wykłady świeciły pustkami. Tyle o katedrze polskiego języka.

Z młodzieży, o której z takim zapalem wyraża się Mauss w swem piśmie, jeden tylko jedyny Tadeusz Wasilewski, późniejszy konsyljarz gubernjalny i wicemarszałek Stanów, poświęcał się literaturze. Z prac jego drobne zaledwo ułamki zostały ogłoszone drukiem, cała zaś spuścizna literacka po Wasilewskim pozostała, złożona z pism politycznej treści, z poezyi, z powiastek, z komedyi oraz z powieści p. t. Szymona Brzeski, spoczywa w rękopisach Zakładu Ossolińskich. Natomiast wydawnictwo klasyków polskich, zamierzone przez Głogowskiego, skończyło się na projekcie, zaś zmarły w kwietniu 1870 roku Tytus Dzieduszycki, pan na Jabłonowie, Semenowszczyźnie i Horodnicy, przygodnie tylko chwycił w późniejszych latach za pióro, ogłaszając rozprawy gospodarczej treści pod pseudonimem Philopolskiego.

W związku z listem do Ossolińskiego pozostaje drugie pismo Maussa, skreślone w kilka dni później, (dnia czwartego stycznia 1818 roku), do przybywającego we Wiedniu radcy dworu i dra praw Brynickiego. I tu główny ustęp listu poświęcony jest młodzieży, pracującej z tak wielkim zapalem nad

rozprawami przeznaczonemi dla Maussa. — «Kocham tę młodzież» — pisze zacny profesor. — «Gdyby najwyższa opieka i kierownictwo z należytą energją połączyły też konieczną przeczorność i mądrość stanu, to wówczas na drodze publicznego wychowania najbardziej zbawienne i pożyteczne rezultaty zostałyby osiągnięte zarówno dla całego państwa jak kraju. Światły Ossoliński na wezwanie nadwornej komisji naukowej dostarczył projektu dla powstać mającej katedry polskiego języka i literatury, która to rozprawa w czterdziestu sześciu paragrafach wyczerpuje gruntownie cały przedmiot. Gdyby tylko mógł przedstawić odpowiedniego kandydata. On tylko wskazać go może. My nie znamy przedmiotu. Wybór naszej młodzieży kształci się na literaturze niemieckiej. Staram się ją przekonać o szkodliwym wpływie literatury francuskiej na piśmiennictwo ojczyste, oraz wskazać jej korzyści, jakie dla silnego krzewienia polskiego piśmiennictwa przedstawia stateczne i żywe obcowanie z literaturą niemiecką. Polska mowa jest siostrzycą niemieckiej. Zajęcie się tą ostatnią nie przedstawia żadnej szkody dla pierwszej. Nigdy niemczyzna nie wyprze mowy polskiej z tutejszego społeczeństwa. Obie literatury muszą się kształcić samodzielnie, czerpiąc same z siebie siłę. Motłoch stworzył rozdwojenie, ludzie rozsądni kochają się, są zawsze zgodni po wszystkie czasy»...

Mimo szczerzego pietyzmu dla pamięci Maussa, niepodobna nam się pisać na poglądy jego zbyt optymistyczne — naszym zdaniem — na wzajemny stosunek polskiego i niemieckiego piśmiennictwa. Licząc się z wolą sfer rządowych, mógł wprawdzie szlachetny narodu naszego przyjaciel zachęcać prywatnie młodzież do studyowania ojczystego języka i dziejów, lecz publicznie musiał, chcąc nie chcąc, popierać jej próby, czynione w niemieckim języku. Gdy w roku 1821 pozwolił rząd Maussowi i profesorowi statystyki, Hüttenowi, na wydawnictwo «Pielgrzyma lwowskiego» w języku polskim, nie omieszkało dodać do owej koncesyi warunku, by «Pielgrzym» wychodził

równocześnie po niemiecku. Pisywali przeto po niemiecku Polacy, zachęcani przez swych profesorów, tak do «Pielgrzyma», jak i do powstałej w dwa lata później «Mnemosyny» Zawadzkiego. W ten sposób nie przyniesiono żadnego pożytku zasobnej literaturze niemieckiej, zaś polskiemu piśmiennictwu odejmowano młode siły.

Wracając do działalności profesorskiej Maussa, niepodobna pominąć milczeniem śmiałego jego wystąpienia przy sposobności oceniania rozpraw studenckich, o których w liście do Brynickiego wspominał. Co pół roku każdy z jego słuchaczy winien był opracować na piśmie dowolnie wybrany temat historyczny. Prace te Mauss przeglądał i zasługujące na pochwałę zaszczycał rozbiorem w klasie. Razu pewnego uczeń, nazwiskiem Leszczyński, napisał dobrą rozprawkę o Rudolffie z Habsburga. Profesor pochwalił pracowitość ucznia, lecz wytykając usterki jego wypracowania, nie omieszkał zauważyć, że lepiejby piszący postąpił, zabierając się do skreślenia rozprawy o Stanisławie Leszczyńskim... Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie wśród gorącej młodzieży wywołać musiało tego rodzaju odezwanie się jej ulubieńca!

Wincenty Pol, który w latach 1823—1825 był słuchaczem tutejszych kursów filozoficznych, w jednym z swych prześlicznych obrazów prozą, («Z burzy»), znakomicie scharakteryzował szeroki, iście akademicki pogląd Maussa na naukę dziejów. Przy egzaminie nie zwracał on uwagi na daty, obarczające pamięć ucznia, lecz przede wszystkim starał się wybadać, jak on pojął, zrozumiał charakter danej epoki.

— Powiedz mi waćpan — pytał wówczas Stanisława Pilata — który charakter w historii greckiej zajmuje cię najwięcej?

— Charakter wielkiego, greckiego ducha, który się odbił w dziejach, w literaturze i w sztuce starożytnej Grecyi — brzmiała odpowiedź ucznia.

— Brawo! — zawołał profesor. — Dla nas nie ma w istocie ludzi greckich, ale pozostał wielki duch greckich dziejów...

Podobny pogląd na ocenę dziejowych wypadków wypo-

wiedział też Mauss w dniu pierwszym marca 1826 roku, witając młodzież po dłuższej przerwie w wykładach, spowodowanej słabością. — «Czem jest bitwa na morzu i lądzie?» — pytał wymowny prelegent. — «Niczem innym, jak tylko urzeczywistnieniem myśli. Ramię i miecz wodza są słabe i ułomne. Trafność i głębokość planu dają im zwycięstwo. One są wytworem myśli i badania, to jest nauki. Odkrycia i wynalazki wszelkiego rodzaju powstały na podstawie badań. Myśl Kolumba, nie zaś załoga i ekwipaż wyprawy odkryły świat nowy. Myśl minoryty Schwarca, nie rycerstwo średniowieczne, zburzyła zamki buntowniczych raubritterów, urągające tak długo i bezkarnie władzy i prawu!...»

W najpiękniejszym wszakże świetle zabłysła cywilna odwaga Maussa w czasie rewolucyi listopadowej, której wypadki oddziaływały na niego równie silnie, jak na każdego Polaka z dziada i z pradziada. W opustoszałej sali odczytywał stosownie do zlecenia władzy spis uczniów, lecz widoczną mu to sprawiała przyjemność, iż liczba słuchaczy z dniem każdym topniała. Kiedy raz czytał nazwisko nieobecnego, odezwał się któryś z uczniów: Poszedł do Polski!

Mauss przerwał czytanie katalogu, zmierzył wzrokiem odzywającego się i rzekł z naciskiem:

— Spełnił swoją powinność, zapewne i pan ją spełniesz!

Nazajutrz młodzian ów podążał ku granicznym kordonom zaś Mauss notując jego nieobecność, zauważył lakonicznie: Spełnił swoją powinność!

Po nieszczęsnej wyprawie Zaliwskiego, zaostrzyły się w Galicyi stosunki między rządzonymi a rządzącymi. Nad całym krajem zawisła ponura atmosfera śledstw politycznych, wyroków, egzekucyj, które przez lat piętnaście nie przestały wybierać swych ofiar z najszlachetniejszej warstwy narodu. W tej dobie spiskowej, której kres położyły dopiero wypadki czterdziestego ósmego roku, podejrzliwa władza, czyhająca na każde słówko niebacznie wypowiedziane, ścieśniła do niemożliwości wolność wykładów akademickich. I Mauss, lubo nie podejrzany

pod względem politycznym, jako mentor panującego monarchy, poddać się musiał wpływowi nowej ery. Wówczas to zdarzył się wypadek, o którym długo krążyło wspomnienie w murach lwowskiego uniwersytetu. Pewnego popołudnia zapowiedział Mauss wykład poglądowy o wielkiej rewolucyi francuskiej. Młodzież tłumnie zgromadziła się w sali historyi — ale ktoś kazał profesorowi zachorować i zapowiedziany wykład nigdy już nie przyszedł do skutku.

Skrepowany w wykładzie swym istniejącymi przepisami, dźwigał się, jak mógł, stary profesor dzięki niewyczerpanej krynicy dobrego humoru, wśród trosk i ciosów bolesnych, jakich mu życie nie szczędziło. Z dowcipów Maussa, tylekrotnie powtarzanych, przytoczymy jako mniej znaną odpowiedź jego, daną pewnemu pułkownikowi dragonów. Pułkownik ów, zakwaterowany w realności Maussa przy ulicy Jagiellońskiej, trapił nieustannie gospodarza skargami z powodu wody, podmywającej piwnice. W końcu zniecierpliwiony Mauss obdarzył dragona następującą epistołą:

*Herr Oberst,
Das Wasser ist ein Element
Und kein Regiment.
Drum kann man ihm nicht commandiren,
Es solle retiriren!...*

W roku czterdziestym ósmym Mauss ustąpił z katedry, lecz związany węzłami pokrewieństwa z tutejszem społeczeństwem, dożywał we Lwowie dobrze zasłużonej emerytury. Zmarł w dniu jedenastym września 1856 roku.

Skromny grobowiec na Łyczakowskim cmentarzu kryje zwłoki szlachetnego cudzoziemca, który tak gorąco pokochał przybraną ojczyznę i prawdziwym był przyjacielem młodzieży. Młodzież, ucząca się, podobnie jak dziś, tak i przed półwiekiem, była niejednokrotnie przedmiotem namiętnych krytyk. Z pamiętników współczesnych znamy jej zapał dla sprawy narodowej, udział w robotach spiskowych, cierpienia w więzieniach przebyte. Co jednak ta młodzież porabiała w codziennem życiu,

po za obrębem ław uniwersyteckich, co ją zajmowało i ba-
wiło, to do niedawna było dla młodszego Lwowian pokolenia
nieznaną kwestyą, osłoniętą tajemniczą, mglistą zasłoną, którą
rozświeciły poniekąd zapiski rękopiśmienne, odnalezione w zbiorach
bibliotecznych.

I tak Ksawery Prek, wychowanek wykwintnego dworu
puławskiego i autor wielce ciekawego, anegdotycznego pamięt-
nika z owych czasów, dał nam wcale niepochlebny obraz
młodzieży lwowskiej z roku 1839. «Z prawdziwym podziwem
— słowa Preka — «patrzę na te potwory szczególne, z włosami
rozpuszczonemi, z brodą obrośniętą jak żydzi, z paznogiemi
rysiemi na cał długimi, z suknią opiętą, a z tym całym ukła-
dem do niczego niezdatne, tylko do naśladowania mód pary-
skich i chęci odznaczenia się złymi obyczajami, paleniem prze-
sadnem cygar i rozrzucaniem się od niechcenia na każdym
krześle, trawieniu nocy na hulaniu, a odpoczywaniu po całych
dniach»... Nietrudno wszakże dorozumieć się, iż nasz autor
miał tu na myśli tak zwaną złotą młodzież, która wolna od
trosk o jutro, mogąca w każdej chwili zaspokoić najwybred-
niejszy kaprys, żyła hulaszczco, szeroko, o ile na to pozwalały
stosunki małomiasteczkowe, panujące podówczas w Lwimgrodzie.

Młodzież ta znalazła swych historyków w Leszku hr. Bor-
kowskim, który opisał ją z bezlitośnem szyderstwem w «Pa-
rafjańszczyźnie» i w Józefie Dzierzkowskim, snującym na
owem tle szereg powieści ciekawe rzucających światło na
stosunki współczesne, galicyjskie.

Nie była wszakże ascetyczną, stroniącą od zabaw i psot
głośnych niekiedy i ta część młodzieży, która o głodzie i chłodzie
dobijała się jakiegokolwiek stanowiska w przyszłości. Mło-
dzież ta wychowywała się sama. Obcokrajowcy, zasiadający na
katedrach uniwersyteckich, nie wiedzieli o niczem zgoła, co się
w około nich działo. Najgorliwsi z profesorów, oddani jedynie
nauce i zawodowym obowiązkom, nie zwracali zupełnie uwagi
na ducha, panującego wśród młodzieży ich pieczy powierzonej,
która nie znajdując zaspokojenia moralnego w przeważnej

części wykładów, puszczone samopas, spiskowała, lub też traciła czas i zdrowie na bezmyślnych rozrywkach. O ile uniwersytet nie bardzo troszczył się o swych wychowanków, o tyle baczna poświęcał im uwagę czujny dyrektor policyi, Sacher-Masoch, który już przed gromadnemi aresztowaniami, jakie nastąpiły w roku 1840, oskarżał nieustannie młodzież wobec władz akademickich. I tak w roku 1837 obwinił Wiktora Peplowskiego i Antoniego Felsztyńskiego o *politische Umtriebe*. W latach 1839—1840 zwracał uwagę na Józefa Skałkowskiego i Apolinarego Stokowskiego, jako zachowujących się w teatrze *anstandslos*, a równocześnie zaopiekował się gorliwie Albinem Dunajewskim, późniejszym księciem kardynałem, agitującym wówczas wśród młodzieży prawniczej. Raport policyjny podaje Dunajewskiego, jako człowieka wielce niebezpiecznego, (*durch sein bestimmungsloses Herumtreiben notirt und politisch verdächtig*).

Natomiast policyja patrzyła przez palce na awantury, wyprawiane w mieście przez tak zwanych pansyonistów, klub młodzieży prawniczej, których odznaką była czerwona, szeroka krawatka. Celem tej korporacji były: birbanterya, błazeństwo i bezwstyd. Należeli tam przeważnie Niemcy, lub niemczący się Polacy i obrali sobie przewodniczącym niejakiego Kelhamera, którego tytułowali baronem Kelkip i wyprawiali z nim na rynku najprzeróżniejsze awantury. Pansyoniści nie istnieli zbyt długo i wśród uczącej się młodzieży polskiej nie znaleźli prozelitów.

Młodzież nasza uczyła się pilnie i braki wykładów starała się uzupełnić własną pracą, zwłaszcza w kierunku zapoznania się z ojczyestmi dziejami i literaturą polską, o której wychodząc ze szkół gimnazyalnych, najmniejszego nie miała wyobrażenia. Pod względem zaznajamiania młodzieży z arcydziełami literatury ojczyestej, znakomite sprawie narodowej oddał usługi Dymitr Mochnacki, syn grecko-katolickiego parocha z Radoszyc, szczerze nam oddany. Pamiętniczek jego zachowany w zbiorach Zakładu Ossolińskich, zawiera arcyciekawe

szczegóły, dotyczące życia ówczesnej młodzieży akademickiej i na tem większą zasługuje uwagę, że autor jego słynął z prawdomowności. Mochnacki był uczniem samborskiego gimnazjum, gdzie młodzież czytywała chętnie i z zapalem, lecz przedmiotem jej lektury były przeważnie dzieła niemieckie od Szyllera i Getego poczynawszy, a skończywszy na *Ritter- und Raubergeschichten*. O istnieniu polskiej literatury nie miał Mochnacki najlżejszego przecucia i dopiero za przybyciem do Lwowa, w murach ruskiego seminarjum wpadła mu w rękę *Polihymnja* Szczepańskiego, w której poznał utwory Mickiewicza, Karpińskiego, Brodzińskiego i innych narodowych poetów.

Wydane w Paryżu poezye Mickiewicza, noworocznik «Melitelę», pojedyncze tomy Fredrowskich komedyj wyrывała sobie młodzież z rąk do rąk. Wśród słuchaczów wydziału prawniczego rej wiódł Stanisław Marynowski, młodzieniec pochopny — jak to mówią — do tańca i do różańca. On to w salonie wywalczył prawo obywatelstwa dla czamarki, która przez czas jakiś wyrugowała z towarzystw polskich fraki. Liczne również grono młodzieży kupiło się koło Piotra Kuliczkowskiego, gdzie przeważnie zajmowano się literaturą i historią. Czytano dzieła polskie i niemieckie, pisano rozprawy, które następnie odczytywano na wspólnych zebraniach. Młodzież ta, marząca o literackich laurach, a pisując ukradkiem poezye, zajmowała się nader żywo teatrem. Smochowski był jej bożyszczem, podczas gdy starsi aktorowie z Bensą na czele nie cieszyli się względami tych młodzieńców, tem przeto bezwzględniejszych sędziów, którzy swe krytyczne poglądy wyrażali w nadesłanych do *Rozmaitości* artykułkach, podpisanych inicjałami J. Z. Kruszono w niej kopie głównie w obronie Julii Zameckiej, ulubionej wodewilistki, której sceniczne sukcesy i podboje po za obrębem teatru poczynione, solą były w oku starszym o wiele koleżankom. W kulcie Zameckiej prym wiódł Kuliczkowski, lecz uczucie to było ściśle platoniczne. Gdy bowiem Zamecka, dowiedziawszy się od kogoś o gorących objawach sympatyj, zdradzanej dla niej na każdym kroku przez Kulicz-

kowskiego, wyznaczyła mu schadzkę w ogrodzie pojezuickim — nieśmiały młodzian nie stawiał się o wyznaczonej porze... Nie uszedł wszakże swemu przeznaczeniu. Zawrócił mu głowę Kirdźali Michała Czajkowskiego, po którego przeczytaniu jał udowadniać kolegom, iż dla kochanki zdolnym byłby zdradzić ojczyznę, a do reszty oszołomiła biedaka artystka warszawska Waldowa, która w roku 1839 gościła na lwowskiej scenie. Za zwodniczą syreną powlókł się nieszczęśliwy chłopak do Warszawy, gdzie strawiony suchotami, wkrótce życia dokonał. Dla młodzieży odstraszący to był przykład, iż ideałów nie szuka się w królestwie kulis i szminki!...

Kółko zwolenników teatralnej sztuki kupiło się też koło młodego Garapicha, mieszkającego w kamienicy Bogdanowiczów przy ulicy Dominikańskiej. U niego też od czasu do czasu odbywały się przedstawienia amatorskie. Raz nawet porwano się na Szyllerowskich «Zbójców». Karolem był Garapich, Franciszkiem Kuliczkowski. Obok tych miłośników sztuki i literatury istniało też grono młodzieży, zgromadzające się stale u Albina Kulikowskiego, a rozprawiające o filozofji i o innych ściśle naukowych kwestyach. Sam gospodarz był zapamiętałym Heglistą, zaś stałymi jego gośćmi byli Alojzy Rybicki, Wnękie-wicz i Eder. Zachodzili tam i inni, których wabiły po części kawa, jaką Kulikowski podejmował swych gości, po części zaś rozmowa, pouczająca i światłe grono uczestników tych zebrań. Bardziej polityczny charakter miały schadzki, odbywające się w kamienicy, będącej własnością Panien Benedyktynek. Mieszkała tam młodzież, której przytułku i utrzymania dostarczał bezpłatnie ów konwent. Rej wiedli w tem kółku Apolinary Stokowski i Marcei Skałkowski. Historia polska, narodowa literatura i propaganda w duchu patryotycznym, były głównem zajęciem tej gorącej młodzieży, która padła ofiarą bezimiennej denuncyacji. Niespodziewanie zarządcono w pokojach przez młodzież zajmowanych rewizyę i widocznie znaleziono coś podejrzanego pod względem politycznym, gdyż wyrugowano natychmiast wszystkich młodych ludzi z bezpłatnego mieszkania,

zaś ksienie klasztoru, poetkę Maryę Józefę Kuhn, wywieziono do Styryi.

Garnęła się też chętnie młodzież pod opiekuńcze skrzydła Siemieńskiej, która żyła z zasiłku, udzielanego jej przez panią Międzyńską. Matkowała ona młodzieży, która też zwała ją matką, mateczką. Ktokolwiek z emigracyi przybył do Lwowa, ten pierwsze zwracał kroki do pani Siemieńskiej, u której też szukały doświadczonej rady wszystkie żony i siostry uwięzionych. Siemieńska grzeszyła potroszę despotycznością charakteru, a potroszę też gadatliwością, która ją zgubiła. Ufność starej kobiety wyzyskał bowiem komisarz policyi lwowskiej, Lorenci, który udając przychylność dla naszej sprawy, korzystał z jej opowiadań w swem urzędowaniu. Dopiero uwięzienie Kaspra Cięglewicza, bawiącego w Drewlanach u hrabiego Zamoyskiego, rzuciło cień podejrzenia na Siemieńską, gdyż wiadano, że Cięglewicz po ucieczce z aresztów lwowskiej policyi utrzymywał z nią listowne stosunki. Od nieszczęśliwej kobiety usunęli się wszyscy, z wyjątkiem pałtryotycznej rodziny krawca Gromadzińskiego, nie dającej wiary krążącym w mieście pogłoskom. Powrót Cięglewicza w roku 1848 do Lwowa stał się powodem śmierci Siemieńskiej. Nie mogąc się doczekać jego odwiedzin, poszła sama do Cięglewicza, by usłyszeć groźną odprawę: Szpiega nie przyjmuję!... Staruszka powróciła do domu i zażywszy opium, zasnęła na wieki. Pogrzebali ją Gromadzińscy własnym kosztem w cichości największej. Do dziś dnia nie jest rzeczą pewną, czy zarzut szpiegostwa, podniesiony przez Cięglewicza przeciw Siemieńskiej, polegał na prawdzie, czy też na złudnych — jak to się często zdarza — pozorach. Nie można atoli oprzeć się przy tej sposobności wypowiedzeniu ogólnej uwagi tej treści, iż grzechem odwiecznym naszego społeczeństwa jest łatwo-wierność, z jaką przyjmuje każdy zarzut, dotyczący zdrady czyjejkolwiek wobec kraju i narodu...

Rok 1836 dał początek prześladowaniom młodzieży przez władze rządowe. Denuncyacya kleryka, Arbaszewskiego, sprowadziła pierwsze ciosy, jakie spadły na organizację spiskową

młodzieży w murach rzymsko-katolickiego seminaryum. Uwieszono wówczas Józefczyka, Domina, Antoniego Łuczkiewicza i wykluczono z wydziału teologicznego: Wiktora Pepłowskiego, Michałowskiego, Ernesta Hausera, Katyńskiego i wielu innych. Tak pozbawiono seminaryum najzdolniejszych i najpilniejszych wychowañców, którzy w innych zawodach poszli dobijać się uznania i chleba. Bolesne przejścia, od których ochronić ich nie umiano, zahartowały im ducha. Kto z młodzieży przetrwał ciężkie chwile próby, ten szedł i przeszedł zwycięsko przez dalsze życia koleje.

Wracając do starego Lwowa, nadmienić należy, że za gmachami potrynitarskimi, w stronę dzisiejszego teatru skarbkowskiego, ciągnęły się pustki i bagna na których, według dawnego podania, strzelać miano kaczki. Czy i kiedy strzelano w tych stronach błotne ptactwo, dojść dziś niepodobna. To jednak jest rzeczą pewną, iż za gmachem teatralnym, od strony północnej, rozciągała się posiadłość towarzystwa strzeleckiego, złożona z ogrodu i pasieki, przzerwana bramą krakowską. Była to potężna budowa, dźwigająca basztę cechu kuśnierskiego, opatrzona w dwie bramy, z których zewnętrzna zbaczała nieco na lewo, skutkiem czego w bramie panował wieczny mrok. (Brama krakowska istniała w miejscu, gdzie dziś ulica Skarbkowska przecina Krakowską). Po prawej stronie bramy ciągnęły się znów grunta strzeleckie wraz z stawem i z młynkiem tudzież z umieszczonym tuż przy bramie cylstatem tj. strzelnicą. W fosie, ciągnącej się wzdłuż dzisiejszej ulicy Skarbkowskiej ku Dominikanom, odbywały się popisy konfraternii.

Z chwilą wcielenia Galicyi do Austrii pozwolono wprawdzie strzelcom i nadal odprawiać ćwiczenia w dotychczasowem miejscu, ale już w roku 1775 względ na bezpieczeństwo publiczne spowodował władzę do cofnięcia tego zarządzenia. Oświadczono jednak strzelcom, że jeżeli wynajdą miejsce odpowiednie do swych popisów za miastem, to rząd nie będzie stawiał im żadnych przeszkód. Oglądała się więc konfraternia za stosownem pomieszczeniem strzelnicy przez lat kilka z rzędu. Pro-

jektowano jej budowę w pobliżu stawu Pelczyńskiego, to znów na gruntach strzeleckich przy ulicy dzisiejszej Kochanowskiego położonych a sprzedanych później Schumanowi pod budowę jego zakładów fabrycznych. Odległość wszakże obu tych miejscowości od miasta a po części też brak potrzebnych funduszy w kasie brackiej były przyczyną, dla której do wykonania owych projektów nie przyszło i dopiero w kwietniu 1783 roku zakupiono za cenę 22.000 złp. od spadkobierców Noëla ogród, tak zwany Czczewiczowski wraz ze znajdującymi się tamże budynkami. Część ceny kupna wypłacono natychmiastowo z gotowizny, znajdującej się w kasie brackiej, reszty zaś dostarczyły dochody, płynące ze sprzedaży gruntów konfraternii przy bramie krakowskiej, które po roku 1777, to jest po rozporządzeniu rządowym, nakazującym znoszenie dawnych murów, baszt i bram, poczęły się rychło zabudowywać, tworząc dzisiejsze ulice: Strzelecką i Skarbkowską. Ta ostatnia zamknięta była przez basztę cechu rymarskiego, zwaną lodową, którą rozebrano w roku 1854; służyła ona konwentowi dominikańskiemu za dzwonnice. Ulica Skarbkowska zwała się w chwili powstania Niższą Ormiańską, dla odróżnienia od właściwej ulicy Ormiańskiej, przezwanej wówczas Wyższą Ormiańską a tworzącą odwieczną siedzibę tych przemysłnych ze Wschodu przybyszów. Z końcem ubiegłego wieku ulica ta zaliczała się do najbardziej arystokratycznych w mieście. Niestety pożar, srożący się w tej dzielnicy w roku 1778, zniszczył przeważną część starych domostw przy ulicy Ormiańskiej położonych wraz z dawnym pałacem arcybiskupim, odnowionym później przez Jakóba Stefanowicza. Do roku 1861 ulica dzisiejsza Ormiańska była zupełnie zamknięta, gdyż w miejscu dalszego ciągu ulicy Grodzickich, przecinającej ją w kierunku placu Strzeleckiego, stała kamienica Augustynowiczów, sprzedana miastu w roku 1858 za cenę 16.000 zł. monety konw.

Kościół Dominikański, przebudowany z gruntu w latach 1749—1764 na wzór kościoła św. Piotra w Rzymie, posiadał przed rokiem trzydziestym starannie utrzymane katakomby,

w których mieściła się obszerna kaplica Bożego Grobu. W przed-sionku owej kaplicy istniały wzdłuż ścian ustawione sarkofagi, przedstawiające leżących w zbroi rycerzy. Były to pomniki Wacława Dzięduzycznego, Stanisława Włodka, Jana Swoszo-wskiego, Mikołaja Herburta, Pawła Tarły i Rzeczkowskiego. W kaplicy odprawiano kilka razy do roku msze żałobne, zaś w bocznych nawach krypty znajdowały się trumny, pogrze-bionej tamże zakonnej braci oraz świeckich osób. W roku 1831, podczas panującej we Lwowie cholery, wywieziono wszyst-kie trumny na cmentarz, zaniechano odprawy nabożeństwa w kaplicy, a co gorsza, kryptę grobową zamieniono na składy jarzyn i trunków, wydzierzawianą niejednokrotnie handlarzom starozakonnym. Wśród takiej gospodarki niszczały pozostawione bez wszelkiej opieki pomniki, które dopiero w roku 1866 ocalili od ostatecznej zagłady, znany badacz przeszłości Antoni Szneider i malarz Leopolski. Za ich staraniem wydobyte z podziemia sarkofagi zostały odnowione i znalazły pomieszczenie w gór-nym kościele.

Najmniej stosunkowo zmian wykazują z końcem ośm-nastego i z początkiem bieżącego stulecia ulice: Ruska, Zarwa-nica, Serbska i Wekslarska, mimo pożogi, jaka nawiedziła w roku 1839 tę część miasta. Ulicą Ruską szło się do furty t. z. bo-sackiej, położonej na lewo obok cerkwi wołoskiej, mniej więcej naprzeciw schodów kamiennych, wiodących ku zabudowaniom niemieckiego gimnazjum. Na furcie bosackiej wznosiła się dwu-piętrowa kamienica Połetyłów rozebrana dopiero w r. 1838. Podwale zaczęto uporządkowywać już w lecie 1811 roku. Zasy-pano wówczas bagnistą fosę za bosacką bramą i wycięto przez ogród bernardyński ulicę dla połączenia ulic: Nowej (dziś So-bieskiego) i Serbskiej z przedmieściem halickiem.

Zarówno ulice dzisiejsze: Sobieskiego jak Wałowa po-wstały już po rewindykacji. Dawniej w tę stronę szło się przez boczną furtkę, umieszczoną w bramie halickiej. Bra ma ta wznosząca się w miejscu, gdzie ulica Sobieskiego przecina dziś ulicę Halicką, dźwigała również na sobie basztę, należącą do

cechu krawieckiego. Choć brama halicka nie była podwójną, gdyż na zewnątrz posiadała tylko wrota, to jednak i w niej panował mrok wieczny, nieprzeszkadzający bynajmniej przekupniom w wystawianiu na sprzedaż w urządzonych w tem miejscu kramikach rozmaitych narzędzi gospodarskich. Naprzeciw furtki bocznej, wiodącej ku Bernardynom, oraz ku istniejącej między murami miejskimi łaźni publicznej, istniały wrota, któremi się wychodziło na wały miejskie, bieżące ku krakowskiej bramie. Za halicką bramą zaczynało się przedmieście tegoż nazwiska wraz z stojącym tuż naprzeciw wyjazdu z miasta kościołem Podwyższenia św. Krzyża, okolonym cmentarzykiem. Kościółek ten rozebrano w. r. 1785. Tu też rezydował kat z swoimi pomocnikami w osobnem, drewnianem domostwie, zaś w pobliskim pałacyku Potockich, który następnie z rąk Komorowskich, Ulenieckich i Biesiadeckich przeszedł na własność miasta, pomieszczono w pierwszych zaraz chwilach po rewindykacji urząd obwodowy i pocztowy. Jak zresztą powoli rozszerzało się miasto w tej stronie, świadczy najlepiej okoliczność, iż jeszcze w r. 1811. gmina puszczała w dzierżawę grunta, ciągnące się wzdłuż wałów od bramy halickiej ku krakowskiej, jako najodpowiedniejsze do uprawy konieczyń.

Szybki rozwój miasta a zarazem pewna tendencya upiększenia śródmieścia zapomocą przechadzek publicznych, datują się dopiero od chwili, gdy po roku 1777 zabrano się energicznie do burzenia dawnych warowni. Rumowiskiem z rozebranych baszt i murów wypełniano fosy, kamienie użyto do brukowania i szutrowania ulic. W ten sposób uporządkowano najpierw wały t. z. hetmańskie, które w minionym wieku były ulubionem i jedynem zarazem miejscem przechadzki dla Lwowian, nieprzywykłych do zbytniego oddalania się od środka miasta. Wały ówczesne, oddzielone od miasta rowem, wydzielającym przez największą część roku niezbyt miłe wyziewy, przedstawiały się też w istocie w postaci wału, wzniesionego na trzy do czterech sążni wysokości i wysadzanego drzewami, lecz korzystanie z przechadzki po cienistej tej alei było o tyle utru-

dnione, iż w wale znajdowało się kilka przerw, niepokrytych pomostem a służących do przepędzania bydła. Od strony przedmieść szemrała wzdłuż wałów Pełtew, niezanieczyszczona jeszcze wówczas odpływami kloacznymi. Wody jej utrzymywały w odpowiedniej wysokości dwie szluzy, rozmieszczone przy dzisiejszej ulicy Akademickiej i Karola Ludwika. Byli nawet tacy, którzy używali w tem miejscu kąpeli, zaś wspomniany już turysta Karol Feyerabend, bawiący w roku 1798 chwilowo we Lwowie, utrzymywał że Pełtew dostarcza ryb chrześcijańskiej ludności tego miasta... Zmieniła się następnie fizyognomia wałów hetmańskich, gdy wewnętrzną fosę wypełniono gruzem i zrównano z dawną wyniosłością. Trzy mosty łączyły w tej stronie śródmieście z zachodnimi dzielnicami. Pierwszy most istniał u wylotu dzisiejszej ulicy Kazimierzowskiej, drugi przy gmachach pojezuickich, trzeci koło dzisiejszej ulicy Akademickiej.

Skromna dziś rzeczulka, uwięziona kamiennem sklepieniem, szalała dawniej od czasu do czasu. Kroniki lwowskie przekazały nam wiadomość o wylewach Pełtwy w latach 1511, 1514, 1617, zaś największa powódź we Lwowie zdarzyła się na dwa lata przed rewindykacją, w roku 1770. Rzeka wystąpiła wówczas z brzegów, zalewając niżej położone przedmiejskie piwnice i sklepy kościelne, w których ówczesnym zwyczajem chowano znakomitsze osobistości i dobroczyńców klasztoru. Gdy woda opadła, wyziewy z ciał dotkniętych zgnilizną, omal iż nie wywołały zarazy w mieście. Ale już i w naszym wieku powtarzały się kilkakrotnie wylewy Pełtwy, acz w mniejszych rozmiarach. W dniu czwartym czerwca 1811 roku wezbrana rzeka zerwała szluzę, pogrążyła w swych nurtach cieśnię, zajętego naprawą teżże i załaza kilka ulic.

Większe wezbranie wód Pełtwy nastąpiło też w sierpniu 1843 roku, lecz szkód znaczniejszych nie sprawiło, gdyż już do kwietnia 1839 rozpoczęto dzieło zasklepienia rzeki, które z wielkimi przerwami trwało przez okrągłe pół wieku. Znaczniejsza powódź Pełtwy nastąpiła również w dniu drugim lipca 1853 r. Rzeka wówczas szła równo z wysokimi swymi brzegami,

unosząc belki, drzewa z korzeniem wyrwane, sprzęty domowe, które pospólstwo wylawiało rękami. Nie obyło się niestety przy tej sposobności bez ofiar w życiu ludzkim. Na Halickiem przedmieściu dwoje dzieci porwały spienione nurty. Jedno z nich zdolano ocalić, lecz drugie śmierć znalazło w rzece. Po raz ostatni wystąpiły nurty Peltwy z jej koryta już za naszej pamięci, w dniu jedenastym maja 1872 roku, podczas straszliwej ulewy, która Lwów nawiedziła. Woda wystąpiła wówczas aż na Wały Hetmańskie, lecz prócz jednej sztuki nierogacizny, oraz kilku psów i kotów, uniesionych z przedmieścia, nie zrządził wylew szkód znaczniejszych. Nazajutrz plac Maryacki sprawiał wrażenie wielkiego trzęsawiska.

Roboty około zasklepienia Peltwy prowadzono równocześnie w dwóch miejscach, na dzisiejszym placu Gołuchowskich i na tak zwanym placu Ferdynanda, dziś Maryackim.

Wracając do Wałów Hetmańskich nadmienić wypada, że już w pierwszych latach naszego wieku, w ozdobnych kioskach sprzedawano tu limoniadę i inne chłodzące napoje. Pawilon letni cukierni Wolffa był dla elegantów tutejszych punktem zbornym na Wałach, które z wiosną 1841 roku poczęto oświetlać lampami arganckimi. Na tej promenadzie, niedostępnej dla żydów, odbywał się przegląd najnowszych strojów i tu też gromadził się najchętniej świat urzędniczy po wyjściu z biur pobliskich. Można więc sobie łatwo wyobrazić zdumienie i oburzenie cnotliwych ojców rodzin, gdy pewnego dnia zoczyli piękną, młodą osobę, ubraną szykownie, przechadzającą się po Wałach z cygarem w ustach! Była to pierwsza, śmieszna potroszę manifestacya na rzecz emancypacyi kobiet, dokonana w sierpniu 1840 roku.

Później o wiele pozyskały Wały Hetmańskie cenną ozdobę w postaci dwóch pomników. Pierwszym z nich był kamienny posąg bohaterskiego obrońcy Lwowa, Stanisława Jabłonowskiego, szczególniejszego dobrodzieja tutejszego kolegium jezuickiego, ustawiony w jednym z dziedzińców tego gmachu. Gdy zakonnicy poszli w rozsypkę, nie było komu zaopiekować się po-

sągiem, który strącony z piedestału, lat kilka przeleżał na dziedzińcu, skąd go następnie przeniesiono do domu przy ulicy Karola Ludwika pod l. 13 położonego, gdzie przez czas dłuższy spoczywał w podwórzowym ścioku. Dopiero w roku 1859 ś. p. Hipolit Stupnicki, redaktor Przyjaciela Domowego, zajął się zapomnianym pomnikiem i zebrawszy w drodze składek odpowiednie fundusze, ustawił posąg hetmana w miejscu, gdzie go i dziś oglądamy. Niemniej dziwne losy koleje przechodziła statua świętego Michała, ustawiona u wylotu Wałów Hetmańskich, od strony placu Maryackiego, w pierwszych dniach kwietnia 1873 r. Kompozycja ta z cyny i ze spiżu odlana i srebrzona odręcznie, miała być dziełem lwowskiej ludwisarni i przedstawiała świętego Michała, gromiącego włóczęgą szatana, Poświęcona przez nuncjusza papieskiego w sierpniu 1646 r. podczas bytności Władysława IV. we Lwowie, zdobiła przez długie lata arsenał Rzeczypospolitej. Mieściła się w dziedzińcu, nad facyatą, zdobiącą drzwi wchodowe do wnętrza arsenału. Według «Pomników» Starowolskiego, widniał wówczas pod statuą wyryty na kamieniu napis:

*Armorum princeps Michael,
Tibi fulmina belli,
Rex Vladislaus dedicat.*

Napis ten zatarty został podczas odnowienia arsenału w roku 1824, zaś posąg świętego, lubo uszkodzony w r. 1704 szwedzką kulą działową, pozostał na swem stanowisku do roku 1866. Oddany następnie magistratowi i odnowiony, stanął wreszcie w roku 1873 na krańcu Wałów, oparty o niezbyt szczęśliwie obmyślaną, kamienną ściankę. Umieszczenie w tem miejscu posagu świętego Michała, wywołało całą powódź ry-mowanych i prozaicznych komentarzy na temat sąsiedztwa niewonnej Pełtwy i czarnej giełdy, która bezimiennemu wie-szczowi dała powód do następującej inwokacyi.

O Ty, potężny, wielki Michale,
Co z łaski ojców na piedestale
Stoisz, uczyni, prosimy cud,
Rozpędź Twą dzidą Izraela lud!

Głównym przeciwnikiem ustawienia posągu w tem miejscu był wszakże śp. Jan Lam, który z tego powodu snuł cały szereg porównań, ucinków i domysłów w swych znakomitych kronikach niedzielnych. Świeżego żeru lwowskim dowcipnisiom podała nieprzewidziana okoliczność, iż złoczyńca jakiś wkrótce po ustawieniu posągu skradł złożone skrzydła, przymocowane do figury archanioła... Ostatecznie z wiosną 1888 roku zabrano figurę św. Michała do ratusza, gdzie znalazła odpowiednie pomieszczenie w historycznem muzeum miejskiem.

Po roku 1816 Wały Hetmańskie znalazły niebezpiecznego współzawodnika w wałach gubernatorskich i w tak zwanych szkarpach, znanych w owym czasie pod popularnem mianem Reitzenheimówki. Założycielem tych plantacyj był radca gubernialny Reitzenheim, zaś przeniesienie w roku 1821 rezydencji gubernatora do świeżo wybudowanego pałacyku, (dziś część środkowa gmachów c. k. namiestnictwa), przyczyniło się niepomniernie do szybkiego rozwoju tej dzielnicy przedmiejskiej, zwanej dawniej Komorowszczyzną, a ochrzczonej następnie mianem ulicy Pańskiej, (dziś Czarnieckiego). Pierwszym mieszkańcem pałacu gubernatorskiego był Franciszek br. Hauer, lecz najświetniejsze pod względem okazałości przyjęć czasy dla apartamentów gubernatorskich przypadły na lata 1832—1846, kiedy to we Lwowie z krótkimi przerwami rezydował arcyksiążę Ferdynand d'Este, w charakterze jenerałnego gubernatora, cywilno-wojskowego. Wprawdzie stanowisko arcyksięcia, żołnierza od lat najmłodszych, było w przeważnej części reprezentacyjne, jednakowoż nie brakło u nas wśród sfer arystokratycznych ludzi dobrej woli, łudzących się nadzieją, że za jego pośrednictwem zdołają uzyskać pewne ulgi dla kraju. Większość atoli towarzystwa, bywającego w pałacu gubernatorskim, pociągały i urok dworskiej etykiety i przepych w przyjęciu, na jaki stać było arcyksięcia, rozporządzającego miljonowymi dochodami z prywatnego swego majątku. Szczególniej wesoło bawiono się w gmachu «pod kawkami» — jak zwą od dawna Lwowianie rezydencję namiestnictwa — w latach 1839

—1840, gdy przy arcyksięciu Ferdynandzie bawił jego bratanek, Franciszek, syn księcia Modeny tegoż imienia, zwanego Neronem włoskim. Arcyksiążę Franciszek był młodzieńcem dwudziestoletnim, nader uprzejmym i grzecznym dla pań, a choć stryj czuwał gorliwie nad jego wykształceniem, to jednak włoski gość z szczególniejszem zamiłowaniem studiował jeno mazura i bywał zarówno na balach, urządzanych w salach Strzelnicy miejskiej, jakoteż w domach arystokratycznych oraz wyższych urzędników. Na zebraniach tych panował ton bardzo swobodny, jak świadczy pamiętnik Preka, który opowiadając o przyjęciu, wyprawianem na cześć arcyksięcia u Mniszków, wspomina o sztukach gimnastycznych, zaprodukowanych w salonie przez panów. Nie obyło się przy tej sposobności bez komicznych epizodów. Edward Stadnicki, przewrócił się z parawanem zaś na Bąkowskim cały frak podarto... Bardziej ceremonialne były bale tygodniowe u arcyksięcia Ferdynanda, które rozpoczynały się o godzinie siódmej wieczorem a kończyły się z uderzeniem północy. Prócz balów, cotygodnia odbywały się w arcyksiążęcej rezydencji obiady proszone i południowe przyjęcia, na których tłok panował straszliwy.

Z rezydencją gubernialną graniczył po lewej ręce pałacyk hrabiów Chołoniewskich, później Borzęckich i Młockich, ozdobny filarkami oraz płaskorzeźbami Schimsera, (starszego), przedstawiającemi sceny z «Iliady». Ładny ogród z oranżeryą rozciągał się za tym pałacykiem, który wraz z przyległym, narożnym domem znikł bez śladu, ustępując miejsca potężnej budowie, ciągnącej się w głąb ulicy Franciszkańskiej, a obejmującej biura namiestnictwa. W narożnym, jednopiętrowym, wcale niepozornym domku mieścił się przez długie lata urząd pocztowy, wówczas jedyny, państwowy zakład komunikacyjny w Galicyi. Najszybsza jazda tak zwanym *Eilwagenem* ze Lwowa do Wiednia trwała cztery doby i godzin dziesięć, lecz była to podróż, dostępna jedynie dla osób zamożnych, gdyż od mili płaciło się w Galicyi dwadzieścia krajcarów, w Morawii i w Austryi krajcarów dwadzieścia i cztery. Tańszą o połowę była podróż *Packwagenem*, ale też

na przebycie przestrzeni między Lwowem a Wiedniem potrzeba było stracić cały tydzień czasu. Tak podróżowali nasi ojcowie w roku 1837. Stojący, gdyby twierdza, na wyniosłem wzgórzu kościół pod wezwaniem św. Michała Archaniola, pozostawał od roku 1789 pod zarządem Karmelitów Trzewickich, przeniesionych do przyległego klasztoru po kasacie ich konwentu przy ulicy Batorego.

W roku 1809, gdy zawierucha wojenna zagroziła Galicyi, omal iż nie padli biedni zakonnicy ofiarą przygotowań militarnych. W dniu czternastym maja t. r. zjawiała się bowiem w klasztorze komisya, złożona z urzędników gubernialnych, oraz z delegatów konsystorza, celem przekonania się, czy budynki ten nie byłby odpowiednim na urządzenie szpitala dla rannych żołnierzy. Bronili się zakonnicy przeciw temu projektowi, przedstawiając komisyi wilgoć i szczupłość klasztoru, tudzież brak kanału. Komisarze wysłuchali w milczeniu tych wszystkich wywodów, lecz w godzinę po ich odejściu otrzymał przeor Karpiński piśmienne polecenie z cyrkułu, by do południa dnia następnego opróżnił klasztor wraz z kościołem. Wygnańcy mieli znaleźć pomieszczenie u Franciszkanów i Dominikanów. Ulegając rozkazowi, jęła już brać klasztorna wiązać swe ubożuchne tłumoczki, lecz uprzątnięcie kościoła, mimo wszelkich wysiłków, nie mogło być wykonane w oznaczonym czasie. Rano przeto w dniu piętnastym maja, udał się przeor z prośbą do arcybiskupa Kickiego, by uzyskał u władzy przedłużenie rumacyjnego terminu.

Tymczasem tłum ludu począł zapełniać wzgórze karmelickie. Jedni spieszyli oglądnąć raz jeszcze świątynię, w której od lat wielu przywykli się modlić, inni wyrażali się Niemcom tem śmielej, iż wojska polskie pod wodzą księcia Józefa posuwały się już pod Zamość i Sandomierz, zajmawszy poprzednio Lublin po zwycięskich utarczkach pod Kockiem i Włodawą. Nie brakło wreszcie w tej ciżbie i ciekawej gawiedzi, żadnej niezwykłego widoku... Karpiński, powracając do klasztoru w towarzystwie arcybiskupa, zastał kościół przepięknie ludem,

który modlił się, płakał i śpiewał nabożne pieśni, podczas gdy przed świątynią rozlegały się wśród tłumu przekleństwa i pogroźki. Z trudnością Kicki dostać się zdołał do wnętrza kościoła, lecz widząc wzburzenie ludu, uznał za stosowne oddalić się do swej rezydencji, lubo po drodze padali przed arcypasterzem prostaczkowie na kolana, błagając go o zachowanie kościoła. Spełniając polecenie Kickiego, wstąpił przeor na kazalnicę, zaklinając obecnych, by się uspokoili, gdyż klasztor i kościół tymczasowo tylko będą zajęte przez wojsko. Nie skończył jeszcze swej przemowy, gdy tłum powstał przeciw niemu z obelgami i groźbami, które zniewoliły Karpińskiego do corychlejszego opuszczenia kazalnicy. Podobnego przyjęcia doznali też dwaj kanonicyk atedralni, usiłujący uspokoić rozdrażnione tłumy, i kto wie, jakie rozmiary mógłby przybrać ów rozruch, gdyby nie udało się Karpińskiemu wydostać od arcybiskupa formalnej deklaracyi na piśmie, zapewniającej ludowi nietykalność świątyni. Pismo to, odczytane z ambony, powstrzymało lud od dalszych demonstracyj, tem bardziej że dyrektor policyi, Rohrer, zalecił przyozdobić co rychlej opróżnione już ołtarze i sprowadzić z powrotem zakonników, którzy już przenieśli się do franciszkańskiego klasztoru... Ale lud nie tak łatwo ustąpił, gdyż lękał się podejścia. Zniewolił przeto przeora do odprawienia solennego nabożeństwa z wystawieniem Przenajświętszego Sakramentu, co trwało aż do wieczora. Zapadła już noc, a lud nie ruszał się krokiem z kościoła, śpiewając suplikacje. Księża, przestraszeni tym uporem, udali z prośbą o radę do władzy bezpieczeństwa, lecz na szczęście interwencya policyjnych organów stała się zbędną wobec wystąpienia popularnego w mieście jubilera, Wacława Koberweina, który przybrawszy sobie do asystencyi trzech mieszczan, dobrem słowem i perswazyą zdołał nakłonić tłumy do rozejścia się. Była to już godzina dziesiąta wieczorem. Nazajutrz znów prawiono dziękczynne nabożeństwo przy wielkim natłoku pobożnych.

— «Tak się zakończył ten niemiły dla nas wypadek» —

słowa kroniki konwentu — «który dla wiadomości potomnych wieków, zapisujemy w kronice klasztornej».

W dwanaście dni później, (w dniu dwudziestym siódmym maja), wojska polskie weszły do Lwowa i Koberwein zajęły miejsce znienawidzonego burmistrza, Lorenca.

Na wzgórzu, wznoszącem się nad szkarpami gubernatorskimi, obok kościółka Ofiarowania Panny Maryi, rozpoczęto około roku 1840 budowę małego seminaryum, czyli bursy dla ubogich uczniów. Przedtem istniały w tem miejscu jedynie dzikie, niedostępne parowy, zaś po ukończeniu gmachu seminarzyckiego, powstał na owem wzgórzu pałac arcybiskupi. Fundatorem obu tych budowli był zacny arcybiskup Franciszek de Paula Piszték, który lubo Czech rodem, pokochał szczerze nasz kraj i mowę. On to pierwszy zaczął przemawiać na zgromadzeniach stanowych po polsku, a jakkolwiek prowadził dom otwarty, to jednak znalazł dość zasobów, by przyjść z pomocą uczącej się młodzieży i ozdobić miasto wspaniałą rezydencją. Z czasów, gdy przemieszkował jeszcze w rynku w arcybiskupiej kamienicy, zapamiętano we Lwowie na długie lata świetny bal, wyprawiony przez Pisztéka na cześć gubernatora, Ferdynanda d'Este, w styczniu 1839 roku. Trzy salony na pierwszym piętrze zaledwie pomieścić mogły zastęp ochoczych gości, którzy tańczyli do późnej nocy. O zasobności zimnego bufetu, o cukierniczych wymysłach, wreszcie o strugach lejącego się przy tej sposobności szampana, burgunda i reńskiego wina — krążyły po mieście istne legendy. W maju 1844 roku pałac arcybiskupi, wzniesiony podług planów architektki Salemana, został już wykończony i sam założyciel w asystencyi licznego kleru dopełnił ceremonii poświęcenia nowej swej siedziby, w której niespełna dwa lata przebywał, gdyż już w dniu pierwszym lutego 1846 r. zasnął w Panu, szczerze żalowany przez podwładne duchowieństwo oraz przez ogół mieszkańców.

Przed śmiercią jeszcze nabył Piszték dawniejszą rezydencję w rynku na osobistą własność, by uczynić z niej po dobudowaniu trzeciego piętra darowiznę małemu seminaryum.

Obok pałacu arcybiskupiego, oddzielone jeno ulicą, widnieją zabudowania szpitalne Sióstr Miłosierdzia wraz z kościołem św. Kazimierza. Klasztor ten i kościół służyły do r. 1783 Reformatom, których cesarz Józef II. przed ostateczną kasatą konwentu przeniósł do obecnego klasztoru Karmelickiego, oddając opróżnione w ten sposób zabudowania Siostrom Miłosierdzia. Ogrody, ciągnące się w około i cisza, panująca w tem miejscu, wpływają nader dodatnio na chorych, umieszczonych w szpitalu Panien Miłosiernych. Nie zawsze jednak otaczały ten gmach bujnie dziś rozrośnięte drzewa, gdyż dopiero z chwilą uporządkowania wzgórza, na którem się wznosi rezydencya naszych arcypasterzy, rozpoczęto myśleć o zalesieniu łysej do tej pory góry zamkowej, pooranej deszczami w fantastyczne bruzdy a zasypującej miasto powodzią lotnego piasku podczas jesiennych wichrów. Pożyteczne to dzieło było zasługą Leopolda hr. Łażeńskiego, wiceprezydenta gubernialnego, późniejszego gubernatora morawskiego. Hrabia, wielki miłośnik natury, oraz płci pięknej, która to słabostka posłużyła Leszkowi hr. Borkowskiemu do przedstawienia go w Parafiańszczyźnie pod nazwiskiem «sztucera», wziął się do pracy z wielkopańską fantazyą i w krótkim stosunkowo czasie dokazał nadzwyczajnych rzeczy.

Góra zamkowa wraz z resztkami zamku «górnego» była własnością miejską z mocy nadania cesarza Józefa II. noszącego datę dziewiątego października 1786 roku; a jakkolwiek już w r. 1806 zgłaszało się konsorecyum z Izraelitów złożone, z chęcią nabycia góry zamkowej, to jednak gmina nie przyjęła tej propozycji. Nie zgodziło się również miasto na ofertę pewnego przedsiębiorcy, który z wiosną 1839 roku zgłosił się z projektem budowy holenderskich wiatraków na szczycie góry zamkowej.

Natomiast pozostałe ruiny zamkowe rozbierano powoli, jako materyał budowlany dla nowych domostw. Według zapisków archiwisty tutejszego, Raspego, dom oznaczony dziś liczbą 3., przy ulicy Łyczakowskiej położony, zbudowany został w prze-

ważnej części z materiału zamkowego. Roboty około zalesienia góry zamkowej rozpoczęły się już w roku 1835, w którym to celu założono szkółkę drzewek na szkarpach, u stóp arcybiskupiego pałacu. Liczne furmanki wywoziły na piaszczystą górę ziemię, wybraną na placu Castrum z pod fundamentów teatru hr. Skarbka, którą zasypywano dziury, powstałe skutkiem łamania kamieni w tem miejscu. Pod jesień 1839 roku góra cała została już wyrównaną, wysadzoną drzewkami i krzewami. Wykonczono również drogę, wiodącą na jej szczyt, lecz publiczność zaczęła uczęszczać na Wysoki Zamek dopiero z wiosną 1845 r., gdy kosztem 22.000 zł. wykonczono budowę kawiarni i grotty z studnią oraz z lwami, sprowadzonymi tam z starego ratusza. Co środy popołudniu, cały piękny świat lwowski zgromadzał się na Zamku, używając pieszo i w powozach przechadzki przy odgłosie muzyki. Od dnia 19. października 1851 roku, kiedy panujący monarcha po raz pierwszy odwiedził to miejsce, nazwano Wysoki Zamek górą Franciszka Józefa. Mniej oficjalny charakter miały powtórne odwiedziny cesarskie, odbyte w dniu 23 czerwca 1855 roku, kiedy to szlachta tutejsza podejmowała Dostojnego Gościa w kawiarni zamkowej. Urządzeniem tego wieczoru zajmowali się, prócz namiestnika Gołuchowskiego, Włodzimierz Russocki, Henryk i Edward Fredrowie, Konstanty Siemieński, Wiktor Baworowski, br. Hagen, Maurycy Kraiński, Feliks Laskowski, Hieronim Wysłobocki i Alfred Cielecki, zaś obowiązki gospodyń pełniły panie: Lewicka, Russocka, Józefowa Gorayska i Tadeuszowa Turkułowa. O godzinie 9. wieczorem przybył cesarz przed kawiarnię w towarzystwie bawiącego wówczas stale we Lwowie arcyksięcia Karola Ludwika. Obaj nosili mundur ułański. Po herbacie, podanej w głównym salonie kawiarni, wyszli wszyscy na tylny balkon, z którego rozciągał się przepyszny widok na miasto, oświetlone odświętnie lampkami, świecami, ogniami bengalskimi. Race puszczane z ogrodu Pojezuickiego, urozmaicały w wysokim stopniu ten czarowny obraz i dopiero o godzinie jedenastej w nocy opuścił monarcha Górę Zamkową.

W ostatnich lat dziesiątkach do ożywienia Wysokiego Zamku przyczyniło się niepomrotnie rozpoczęte w sierpniu 1869 roku sypanie kopca Unii Lubelskiej. Natomiast głaz, położony na cyplu zamkowym w roku 1883., ku uczczeniu pamiątki zwycięstwa, odniesionego przez Sobieskiego w dniu dwudziestym czwartym sierpnia 1675 r. nad ordą Nuradyna, zagrażającą miastu, nie przyczynia się wcale do upiększenia tych plantacyi.

Kopcowi Unii Lubelskiej wypadnie poświęcić obszerniejszą wzmiankę, gdyż dzieło to posiada donioślejsze, dziejowe znaczenie.

Myśl uczczenia trzechsetnej rocznicy unii lubelskiej przez wzniesienie kopca na górze zamkowej, powstała w łonie komitetu, zawiązanego w tym celu we Lwowie pod przewodnictwem Franciszka Smolki. Pierwotnie zamierzano dzień ten pamiętny święcić w gronie zaproszonych delegatów ogółu ziem dawnej Rzeczypospolitej. Rządowe wszakże władze uczyniły wszystko, by przeszkodzić udaniu się tej dziejowej uroczystości. Wobec tego nie pozostawało inicjatorom obchodu nic innego, jak tylko ogłosić w dniu 28 lipca 1869 r. odezwę tłómaczącą powody, dla których nie proszono przedstawicieli z pod innych zaborów, nie chcąc narażać ich na przykrości różnorodnej natury. Na odezwie widniały podpisy Smolki, Widmana i Romanowicza, lecz widocznie publikacya owa nie zaspokoila obaw rządowych, gdyż jeszcze w dniu ósmym sierpnia uznał Smolka za stosowne złożyć publicznie zapewnienie, iż nie myśli bynajmniej zwoływać ludowego zgromadzenia podczas uroczystości zakładania kopca.

Dzień jedenasty sierpnia 1869 roku ponury był i dżdżysty. Od rana wszystkie sklepy i pracownie rękodzielnicze były w mieście pozamykane. W kościele Dominikanów odprawiono uroczyste nabożeństwo, podczas którego stosowne spiewy wykonało miejscowe towarzystwo muzyczne. Olbrzymią świątynię i plac przed kościołem przepełniały nieprzejrzane okiem zastępy publiczności, która, mimo ulewy, podażyła w uroczystym po-

chodzie na Wysoki Zamek. Stanąwszy na miejscu, przemówił pierwszy Smolka, wzywając zebranych, by nie żywili niechęci wobec rządu z powodu wydanych zakazów, uniemożliwiających obchód rocznicy w odpowiednich rozmiarach, oraz do spokojnego zachowania się. Dziękował następnie lwowskiej radzie miejskiej za poczynione ułatwienia w sprawie budowy przyszłego kopca i zakończył swe przemówienie temi słowy: W imię Boże, w imię miłości ojczyzny, w imię wolności, równości i braterstwa, przystąpmyż teraz obywatele do sypania tego pomnika, który ma być symbolem tych zasad, ma uwiecznić pamięć wielkiej rocznicy którą dziś święcimy. Rzekłszy to, rzucił pierwszy garść ziemi na kamień węgielny, na którym prócz herbów Polski, Litwy i Rusi, wyryto napisy: Wolni z wolnymi, równi z równymi — Polska, Litwa i Ruś, zjednoczone unią lubelską dnia 11. sierpnia 1569 roku. Herby i napisy wyryte zostały przez rzeźbiarza Filippiego. Po Smolce, przystąpiły do sypania ziemi Rada miejska i deputacye, przybyłe z różnych stron, wreszcie tłumy miejscowej publiczności. Ponieważ brakło w pierwszej chwili dostatecznej ilości tacek, przeto znoszono ziemię w czapkach, w chustkach i w dłoni. Rzucono też na głaz węgielny garść ziemi z Sołowijówki, gdzie w roku 1863 legł kwiat młodzieży kijowskiego uniwersytetu, oraz ziemię, przywiezioną przez Krystyna Ostrowskiego z grobów Mickiewicza, Słowackiego, Kniaziewiczza i marszałka Ostrowskiego.

O godzinie pierwszej z południa, w restauracyi na górze zamkowej odbył się obiad wspólny. Do stołu zasiadło sto niespełna osób. Przemawiali i poeta Krystyn Ostrowski i ks. pijar Chromecki, Platon Kostecki, Romanowicz i Groman. Z Wielkopolan uczestniczył w owej uczcie sędziwy Seweryn hr. Mielżyński. Smolka odczytał liczne telegramy, nadesłane z Krakowa, z Przemyśla, oraz z wszystkich niemal miast galicyjskich, tudzież z Cieszyzna, z Poznania, z Wrocławia i z Gdańska. Oddano cześć ceniom Zygmunta Augusta, poczem w podniosłem

nastroju rozeszli się zebrani, złożywszy poprzednio pewną kwotę na cele ruskiego towarzystwa, «Proświty». Wieczorem odbyło się uroczyste przedstawienie w teatrze, który zapelniał się szczerlnie miejscową i zamiejscową publicznością. W programie przedstawienia obok wyjątków z «Krakowiaków» Kamińskiego, figurowały też: ustęp z opery «Ukrainka», mieszczącej w sobie liczne alluzye do jedności Polski, Rusi i Litwy, tudzież obraz z żywych osób pod tytułem Zygmunt August na tronie. Ruską dumkę, śpiewaną przez Kwiecińską i Kuncewicza, oklaskiwano z entuzjazmem. Pierwotnie w miejsce wspomnianych fragmentów, miano przedstawić w teatrze lwowskim umyślnie w tym celu napisany utwór Ostrowskiego p. t. «Złote gody», z muzyką Wojciecha Sowińskiego.

Poeta nazwał swe dzieło hymnem dziejowym i przedstawił w trzech częściach takowego trzy najważniejsze chwile z dziejów połączenia Litwy i Korony. Przed oczyma widza przesuwały się obrazy dziewiczych puszczy litewskich, wśród których piorun uderza i w gruzy obraca ołtarz Znicza, chrzest i ślub Jagiełły z Jadwigą, wreszcie akt unii w Lublinie, gdzie Zygmunt August z podniesionym w górę sztandarem w te przemawia słowa:

„Lubelską unię dziś pod jej sztandarem
Król Wasz i ojciec w grodzie tym ogłasza,
Ruś, Polska, Litwa, z miast i siół obszarem,
To nierozdzielna jest ojczyzna nasza!

Od dziś więc z nami aż po dni ostatnie,
W przygodzie, w szczęściu, drogą łez i chwały,
Niech z krzyżem wioną trzy znamiona bratnie,
Archaniół, Pogoń, i nasz Orzeł biały!“

Hymn «Bogarodzicy» kończy «Złote Gody», których przedstawienie w. r. 1869 nie przyszło do skutku z powodu zakazu władzy.

Uroczystość założenia kopca zakończyła wspaniała iluminacja całego miasta, wśród której ponurą ciemnotą odznaczały się pałac arcybiskupi rz. kat. obrządku, oraz mieszkania niektórych kanoników. Prócz tej dziwnej demonstracji, jedyną fał-

szywą nutą, mącą ogólną harmonię, był protest przeciw aktowi unii, zredagowany przez wydawnictwo wychodzącej w Wiedniu Zorji Słowiańskiej, spisany po rusku i po niemiecku, oraz artykuł rusofilskiego Słowa, pełen fałszów i tendencyjnych przekręceń.

Nietylko Lwów święcił w dniu owym uroczystość trzechsetną unii. Kraków uczcił ową rocznicę nabożeństwem w kościele maryackim, gromadnem zwiedzeniem matejkowskiej «Unii», wreszcie iluminacją miasta. Wieczorem w stowarzyszeniu «Postęp» Wincenty Pol mówił o unii lubelskiej. Po odczycie nastąpiły deklamacye i muzykalne produkcyje, poczem tańczono na zabój aż do rana... Wszystkie znaczniejsze miasta galicyjskie uczyły w najrozmaitszy sposób dzień jedenasty sierpnia, zaś z rodakami w kraju rywalizowali godnie Polacy, przebywający w Wiedniu, w Monachium, w Strassburgu, w Zurychu, w St. Gallen i w Brukseli. Z wszystkich tych miejscowości nadsełano do Lwowa telegramy i adresy, stwierdzające poczucie łączności polskiego wychodźstwa z krajem. Osobne adresy przysłały z Paryża: stowarzyszenie kapłanów polskich, zjednoczona emigracja polska, wreszcie komitet, zawiązany tamże celem wybicia medalu pamiątkowego. Ten ostatni zakończył swój adres życzeniem, «oby za sprawą Bożą dzień ten stał się dniem wolności i wesela dla Polski, Litwy i Rusi...»

Pierwiastkowo Lwowianie zajmowali się bardzo żywo sprawą kopca. Codziennie tłumy pracowały na górze zamkowej, tak, iż nieustannie dawał się uczuwać brak taczek. Zawiązał się w mieście stały komitet z sześćdziesięciu członków złożony. Każdy z członków komitetu miał pół dnia poświęcić na kontrolowanie prowadzonych robót, których ukończenie miało nastąpić w ciągu lat dwunastu. Obwód kopca miał wynosić czterdzieści sążni, wysokość dwadzieścia sążni.

Zajęcie się sprawą kopca doszło do kulminacyjnego punktu podczas przybycia Wielkopolan do Lwowa w dniu 13 sierpnia 1871 r.

Do wycieczki Wielkopolan, którzy po raz pierwszy gro-

madnie przybywali w mury Lwiego grodu, przyłączyli się Szlacy i Krakowianie. Mimo szalonego upału, tłumy ludności zajął w dniu owym od wczesnego ranka przystęp do dworca kolejowego, witając radosnymi okrzykami przybyłych, do których na peronie przemawiali Ziemiałkowski, ówczesny prezydent miasta Lwowa i Smolka. Imieniem gości odpowiedział pierwszy dr. Weigel z Krakowa, przedstawiając równocześnie reprezentantów Poznania, Calliera i Krzyżanowskiego tudzież Stalmacha z Cieszyńska. Dwaj ostatni imieniem swych ziomeków pozdrawiali Lwowian.

O godzinie trzeciej popołudniu olbrzymi pochód wyruszył z ogrodu miejskiego na kopiec. Szlacheckie kołpaki, konfederatki mieszczańskie, połyskujące hełmy straży ogniowych, sztandary z polskimi orłami, przesuwają się, gdyby barwna wstęga, ulicami miasta ku górze zamkowej.

Pierwszy przemówił Smolka zaznaczając, iż kopiec ten ma być pomnikiem faktu, najświetniejszego w naszych dziejach: Narody różne pochodzeniem, wrogie sobie przez długie wieki, potem zbliżywszy się do siebie, zlały się w jedną całość polityczną, aby bronić wspólnych interesów, aby wspólnie kroczyć na drodze cywilizacyi i postępu.

Po tej przemowie poczęto sypać przywiezioną ziemię z mogił Kościuszki, Krakusa i Wandy, z Solury i z Zurychu, z cmentarzysk sybirskich, z grobu pięciu ofiar na Powązkach, z poboju pod Racławicami i Radziwiłowem tudzież z rozmaitych miejscowości w Wielkopolsce. Ziemię wielkopolską rzucił na wznoszący się kopiec Ignacy Moszczyński, krakowską dr. Warschauer, zaś włościanin w siermiedze wręczył Smolce sztandar, na którym widniały daty roku 1569 i 1869 oraz podobizna króla Kazimierza. «Przynoszę wam chorągiew — mówił ów wieśniak — z portretem króla Kazimierza, abyście ją przechowali na lepsze czasy. Jeszcze Polska nie zginęła!»

Dwa dni jeszcze bawili Wielkopolanie we Lwowie, podej-

mowani z najżywszą serdecznością. Festyn w ogrodzie strzeleckim w dniu ich przyjazdu, obiad na tysiąc osób tamże urządzony pod gołym niebem i przedstawienie «Krakowiaków», odegrane na cześć gości dnia następnego, stanowiły dalszą część programu uroczystości, którego godnem zakończeniem był świetny bal, wyprawiony w dniu 15 sierpnia pod olbrzymim namiotem, rozbitym w ogrodzie miejskim. Tańczono do białego dnia, żegnając miłych gości, którzy w kilka godzin później opuścili nasze progi. Władze rządowe nie czyniły tym razem żadnych trudności w urządzeniu zjazdu. Jedynie wojskowość odmówiła wynajmu muzyki i przez dni kilka z rzędu trzymała garnizon pod bronią w koszarach...

Gościna wielkopolska była ostatnią — że się tak wyrażymy — jasną chwilą w kronikach kopca unii, który jedynie żelaznej wytrwałości i bezgranicznej ofiarności Smolki zawdzięczał dalszy swój wzrost. Trudności terenu i obojętność ogółu naszego społeczeństwa, równie łatwo zapalnego, jak chętnie zrażającego się każdą przeszkodą, sprawiły, iż kopiec unii, mimo upływu lat dwudziestu pięciu, nie został dotychczas wykończony. Wstyd nam zaiste, jeśli zważymy, że mogiła Kościuszki pod Krakowem, rozpoczęta w dniu 16 października 1820 roku, wykończoną została w przeciągu trzech lat, mimo iż kilkakrotnie w ciągu trwania robót usuwała się ziemia nawieziona, zaś trwożliwe duchy głosiły w Krakowie, że mogiła zawali się na miasto. Sprawą budowy mogiły kościuszkowskiej zajmował się wszakże cały ogół polski, który ochotnie złożył na ten cel sto trzydzieści dziewięć tysięcy złotych polskich w drodze składek, podczas gdy koszt wzniesienia kopca unii lubelskiej ponosi niemal wyłącznie sam Smolka. Z sprawozdania jego ogłoszonego w dniu 31 grudnia 1895 r. wynika, że ogół składek na budowę kopca wniesionych dochodził zaledwo do cyfry 12.874 złr. podczas gdy sumę 68.020 złr. 39 ct. tworzącą niedobór z tytułu kosztów budowy powstały, pokrył dr. Smolka z własnych funduszków. W dniu piątym listopada 1895 r. umieszczono w pozostałym murze dawnego zamku tablicę pamiątkową z na-

stępującym napisem: «Twórcy kopca Unii Lubelskiej, Franciszkowi Smolce, w 85 rocznicę urodzin, mieszczaństwo lwowskie.

Cześć i uznanie należą się ofiarności tego męża, który wyrósł nie z soli, ani z roli, ale z tego co boli...

Powracając z góry zamkowej do miasta dzisiejszą ulicą Teatyńską, dawniej Arcybiskupią zwaną, prócz nielicznych domków, dwóch składów wojskowych, dziś jeszcze istniejących i cmentarza, okalającego magazyn prochownią zwany, a położony po prawej stronie drogi, nie spotykało się żadnej znaczniejszej budowli przed Czerwonym klasztorem, przy którym od roku 1820 istniał ogródek, założony przez majora Piotra Lagonda. Czerwony klasztor, zwany tak od czerwonej dachówki, służył do roku 1785 Teatynom, po których wydaleniu przeznaczony został na koszary artylerii.

Poza Czerwonym klasztorem bezimienna przed pół wiekiem drożyna, (zwana dziś ulicą św. Wojciecha), wiodła przechodnia, mimo pozostającego pod wezwaniem tego świętego kościółka, zamienionego po rewindykacji na prochownię, do uroczej Lonszanówki, stanowiącej własność patrycyuszowskiej rodziny Longchampsów, podczas gdy grunta przy ulicach: Teatyńskiej i św. Wojciecha położone, tworzyły jurydykę, tak zwaną Sobieszczyznę. Lonszanówka, znana dziś ogólniej pod nazwą «Kaiserwaldu» słynęła z końcem ośmnastego wieku z malowniczości położenia oraz staranności, z jaką ogród ten utrzymywano. Nie dziw przeto, iż Lwowianie odwiedzali bardzo chętnie to ustronie, zwłaszcza od czasów, gdy cesarz Józef II. zaglądnął do tego ogrodu podczas swej bytności we Lwowie w roku 1780. Na pamiątkę odwiedzin monarszych wzniósł Franciszek Longchamps w roku następnym posąg Minerwy z napisem następującej treści:

Josepho II.
Romanorum Imperatori
qui
XVI. Cal. Junii MDCCLXXX.
agrestis viridarii hujus
varietatem visit
probavitque
Positum
a Francisco Longchamps
Leopol. Magistratus
Consiliario
VIII. Mai A. D. MDCCLXXXI.

Posąg z kruchego piaskowca wzniesiony padł ofiarą zniszczenia mimo, iż go restaurowano w roku 1844, a Lonszanówka oddawna już przeszła w obce ręce. Właściciel tego ogrodu, podejmujący u siebie cesarza Józefa II., zmarł w rok po tej gościnie, być może skutkiem zmartwienia, wywołanego stratami handlowemi. Franciszek Longchamps, potomek francuskiej rodziny, przybyłej do nas z Szwajcaryi, był już w r. 1767 kupcem i radnym miasta Lwowa. Prowadził on interesy handlowe na wielką skalę, zawierając transakcye z Lubomirskimi, z Protem Potockim, z Sapiehą, tudzież z firmami warszawskimi Dekerta i Rösslera. Zgubiła go spółka z przemysłowcem tutejszym, Janem Preschlem, który dobrawszy sobie jeszcze jednego współnika w osobie Marcina Merceniera, założył w roku 1769 wspólnym kosztem wielką garbarnię w Busku. Zrazu zakład ten prosperował, ale później dla braku dostatecznego dozoru począł chromać i przyprowadził właścicieli o bardzo znaczne straty. Franciszek Longchamps zmarł już w r. 1781, lecz pozostawił dziewięcioro dzieci, z których najstarszy syn, Jan, pospieszył do legionów, zaś Aleksander poświęcił się medycynie. Synami Aleksandra byli znani w mieście i poważani powszechnie: Bogusław i Wincenty Lonszanowie, walczący w r. 1831 w szeregach legii nadwiślańskiej.

Idąc z Lonszanówki ku miastu, niepodobna nie zwrócić uwagi na skromny budynek, ukryty w obszernym ogrodzie, po prawej stronie ulicy Kurkowej. Jest to ochrona małych

chłopców pod opieką świętego Antoniego, zwana też popularnie zakładem Orłowskiego, lubo ś. p. Kalikst Orłowski nie był głównym tej instytucji założycielem. Osobistość zmarłego w maju 1881 roku filantropa i opiekuna młodzieży, zaliczyć można pod każdym względem do niezwykłych w dzisiejszem społeczeństwie postaci i dla tego przekazanie tej moralnej podobizny potomności jest obowiązkiem koniecznym. Kalikst Cygenberg Orłowski ujrzał światło dzienne w roku 1818 na Pokuciu w Lissowcach, w dziedzicznym Orłowskich majątku. Najstarszy z trzech braci, delikatny i wątły, oddany został do szkół gimnazjalnych w Tarnopolu, utrzymywanych przez Jezuitów, a słynących z wzorowej metody nauczania. Gimnazjum tarnopolskie liczyło po kilkuset uczniów nie tylko z Galicji, ale i z ziem zabranych i posiadało znakomitych profesorów, wykształconych zawodowo w konwiktach petersburskim i w akademii Płockiej, a jakkolwiek zakład podlegał nadzorowi nadwornej komisji szkolnej, to jednak Jezuici zdołali zachować co do istoty dawny system *ratio studiorum* i pierwsi w Galicji zaczęli wyklądać kurs historii literatury polskiej — oczywiście w godzinach nadobowiązkowych. Wśród młodzieży szkół tarnopolskich panował też gorący duch patryotyczny, podsycany agitacją chwilowo bawiących w tem mieście wysłanników emigracyjnych, Lipczyńskiego i Michalskiego. Władza wpadła jednak na trop studenckiej organizacyi, stworzonej przez Michalskiego, w jesieni 1833 roku wśród wyrostków z klasy szóstej. Gromy spadły na profesorów i na uczniów. Prefekt, pocziwy Niemiec, Lange, otrzymał dymisyę za brak dozoru, zaś księżcy profesorów: Kiejnowskiego i Buczyńskiego, odsądzono od katedry oraz internowano w Starejwsi i w Inspruku za to jedynie, iż w latach 1831—1832 śpiewali pieśni patryotyczne z młodzieżą. O wiele surowiej postąpiła władza z nieletnimi przestępcami stanu, w których gronie znajdował się też Orłowski, wraz z Aleksandrem Łączyńskim, Erazmem Korytowskim, Izydorem Piotrowskim i z jedenastu innymi towarzyszami z ławy szkolnej. Od kwietnia do września 1834 roku

trzymano ich pod kluczem w brudnem więzieniu miejskiem, poczem sąd kryminalny uwolnił obwinionych od oskarżenia. Trzech tylko najsilniej podejrzanych wydalonono ze szkół. Do potępionych nie należał Orłowski, który po ukończeniu kursów filozoficznych w Czerniowcach, przybył pod koniec 1836 roku do Lwowa, celem zapisania się na wydział prawniczy. Wśród młodzieży uniwersyteckiej lwowskiej wrzała — jak wiadomo — podówczas robota spiskowa. Kalikst zaraz po przyjeździe przyjęty do najniższego stopnia konspiracyi, do tak zwanego Kółka Czytelnianego, w Stowarzyszeniu ludu polskiego, zajął w roku następnym wraz z Henrykiem Górskim naczelne stanowisko wśród młodzieży, pracującej w Stowarzyszeniu demokratów polskich. Z akademików lwowskich należało do stowarzyszenia 193 osób. Przestrzegano pilnie moralności wśród związkowej młodzieży, która stroniła od wszelkich lokalów publicznych, jak niemniej od gier hazardownych. Z tego też względu złośliwi towarzysze przezwali spiskowych z powodu ich wstrzemięźliwości kanforystami...

W jesieni 1839 roku aresztowano ponownie Orłowskiego, a jakkolwiek w lutym roku następnego dla nadwątłego zdrowia pozwolono mu powrócić na wieś do rodziny, to jednak po upływie kilku miesięcy, zamknięto go znów w Karmelickim więzieniu, a następnie w tak zwanych Małych Koszarach na Żółkiewskim przedmieściu, gdzie w ciasnej i ciemnej celi przebył cztery długie lata. W tych dniach powolnego męczeństwa, spotęgowanego samotnością i fizycznymi cierpieniami, odrodził się moralnie młodzieuchny więzień. Zdolny odczuć każde cierpienie, każdej chwili gotów spieszyć z pomocą nędzy, łączył głęboką wiarę z niezłomnem przywiązaniem do zasad kościoła katolickiego. W dniu trzydziestym stycznia 1845 r. odczytano mu wyrok, w myśl którego odzyskał wolność. Z zrujnowanem zupełnie zdrowiem i pozbawiony praw szlachectwa, powrócił Orłowski do rodzinnych Lisowic, gdzie postanowił życie przepędzić u boku ubóstwionej matki. I tej pociechy nie na długo mu starczyło. Matka odumarała go w roku 1849 i wówczas

przeniosłszy się do Lwowa, oddał się cały na usługi cierpiącej ludzkości.

Przypadek zaraz w pierwszym roku pobytu w mieście, poddał Orłowskiemu myśl założenia ochrony dla opuszczonych przez rodzinę chłopców. Pewnego dnia rozmawiając w mieszkaniu z swym przyjacielem, Kornelem Milewskim, ujrzał przez okno kilku bijących się uliczników. Żal mu się zrobiło tych biednych istot, kończących zazwyczaj smutny żywot w więzieniu lub w szpitalu. — Zajmijmy się ich losem — rzekł Orłowski do swego towarzysza. — W mieście nie ma domu ochrony dla chłopców, porzuconych przez rodziców biednych, czy też niesumiennej. Skoro się początek robi, znajdują się ludzie miłośni, którzy nam dopomogą.

Na początek Orłowski z Milewskim wzięli dwóch chłopców na utrzymanie. Po roku liczba sierot wzrosła, gdyż nie brakło składek na ten cel ofiarowanych, zaś Mateusz hr. Miączyński oddał na rzecz zakładu bezpłatne mieszkanie. Na szczęście dla swego instytutu znalazł Orłowski gorliwego pomocnika w osobie księdza Antoniego Manasterskiego, który zdołał mu zapewnić byt stały i potrzebny fundusz. Żył podówczas we Lwowie osoba zamożna i zacna, ale nieco ekscentryczna, panna już w latach, prowadząca dom otwarty, Honorata hrabianka Borzęcka. Ona to za poradą księdza Manasterskiego, zaofiarowała w roku 1858 dom wraz z ogrodem, (istniejący po dziś dzień przy ul. Kurkowej l. 31), tudzież sumę dwudziestu tysięcy złr. na utrzymanie dziesięciu chłopców. Za jej przykładem posypały się inne legaty ze strony osób prywatnych oraz instytucji, tak, iż z czasem ochrona mogła pomieścić trzydziestu wychowanców. Do końca życia otaczał Orłowski prawdziwie ojcowską opieką zakład, który wykształcił sporo biednej młodzieży na dzielnych i pożytecznych krajowi rzemieślników.

Ogrody, ciągnące się między ochroną św. Antoniego a Strzelnicą miejską, zabudowane już dziś w przeważnej części od strony ulicy Kurkowej, były dawniej według wszelkiego

prawdopodobieństwa winnicami. Jeszcze przed laty trzydziestu na szkarpach owych ogrodów rosła bujnie zdziczała latorośl winna.

Stara konfraternia strzelecka we Lwowie, szczycąca się nadaniami królów polskich, począwszy od Zygmunta Augusta, dwukrotnie zmieniała siedzibę, zanim zajęła dzisiejszą swą rezydencję. Według zapisków kronikarskich, ćwiczenia strzeleckie odprawiały się na wzgórzu, na którem dziś wznoszą się gmachy seminarzyckie oraz pałac arcybiskupów rz. kat. obrządku. Góra ta, zwana łuczniczą, była i po wejściu w użycie broni palnej, widownią popisów dorocznych, czyli strzelania do kurka, które starym zwyczajem odbywało się z łuków, podczas gdy ćwiczenia z samopałami odprawiano — jak to już wspomniano — w fosie miejskiej, ciągnącej się od dzisiejszej ulicy krakowskiej wzdłuż ulicy Skarbkowskiej.

Do budowy strzelnicy na owej siedzibie, która do dziś dnia służy stowarzyszeniu, przyszło dopiero w roku 1789 a równocześnie niemal, (w r. 1790), dawna konfraternia mieszczańska straciła charakter swój pierwotny, gdyż wstęp do niej otwarto każdemu, kto zapłacił ośmnaście złp. wstępnego i złożył fanty wartości co najmniej dziesięciu złp. na premie podczas strzelania przeznaczone. Od tej też chwili datuje się i w konfraternii przewaga obcych żywiołów. Rej w niej wiodą: Semlery, Wernery, Vorwegi, Erlichy, Lorence, podczas gdy dawni strzelcy: Mikołajewicz, Wartarasiewicz, Opuchlak, Ziętkiewicz i inni usunęli się z konfraternii, pociągając za sobą większą część cechów miejskich. Wprawdzie zarząd strzelecki groził grzywnami przełożonym cechowym, nieobecnym podczas ćwiczeń. Niewiadomo jednak, czy te groźby odniosły jakikolwiek skutek wobec braku egzekutywy. Nowy porządek rzeczy w bractwie, które właściwie przeobraziło się w nowoczesne stowarzyszenie, wymagał też odmiennych ustaw, których redakcyę powierzono Franciszkowi Fajerowi. Fajer załatwił się ze swem zadaniem w ciągu kilku miesięcy. Statut przez niego ułożony i przetłómaczony następnie na język polski, został zatwierdzony przez władzę miejską

w roku 1793. Figuruje w nim po raz pierwszy w miejsce dawnego prowizora konfraternii nazwa kapitana, którym był Wincenty Paetz. W dwa lata później, (w roku 1795), strzelcy lwowscy postanowili na zalecenie rządowe przywdziać uniformy. Oto jak wyglądał strzelec tutejszy przed stu laty: Nosił on surdut zielony z czerwonymi wyłogami i z żółtymi guzikami, kamizelkę czerwoną i spodnie tegoż koloru, wchodzące w białe kamasze. Pod brodą sterczał mu czarny obojczyk, głowę zaś, zaczesaną w hacopf bez loków, okrywał trójgraniasty kapelus z czarną kokardą, lamowany złotym sznurkiem, z pióropuszem biało-zielonym. Uniform ten był suto wyzłocony, gdyż każdy szeregowiec nosił złote epolety tudzież pendent i *portepée* zielone, przerabiane złotem. Oficerowie, (kapitan, porucznik, podporucznik i chorąży), różnili się od szeregowców potrójnym galonem na kapeluszu.

Słowem, wyglądali nasi strzelcy nader okazale, pełniąc w roku 1797 służbę bezpieczeństwa w ogołoconym z garnizonu Lwowie, ale w zarządzie Towarzystwa poczęło się dziać niedobrze. Wynikły jakieś właśnie z powodu gospodarki Paetza, którego zastąpili wprowadzić wybrani w tymże roku Józef Piller i Antoni Wadawski, ale ani zmiana w osobach przełożonych, ani też reformy statutowe, dokonywane na wzór ustaw, jakimi się rządziły Towarzystwa strzeleckie w Wiedniu i Ołomuńcu, nie zdołały zapewnić naszym strzelcom pomyślnej egzystencji w ciągu całego dziesięciolecia. Kasa strzelecka pozostawała w okropnym stanie. Realności Towarzystwa zadłużone, starożytne medale i insygnia oddane do mennicy, kurek nawet pożyczany, godło strzeleckie od roku 1495, zastawiony za drobną stosunkowo cenę — przedstawiały obraz straszliwego bezładu i niedbalstwa ze strony zarządu.

Lepsze czasy nastały dla strzelców dopiero w roku 1807, kiedyto godność kapitana na całe trzydziestolecie spoczęła w ręku Wincentego Ziętkiewicza. Słówko przy tej okazji należy się osobistości tak wybitnej w swoim czasie zajmującej stanowisko w kole tutejszego mieszczaństwa.

Ziętkiewiczze zaliczali się do starszych rodów lwowskiego patrycyatu, gdyż najdawniejsza we Lwowie apteka pod godłem jelenia pozostawała od roku 1574 w ich ręku. Słynął dom ten oddawna z zamożności a jeden z jego potomków po mieczu, był zawsze aptekarzem. Wincenty Ziętkiewicz, prócz apteki i kilku realności w mieście, był właścicielem wsi Kalników. U niego też w przechowaniu znajdowały się stare dokumenty rodzinne z siedemnastego i ośmnastego wieku, tudzież ołtarz srebrny, zabytek po przodkach. Zasobna w stare wina piwnica Ziętkiewiczów posiadała ustaloną w mieście reputację, pan Wincenty zaś piastował i funkcję deputata miejskiego przy Stanach galicyjskich i dwukrotnie uczestniczył w delegacyach krajowych, wysyłanych do tronu.

Otoż Ziętkiewicz, wybrany naczelnikiem strzelców, zajął się przede wszystkim przywróceniem równowagi w finansach Towarzystwa. Za jego to rządów w roku 1810 wykupiono z zastawu nieszczęsnego kurka, na co prócz składek użyto pieniędzy, uzyskanych ze sprzedaży korony, służącej dawniej królom kurkowym podczas uroczystych wjazdów. Z czasem, przy rządności i ładzie okazała się i pewna nadwyżka w dochodach Towarzystwa, dzięki czemu już w roku 1825 można było pomyśleć o budowie sal balowych na Strzelnicy. Do wzniesienia tego budynku, który przez długie lata służył na wszelkiego rodzaju okazalsze zebrania w mieście, przyczynili się w przeważnej części bracia strzelcy z budowniczym, Franciszkiem Drescherem na czele i w trzy lata po założeniu kamienia węgielnego dom ten stanął pod dachem. Ziętkiewiczowi ofiarowano podobno za przyczynienie się do owej budowy szlachectwo, ale dumny patrycyusz odparł stanowczo, iż ceni wyżej swe stare mieszczaństwo, aniżeli tytuł szlachecki świeżej daty... Przewodniczył on konfraternii aż do chwili zgonu. Zmarł w dniu piątym marca 1836 roku licząc lat 61.

Za jego jeszcze rządów nastąpiła zmiana w umundowaniu strzelców lwowskich. Barwa surduta pozostała taż sama co poprzednio, ale czerwone wyłogi zastąpiono wykładami

z czarnego aksamitu, pantaloney czerwone i białe kamasze czarnemi spodniami z sutym galonem na boku, kapelusz zaś trójkaniasty stosowanym. Długi pałasz w czarnej, skórzanej pochwie i krótki karabinek stanowiły uzbrojenie szeregowców, od których starszyna różniła się i bulionowymi epoletami, szerszymi galonami i szarfami jedwabnemi. Uniformowani strzelcy lwowscy, tworzyli od roku 1799 prawe skrzydło milicyi miejskiej i w pełnym rynsztunku występywali wraz z całym korpusem podczas procesyi Bożego Ciała, Rezurekcyi, w czasie otwarcia obrad sejmów Stanowych, wreszcie podczas pogrzebów członków konfraternii.

Wzmianka o milicyi lwowskiej, złożonej z mieszczan, a istniejącej do roku 1848, nasuwa nam pod pióro wspomnienie o innym jej oddziale, który dawniej tworzył część składową konfraternii strzeleckiej. Mamy tu na myśli artyleryę miejską, która od roku 1546 odprawiała, według ogłoszonych przez władzę miejską przepisów, doroczne strzelania do tarczy. Najazd szwedzki w roku 1704, zniweczył działa miejskie, skutkiem czego i popisy owe wyszły ze zwyczaju. Dopiero rok 1796 wskrzesił instytucyę artyleryi miejskiej, której dział dostarczała miejscowa załoga. Artylerzyści, rekrutujący się w przeważnej części z restauratorów i piwowarów, odznaczających się okazałą tuszą, nosili kapelusze w kształcie korsykańskich i białe pantaloney z czerwonym lampasem. Dawali oni ognia podczas procesyi Wielkanocnej i w święta dworskich uroczystości, ćwiczenia zaś w polu odprawiali podczas Świąt Zielonych. Smutny wypadek, jaki zdarzył się podczas ćwiczeń w roku 1832, gdy skutkiem nieostrożności ugodzony został śmiertelnie mieszczanin Wnękwicz, spowodował rząd do zawieszenia dalszych popisów artyleryi miejskiej, która odtąd występowała bez dział w czasie większych uroczystości.

Występując w szyku militarnym, stawali strzelcy pod sztandarem, darowanym im w lipcu 1798 roku przez cesarza Franciszka I-go. Gdy chorągiew ta skutkiem częstszego użycia uległa zniszczeniu, odbyło się w dniu 7-go lipca 1844 roku

poświęcenie nowego sztandaru, do którego wstęgę zaofiarowała Cesarzowa Marya Anna. Najnowszy sztandar, jakiego obecnie konfraternia używa, poświęcony został w dniu 9 września 1894 r. podczas zjazdu polskich Towarzystw strzeleckich, obesłanego przez konfraternie krakowską i poznańską.

Strzelnica lwowska gościła niejednokrotnie w swych murach monarchów. W lipcu 1817 roku dwukrotnie zaszczycił ją swą obenością cesarz Franciszek I, którego portret pędzla Szwejkarta, zaofiarowany przez Ziętkiewicza, zdobi od tego czasu główną salę strzeleckiego budynku. I obecnie panujący władca nie pominął strzelnicy podczas odwiedzin Lwiego grodu. Gościł tu i w październiku 1851 roku i w czerwcu roku 1855 i we wrześniu roku 1880. Ostatnia bytność Cesarska na Strzelnicy przypadła w dniu dziewiątym września 1894 r.

Salę strzelnicy miały swe najświetniejsze czasy między rokiem 1830 a 1848, kiedy to urządzane w tem miejscu bale mieszczańskie przynosiły po tysiąc i więcej złotych reńskich dochodu, przeznaczonego na cele dobroczynne. Później opustoszały na długie czasy i dopiero w ostatnim lat dziesiątku życie towarzyskie zawrzało w nich żywszem tętmem. Konfraternia, acz przechowująca starannie uświęcone wiekową tradycją obyczaje strzeleckie, stała się obecnie ogniskiem życia towarzyskiego wśród tutejszego mieszczaństwa, punktem zbornym, w którym z przedstawicielami miejscowego przemysłu i handlu stykają się ludzie rozmaitego zawodu i powołania. Ten brak wyłączności towarzyskiej jest najlepszą rękojmią powodzenia strzeleckiej konfraternii w naszych czasach.

Z okien strzelnicy widać schludny klasztor Franciszkański, którzy wydaleny z śródmieścia i z kościoła św. Antoniego, zajęli w roku 1785 opróżniony przez kasatę klasztor Kapucynów. Pożar, powstały z niewiadomej przyczyny w dniu piętnastym maja 1833 roku, zniszczył doszczętnie klasztor ten i kościół. W pośpiechu wyrzucano na plac Franciszkański, zwany wówczas targowicą na siano, aparaty i sprzęty kościelne, o ile zdołano je wydostać z płonącej świątyni. Między innemi znalazł

się na targowicy i cenny obraz Altamontego, przedstawiający św. Rocha, poszarpany w kawałki. Prowincyał Zambrowski pochował zebrane części obrazu, nie spodziewając się zgoła, by ktoś mógł naprawić uszkodzone w tak wysokim stopniu malowidło, gdy niespodzianie zgłosił się do klasztoru niejaki Wagner, restaurator starych obrazów, z propozycją naprawy tej kompozycji. Z niedowierzaniem powierzono mu obraz na strzepy podarty, lecz tem większe były podziw i radość wśród zakonnej braci, gdy artysta oddał im płótno tak kunsztownie naprawione, iż tylko wprawne oko znawcy mogło odkryć ślady restauracyi. Obraz ten zdobi kaplicę pierwszą po prawej stronie kościoła położoną. Ponowne poświęcenie odbudowanego klasztoru i kościoła nastąpiło w pierwszych dniach października 1835 roku, zaś od roku 1843 przez lat dwadzieścia, to jest do zgonu, przemieszkiwał u Franciszkanów biskup Jan Gutkowski, wygnaniec podlaski.

Na placu Franciszkańskim odbywał się rok rocznie w drugie święto Wielkiej Nocy starosłowiański obchód Hailek. W godzinach popołudniowych tego dnia gromadziły się tłumy ciekawej gawiedzi, okalając grono przedmiejskich dziewcząt, które zawodziły taniec wśród śpiewów i śmiechów. Jedna z tanecznic, stojąca w pośrodku utworzonego przez rówieśnice koła, nuciła piosnkę, którą następnie chór jej towarzyszek powtarzał, podczas gdy ona trzymając oburącz skręconą chustkę, starała się znienacka zarzucić ją na szyję któremu z mężczyzn, przyglądających się zabawie. Schwytany składał z reguły okup, złożony z pierników, orzechów i tanich łakoci, których sprzedają trudnili się żydki, snujący się z koszami wśród tłumów. Zabawa ta ludowa w prawdziwym tego słowa znaczeniu, gdyż prócz przedmieszczan brały w nich udział jedynie służące, świeżo do miasta ze wsi przybyłe, wyrobnicy i wojskowi niższych stopni, nosiła zdawien dawna miano Hailek i obecnie jeszcze odprawia się w całej Rusi na cmentarzach i dawnych horodyszczach. Taniec ten i śpiewy są podobno zabytkiem starosłowiańskiego święta Marzanny, odprawianego co wiosny, choć

i treść zwrotek i pąsy przy nich wyprawiane nie mają już dziś żadnej wspólności z dawną uroczystością. W niektórych okolicach dziewczęta tańczące tworzą rząd i podniósłszy w góry splecione ręce, przepuszczają drugi rząd dziewcząt przez tą zaimprovizowaną bramę. Czasem znów przewodnicząca śpiewom dziewczyna dzierży w ręku wierzbową różgę, goniąc drugą uciekającą po za kołem. Zawsze jednak owa przewodniczka, zwana pospolicie ksienią, stara się rękoma i ruchami twarzy illustrować tekst pieśni.

Żegota Pauli w swych «Pieśniach ludu polskiego» podaje następujący wielce charakterystyczny dyalog, śpiewany podczas «Hańki» :

Chór:

Pomaga Bóg ksieni!
Masz ty córek wiele;
Czy nie możesz jednej
Dać nam na wesele?

Ksieni:

Cóż to ludziom szkodzi,
Że mam córek wiele:
Ja nie mogę żadnej dać
Na wasze wesele.

Chór:

Oj, widzisz ty ksieni!
Twoja córka z nami,
Najjaśniejsza królowa
Stoi między nami...

Obok tych piosnek, w których sprawa zamążpójścia i w ogólności pierwiastek erotyczny główną odegrywają rolę, zasłyszeliśmy wszakże lat temu kilkanaście, śpiewaną podczas Hańki we Lwowie pieśń o Zelmanie, z której zapamiętaliśmy tylko następujące dwie zwrotki:

Jedzie Zelman, Zelmanowa i cała rodzina,
Jedzie, jedzie pan Zelman,
Jedzie, jedzie wszystka Zelmanowa rodzina.
Czego chce Zelman?

Czego chce pan jej brat?

Czego chce wszystka jego rodzina?

Panny chce pan Zelman,

Panny chce wszystka Zelmanowa rodzina.

Jeszcze panna nie wstała,

Jeszcze liczajka nie myła,

I w kościele nie była,

To nie dziękuj pan Zelman za nią.

Chór powtarza zwrotkę powyższą, z wyjątkiem końcowego ustępu, opiewającego jak następuje:

Już panna wstała,

Już wianeczek uwiła,

Już liczajko umyła,

I w kościele była.

Już dziękuje pan Zelman,

Już dziękuje pan brat,

Już dziękuje wszystka Zelmanowa rodzina.

Pieśń o Zelmanie, podobnie jak sama uroczystość Hailek, właściwą jest całej Rusi i rozliczne tworzy warianty. Co do samejże osoby Zelmiana, głównego jej bohatera, istnieją wersje wielce różnej natury. Jedni twierdzą, iż ów Zelman na Zandnieprzu, przed buntem Chmielnickiego, był dzierżawcą kluczków cerkiewnych, za których wydanie musiał mu się lud wiejski opłacać. Odmienne znów podanie przypisuje Zelmanowi brdziej erotyczne zakusy.

Zostawiając rozstrzygnięcie tego sporu zawodowym badaczom, pójdźmy ku miastu ulicą Kurkową. Mijamy przedewszystkiem realność, oznaczoną numerem siódmym, w której dziedzińcu istniała przez lat kilkadziesiąt z rzędu szynkownia Tyrego, zwana *Veteranische Höhle*. Tu był punkt zborny dla wojskowych niższych stopni, oraz dla pomniejszych urzędników, którzy latem spijali piwo i pochłaniali stosy kwargli w ogródku, oddzielającym szynkownię od ulicy, zaś zimą hasali do upadłego w sali restauracyjnej, rozległej, lecz ciemnej i niskiej. Dawniej ogród Tyrego zajmował całą połąć dolną dzisiejszej ulicy Kur-

kowej, zajętą dziś przez realności, oznaczone numerami: pierwszym, trzecim i piątym. Miejsce to niejednokrotnie było widownią krwawych bójek. Po zamknięciu restauracyi koczował w tym lokalu w latach 1877—1884 tutejszy «Sokół», odbywając latem ćwiczenia na boisku, urządzonem w górnej części Strzelnicy.

Naprzeciw szynkowni Tyrego, na szkarpie, tworzącym część wzgórza karmelickiego, istniała do niedawna tak zwana ujeżdżalnia Leśniewicza. Budynek ten długi i niski stosunkowo, zaopatrzony po obu końcach jednopiętrowymi facyatami, powstał około roku 1800. Założycielem jego był Józef Krupp, tytułujący się profesorem jazdy konnej, zaś w roku 1810 kupił tę nieruchomość Walenty Ranc, którego następcą był w roku 1851 Ignacy Leśniewicz, nauczyciel jazdy konnej i gimnastyki, dawny kawalerzysta, figura wielce charakterystyczna. W tym czasie ujeżdżalnia, zaopatrzona z trzech stron w galerye, była zwykłą areną popisów dla wędrownych trup cyrkowych, zjeżdżających do Lwowa na sezon zimowy. Po Leśniewiczu własność tego budynku przeszła na Tyszkiewiczów, wreszcie w roku 1876 zakupił takowy na licytacji Sobiesław Barczewski. Wówczas wojskowość dzierżawiła ujeżdżalnię na własny rachunek. Od sukcesorów Barczewskiego nabył ją budowniczy Gołąb, który w tem miejscu wznosił szereg kamienic.

Minąwszy gmachy namiestnictwa, które do niedawna zajmowało też dom narożny przy ulicy Łyczakowskiej, (dziś ul. Czarnieckiego l. 8), ongi własność Pillerów, później Lundów, wkracamy na przedmieście Łyczakowskie.

Naprzeciw Pillerowskiej posiadłości istniał do roku 1784 klasztor panien Bernardynek, przeobrażony następnie na urząd cłowy, zaś przyległy kościół, ozdobiony freskami Stroińskiego, przeznaczono na magazyn tytoniowy. Na fasadzie kościelnej rosła przez długie lata brzoza, którą podczas restauracyi tego budynku w r. 1892 uprzątnięto.

Podczas burzenia murów miejskich i szkarpów, otaczających miasto z tej strony, natrafiono na ślady dawnych pod-

kopów, w których, prócz rozmaitych narzędzi, znaleziono też kości ludzkie. To odkrycie dało powód do powstania baśni o istnieniu tajnego przejścia, łączącego męzki klasztor bernardyński z żeńskim... Rychło jednak przypominano sobie, że ziemna ta robota była dziełem Turków, dobywających Lwowa w roku 1672.

Ojcowie Bernardyni omal, że nie podzielili w roku 1786 smutnego losu pobożnych siostr tej reguły, gdyż klasztor ich postanowiono przerobić na pomieszczenie rozmaitych władz administracyjnych. Jedyne zabiegom ówczesnego prowincyała, ks. Władysława Heina, podobno kolegi z ław szkolnych gubernatora Galicyi, Józefa hr. Brigido, udało się cofnąć wydane już polecenie zamknięcia klasztoru. W krypcie Bernardyńskiego kościoła grzebano jeszcze w tym wieku nietylko zakonników ale i osoby świeckie, jakkolwiek od roku 1786 wchodził we Lwowie coraz to powszechniej w życie zwyczaj grzebania zmarłych na przedmiejskich cmentarzach, służących do tej pory jako miejsce wiecznego spoczynku dla biedaków oraz dla zapowietrzonych lub samobójców. Dopiero w roku 1817 wyziewy, wydobywające się z katakomb bernardyńskich, spowodowały rząd do wydania zakazu grzebania w tem miejscu. Wywieziono wówczas na cmentarz łyżakowski 330 trumien, po większej części nieuszkodzonych i 73 fury zepsułych zwłok oraz innych szczątków. Przykry los kasaty stał się zarówno udziałem Bonifratrów jak Pijarów i Paulinów, posiadających w tej dzielnicy swe klasztory. Bonifratrzy ustąpić musieli miejsca szpitalowi wojskowemu, a kościółek popauliński służy dziś jako cerkiew św. Piotra i Pawła pobożnym wyznania gr. kat. Natomiast gmachy popijarskie kilkakrotnie zmieniały swe przeznaczenie. Powstanie swe zawdzięczał ten budynek biskupowi Samuelowi Głowińskiemu, sufraganowi lwowskiemu, który od roku 1762 rozpoczął budowę, przeznaczając ją dla Pijarów oraz na konwikt dla młodzieży szlacheckiej. Miano w nim uczyć według planu, przyjętego w *Collegium nobilium* warszawskiem, lecz dopiero w roku 1776 otrzymał Głowiński zatwierdzenie rządowe

dla tego instytutu. Rząd dopłacał pewną kwotę na utrzymanie profesorów oraz wychowawców, uczących się kosztem państwa i dokończył budowę własnym funduszem. «Akademia Stanowa» — jak ją nazywano w Galicyi — pozostawała wprawdzie pod dozorem Pijarów, ale chwile jej bytu samoistnego były policzone, gdyż z otwarciem uniwersytetu lwowskiego i kasaty zakonu pijarskiego, przeniesiono wychowawców akademii do gmachu potrynitarskiego zaś opróżnione budynki popijarskie przeznaczono na szpital.

W gmachu tym mieścił się też oddział dla umysłowo chorych do r. 1875. Że zaś pomieszczenie tych nieszczęśliwych nie było właściwe w tak nieznacznem oddaleniu od miasta, dowodziła najlepiej okoliczność, iż z reguły w każdą niedzielę i w święto spieszyły latem, o południowej porze, liczne tłumy gawiedzi, by przypatrzeć się i przysłuchać rozmowom i krzykom «waryatów», wypuszczanych o tej godzinie na przechadzkę do ogrodu, lub przemawiających do tłumu z za okratowanych okien szpitalnych. Był to widok wstrętny w najwyższym stopniu!

Miał też Łyczaków i swoje rozrywkowe miejsca, że przypomniemy ogródki: «Pod gołąbkami», lub «Hotel Laus», w których przy fałszywym śpiewie czeskich arfinistek mniej wybredna warstwa publiczności raczyła się szumiącym w kamionkach «plucerem», (podpiwkim), lub zabawiała się grą w kręgle. Fabryka maszyn Pietscha była ostatnim etapem obcej kultury na tem przedmieściu, które po dziś dzień patryarchalną iście prostotę obyczajów w nieskalanej zachowało czystości...

Wśród krupiarzy, którzy zamieszkują górny Łyczaków i podementarną okolicę, tworzącą ongi jurydyki zwane: Mazurówką i Wólką Kampianowską, nie są wskazane wycieczki dla miejskich donżuanów. O ile bowiem pleć słabsza odznacza się w tych stronach urodą, o tyle mężczyźni posiadają dziwnie rozwiniętą muskulaturę «Patyczkiem» nazywa się tu kół z płota a «pokłonić się komuś» znaczy tyle, co ściągnąć intruza drągiem przez plecy...

Między Mazurówką a łyczakowską rogatką, na pustych

wzgórzach pod lasem, czerwieniła się przez długie lata stara rudera, przezwana nawet na dawniejszych mapach Lwowa: Młynem dyabelskim, (*Teufelsmühle*). Był to wiatrak, opuszczony od lat niepamiętnych i pozbawiony skrzydeł. Zdaleka sprawiał on wrażenie średniowiecznej baszty.

Górujący nad Łyczakowskim przedmieściem cmentarz, zalicza się do najrozleglejszych i najokazalszych w Polsce. Pod względem malowniczości położenia porównują go słusznie z cmentarzem ewangelickim w Warszawie. Cmentarz łyczakowski pierwotnie zajmował tylko szczyt wzgórza, gdzie obecnie stoi altana. Grzebano tam zmarłych już około 1567, lecz najdawniejsze zapiski archiwalne, dotyczące cmentarza, podobnie jak najstarsze płyty, dotychczas istniejące, datują się dopiero od roku 1786. Zarząd cmentarza w owym czasie był bardzo niedbały i gubernator Galicyi, Józef hr. Brigido, uznał za stosowne zawiadomić w r. 1787 magistrat lwowski, iż zwłoki bywają chowane za ledwie na łokieć głębokości pod powierzchnią ziemi; czemu na przyszłość zapobiec należy. W latach 1804 i 1808 nastąpiło znaczne rozszerzenie terytorium cmentarnego. Mimo to dziedziniec dzisiejszy nie leżał jeszcze w obrębie cmentarza, lecz częścią tworzył pastwisko, częścią też był zabudowany prywatnemi realnościami. W roku 1856 rozszerzono w dalszym ciągu terytorium cmentarne przez zakupno sąsiednich gruntów, a równocześnie przystąpiono do uporządkowania cmentarza; wycięto aleje, drogi, ulice. Roboty te zostały ukończone dopiero w roku 1858. Z kilkunastu kaplic, wzniesionych na łyczakowskim cmentarzu, najdawniejszą jest kaplica Borkowskich, zbudowana w roku 1812, a mieszcząca w sobie, prócz zwłok Leonarda Borkowskiego, założyciela tego mauzoleum oraz jego małżonki, Ignacyi z Ostrorogów, także zwłoki Stanisława Borkowskiego, autora «Podróży do Włoch», tudzież przedwcześnie zgasłego komedyopisarza, ś. p. Witolda i wiele obiecującego poety, Józefa, Borkowskich. Najdawniejsze pomniki na cmentarzu łyczakowskim pochodzą — jak to już wspomniano — z przedostatniego dziesiątka lat ubiegłego wieku.

Niewielka liczba tych zabytków, znajdujących się przeważnie w okolicy altany, tłómaczy się i bezprzykładnem zaniedbaniem, w jakim pozostawał cmentarz łyżakowski w pierwszych latach bieżącego stolecia i kruchością materiału, (piaskowca), z jakiego wznoszono pomniki. Na płytach, zachowanych do naszych czasów, przeważają nazwiska niemieckie: Kriegshaberów, Voglów, Szabingerów, Schragnerów, Beitelbergerów, Pillerów, choć nie brak i polskich napisów na pomnikach z owych czasów: Andzulowicza, hr. Jabłonowskiej, Dębickiego, Ziedlińskiej, Zabłotowskiej, Trzeciaka i Wartanowiczówniej. Na wielu płytach czas i deszcz zatarły nazwiska nieboszczyków, spoczywających pod grobowym głazem.

Wśród mnóstwa pomników z pierwszej połowy naszego wieku, mniej lub więcej uszkodzonych, niepodobna nie wspomnieć o żelaznym sarkofagu, kryjącym zwłoki Wincentego Szeptyckiego, generała wojsk polskich z roku 1831, a to z powodu niezwykłych okoliczności, towarzyszących pogrzebowi zasłużonego żołnierza. Szeptycki w szeregach gwardyi napoleońskiej odbywał świetne kampanie w Hiszpanii, w Austrii, w Niemczech, w Rosyi i w Saksonii, w ciągu których dosłużył się stopnia pułkownika i krzyża legii honorowej. Opuściwszy w roku 1818 służbę wojskową, chwycił znów broń w czasie rewolucyi listopadowej i za męstwo pod Boremlem okazane, mianowany został generałem brygady. Później dowodził oddziałem ochotniczym w województwie krakowskiem, zkąd po kapitulacyi Warszawy powrócił do Galicyi. Jako tutejszokrajowiec nie został Szeptycki wydany, lecz policya lwowska otaczała go czujną opieką aż do chwili zgonu, który nastąpił w dniu dwudziestym stycznia 1836 roku. Ale i po śmierci nie uszanowano zwłok dzielnego wojownika. Policya wtargnęła bowiem do jego mieszkania, zdarła z trupa mundur jeneralski, w którym chciano go złożyć na wieczny spoczynek i przyspieszyła termin pogrzebu. Cały garnizon miejscowy stanął pod bronią dla przeszkodzenia jakimkolwiek demonstracyom. Na szczęście atoli Lwowianie nie dali się spowodować do oporu tem zbrojnym

pogotowiem. Wśród majestatycznej ciszy i powagi podążał tłum wielotysięczny na cmentarz, zaś młodzież na własnych barkach zniosła trumnę starego wojownika na wieczny spoczynek.

Podobnie imponujący pochód oglądał też Lwów w dniu dwudziestym czwartym maja 1848 roku, podczas pogrzebu Edwarda Morgenbessera, wychodźcy. Morgenbesser, powróciwszy z Francyi do Krakowa i ranny na barykadach w czasie walki ulicznej, stoczonej tamże dnia 26 kwietnia t. r. przyjechał do Lwowa, gdzie też niebawem życia dokonał. Trumnę biednego tułacza niosła młodzież i panny, gdyż nie było z czego opłacić kosztów zwykłej, pogrzebowej pompy. Ale za zwłokami szła niemal cała ludność miasta. Reprezentowane były wszystkie stany, nie wyłączając żydów. Zwłoki Morgenbessera spoczęły na stryjskim cmentarzu.

Wracając do pomników na Łyczakowskim cmentarzu, nie podobna też nie wytknąć naszemu społeczeństwu dziwnej obojętności, okazywanej w obec grobów ludzi, zasłużonych w różnych dziedzinach publicznej działalności, którzy sterawszy siły w usługach kraju, nie byli dość oględnymi, by zabezpieczyć sobie płatny dół cmentarny. Wszak twórca stałej sceny polskiej we Lwowie, Jan Nepomucen Kamiński, dopiero po latach dwudziestu doczekał się grobowego głazu, zaś wielki filantrop, który milionową, w trudzie całego życia zebraną fortunę, poświęcił starcom i sierotom, przez lat czterdzieści spoczywał w grobie, nieoznaczonym nawet zwykłym pomnikiem i dopiero w maju 1888 roku zwłoki jego przeniesione zostały do kaplicy stworzonego przez niego zakładu. Tym zmarłym, nieuznanym za życia, zapomnianym po śmierci, był Stanisław hr. Skarbek, twórca fundacyi tegoż nazwiska.

Niesłusznie więc zarzucano polskiemu społeczeństwu, iż swym wybrańcom skąpi za życia sławy i chleba, by po śmierci budować na ich cześć wspaniałe mauzolea!...

Charakterystyczną cechą Łyczakowa są szpitale i zakłady dobroczynne. Jedne z nich powstały już w nowszych czasach, inne datują się z pierwszej połowy naszego stolecia. Bezpo-

średnio stykają się z sobą, otoczone ogrodami, zakłady dla głuchoniemych oraz dla ciemnych. Ciekawą jest historia powstania instytutu głuchoniemych, zawdzięczającego swe istnienie nieznanemu dobroczyńcy, który pod przybranem nazwiskiem Franciszka Holdheima przysłał w r. 1828 rządowi gubernialnemu we Lwowie w akeyach bankowych sumę 7.500 złr. Posypały się też w kraju składki na ten cel, tak, iż w roku 1830 można już było pomyśleć o otwarciu instytutu, który zrazu miał być tylko szkołą dla dochodzących uczniów. — Głuchoniemych zgłosiło się dwudziestu czterech, ponieważ jednak z osób prywatnych nikt nie chciał się zająć opieką nad tymi biednymi, przeto wynajęto na ten cel budynek przy ulicy dzisiejszej Fredry (l. 7.), gdzie pod dozorem nauczyciela Wichitila umieszczono wychowanków zakładu. Wichitil, podobnie jak jego pomocnicy: Pantera i Chocholauszek, był Czechem z rodu.

Pierwszy popis, odbyty w dniu siedmnastym marca 1831 roku, zainteresował szerszą publiczność, płynęły dalsze ofiary i w dwa lata później zakupiono na pomieszczenie instytutu stare domostwo przy ulicy Łyczakowskiej, które przebudowano z gruntu w roku 1841. Ogród, otaczający zakład, powstał już za rządów Gołuchowskiego.

Przyległy do instytutu głuchoniemych dom, (Łyczakowska l. 37), mieści w sobie zakład dla ciemnych, który swe powstanie zawdzięcza również inicjatywie prywatnej. Pierwszym, który miał plan stworzenia takiego zakładu, był Wincenty Zaręba Skrzyński, zaofiarowawszy równocześnie w lipcu 1845 roku sumę ośmnastu tysięcy zł. Skrzyński, noszący tytuł miecznika królestw Galicyi i Lodomeryi, zaliczał się do rzadkich w owych czasach ziemian, którzy rządnością i obrotnością w interesach znacznie pomnożyli odziedziczoną fortunę. Pomocną mu była w tej pracy małżonka, Zofia z Fredrów, matrona zacna, cicha i pracowita. A było pracować dla kogo, gdyż Bóg pobłogosławił to stadło sześcioma synami. Co prawda, szczęście sprzyjało Skrzyńskim. W całej Galicyi opowiadano sobie o wypadku, który się zdarzył w Bachórze, w majątku

pana miecznika, podczas lutowej rzezi 1846 roku. Oto chłopci nie zastawszy dziedziców w domu, zrabowali dwór i unieśli z sobą z rozbitego biurka tysiąc dukatów w gotowiźnie. Wszyscy sądzili, że pieniądze z kretelem przepadły. Cóż jednak się stało? Oto Skrzyński zawezwał interwencji władzy obwodowej i wysłana na miejsce zbrodni komisya zdołała z zrabowanego tysiąca odebrać dziewięćset dukatów. Takim rezultatem niestety nikt nie mógł się pochłubić w Galicyi.

Wracając do fundacyi zakładu dla ciemnych, nadmienić wypada, że za przykładem Skrzyńskiego poszli inni ziemianie, w których liczbie znalazł się Maciej hr. Miączyński. Ten zafiarował grunt pod budowę zakładu. Budynek, rozpoczęty w r. 1849, oddany został w lipcu 1851 roku do użytku publicznego. Szlachetny inicjator instytutu nie doczekał niestety chwili urzeczywistnienia swej myśli, gdyż zmarł już w styczniu roku poprzedniego.

Jeżeli wspomniemy jeszcze o figurze kamiennej Matki Boskiej, ustawionej dziś w oszklonej kapliczce, a wzniesionej niegdyś w pośrodku drogi, to wyczerpiemy w zupełności zasób reminiscencyi, odnoszących się do Łyczakowa. Do figury tej przywiązane jest podanie, iż wznosił ją groźny w swoim czasie Kaniowski starosta, Mikołaj Potocki, jako ekspiacę za zabicie szlachcica, który niechciał mu ustąpić z drogi. Jeżeli prawdziwym jest podanie owe, to niepodobna nie zauważyć, iż dziwnie tanim kosztem próbował pan starosta zawrzeć kompromis z Przedwiecznym Sędzią.

Dawniej Łyczaków utrzymywał nader żywą komunikację z Winnikami. Na przestrzeni owej krążył w roku 1835 omnibus, obliczony na dwanaście osób, odbywający cztery razy na dzień tę podróż, za którą płacono się tylko dziesięć krajcarów. W zimie przekładano karetkę omnibusową na sanie, lecz kursowała ona tylko raz na dobę. Największy wszakże ruch na gościńcu łyczakowskim panował w dniu piętnastym sierpnia, podczas odpustu, odprawianego w kościele winnickim. Powozy prywatne i najęte, wozy i budki żydowskie tłoczyły się długim węzłem

na drodze do Winnik, podczas gdy wielotysięczny tłum piechotników podążał tamże bocznymi ścieżkami. Że oprócz pobożnego celu pielgrzymki, nęciło Lwówian po za roгатki i wyborne, czarne piwo, warzone przez Krupickiego w Winnikach, dodawać chyba nie potrzeba. Nie brakło i w zwykłe dni miłośników przyrody, odbywających piesze wycieczki na Czar-towską Skalę w lesiennickim lesie, z której dobywano kamień budowlany. Powracający wstępowali zazwyczaj do restauracyi, zwanej leśniczówką, (*Jägerhaus*).

W roku 1836 nakładem Józefa Schneidra ukazał się bezimienny zbiorek poezyi p. t. *Lembergs schöne Umgebungen*. Anonimowa wieszczka, którą była wspomniana już poprzednio Anna Józefa Kuhn, przeorysza lwowskiego konwentu Benedyktynek, wcale gładkimi rymy opisuje nam: Winniki, Lesien-nice, Czar-towską skalę i dolinę Kręte Potoki, nadmieniając przytem o podaniach, łączących się z temi miejscowościami. Osobny ustęp poświęciła roztkliwiona poetka sędziwej parze małżonków Baczyńskich, podejmujących gości miejskich w swej chacie nabiałem. Oczywiście porównała ich z Filomenem i Bau-cydą. Od sielanki czas nam powrócić na łono miejskiej prozy.

Łyczaków od ulicy Piekarskiej, będącej w rzeczywistości główną siedzibą piekarzy lwowskich, dzieliła wspomniana już poprzednio Wólka Kampianowska, puste błonie podcmentarne, należące w przeważnej części do hr. Baworowskich. Jeszcze przed laty dwudziestu pasły się w tem miejscu zbiedzone wiel-błądy, którymi Michał hr. Baworowski, znany z ekscentryczności, próbował przejeżdżać się po Lwowie.

Na tak zwanej Baworowszczyźnie założył też w roku 1826 niewielki ogródek Jan Klimowicz, który widząc znaczne zyski tutejszych ogrodników, Niemców, jął z nimi współzawo-dniczyć. Poszcęściło mu się. W dziesięć lat później przeniósł się do obszernego ogrodu, zakupionego na własność obok kla-sztoru Sakramentek, a niebawem nabył obszerne ogrody w miejscu, gdzie dziś ulice Kampiana i Zamoyskich na Zielonem, tudzież na Zamarstynowie. Co prawda, wobec trudności dowozu żywych

kwiatów i nasion zagranicznych, dochody ogrodników lwowskich były znacznie większe niż obecnie. Za jedną kamelię płacono tyle, ile dziś kosztuje bukiet okazały. Płacono gotówką za kwiat, który dopiero miał się rozwinąć, oznaczając kartką na krzewie umieszczoną nazwisko przyszłego właściciela. Tożsamo działało się i z rzadszymi owocami. Pewnego lata arcyksiążę Ferdynand d'Este zakupił u Klimowicza cały zbiór z jednego drzewka brzoskwiniowego w jego ogrodzie. Postawiono koło drzewka wartę i codziennie rano przybywał sam marszałek dworu, w którego obecności zrywano dojrzale już owoce. Za sztukę płacono cwancygiera w srebrze.

Prócz Klimowicza, który był protoplastą rodu ogrodników tutejszych, jednymi z pierwszych krajowych pracowników w tym zawodzie byli Mikołaj Woliński, założyciel do dziś dnia istniejącego zakładu i Szandrowski, który po niemcu Stincingu objął zakład na Zamarstynowie. Z chwilą, gdy kolej żelazna połączyła Lwów z zachodem, zmienił się i zasadniczo kierunek przedsiębiorstw ogrodniczych, tutejszych. Dawniej produkowały one artykuły zbytku, dziś służą przeważnie celom gospodarczym.

Idąc ku miastu widzimy przy ulicy Piekarskiej, naprzeciw internatu OO. Zmartwychwstańców, tył pałacyku hr. Comello, przedtem Turkułów. W roku 1844 właścicielką pałacyku była hr. Dzieduszycka, która w stawku ogrodowym urządziła kąpiele dla publiczności, zaś w niedzielę i w święta przygrywała w tym ogrodzie, znanym wówczas pod nazwą ogrodu Kopińskiego, muzyka wojskowa. Panie używały chętnie kąpeli w sąsiednim stawie Sakramentek, lecz częste wypadki zatrucia ryb mydłem, były podobno przyczyną, iż wstęp do stawu osobom świeckim został zabroniony. W ogóle ulica Piekarska, prócz parterowych dworków, okolonych ogrodami, nie posiadała znaczniejszych budynków w pierwszych lat dziesiątkach tego wieku. Nie dziw przeto, iż w zimie 1835 roku zarówno ulica Łyczakowska jak Piekarska cieszyły się niezbyt zaszczytną sławą Kalabrii lwowskiej.

Sławę tę zawdzięczały zręcznej szajce rzezimieszków,

którzy ukryci w jednym domku pod cmentarzem, o zmroku dopiero wychodzili na łowy. Jeden z nich, zwany w tradycji tutejszej cyrulikiem, człeczek niepozorny i zwinny, przyłączał się pod pierwszym lepszym pozorem do spóźnionych przechodniów, by w danej chwili zatkać im usta, nos i oczy plastrem z ptasiego lepu. Napadnięty, pozbawiony wzroku i możliwości wołania o ratunek, padał zazwyczaj po krótkim szamotaniu się, ofiarą rabusiów, którzy obdarłszy biedaka do bielizny, umykali, by przepaść bez śladu. Wieść o tych grabieżach, ubarwiana oczywiście i spotęgowana do niemożliwych rozmiarów w opowiadaniach kumoszek, rzuciła postrach na całe miasto. Kobiety po zachodzie słońca za żadne skarby świata nie chciały pokazywać się na łyżakowskim przedmieściu, zaś mężczyźni, co śmielsi, uzbrajali się na wyprawę w te strony w laski z sztyletem wewnątrz ukrytym i w krucice. Przyszła w końcu kreska na Matyska. Jakiś mieszczanin, chłop co się zowie, napadnięty przez rabusiów, zerwał — wraz z własną skórą — narzucony ma na twarz plaster i oszalały z bólu, omal że nie zdławił na miejscu owego «cyrulika». Policya pospieszyła mu na pomoc, a mając już jednego ptaszka w klatce, z łatwością schwyciła jego współników. Lwów odetchnął swobodniej.

Ulica Pańska, dawniej zwana w dalszym swym ciągu Zbożową, łączyła przedmieście łyżakowskie z halickiem, najrozleglejszem i najgęściej zaludnionem z przedmieść lwowskich. Skwer na placu bernardyńskim urządzone nazywał się przed laty pięćdziesięciu targowicą zbożową, przy której wzniósł kupiec tutejszy, Glixeli, okazałą, dwupiętrową kamienicę. W niej mieszczą się od roku 1839 mieszkania głównodowodzącego generała oraz biura wojskowe. Tuż obok, po prawej stronie, istniał popularny w swoim czasie zajazd Kowalki, przechrzczony następnie na hotel pod jeleniem, zaś całą przeciwległą połąć placu zajmowały domki parterowe, zamykające wewnętrzny dziedziniec pokarmelickich gmachów, obróconych po przeniesieniu konwentu do jego obecnej siedziby, na fabrykę jedwabiu.

Kasata konwentu Karmelitańskiego nastąpiła w roku 1789

zaś według kroniki klasztornej, głównie przyczynił się do tego magistrat ówczesny. — «On to bowiem» — słowa kroniki — «nastając koniecznie na zniszczenie zakonu, upatrzył ten gmach za najdogodniejszy na fabrykę jedwabiu i upraszał przeto gubernium galicyjskie, ażeby dozwoliło znieść ten klasztor a zakonnikom kazało się przenieść do innych klasztorów karmelitańskich w Galicyi. Ale gdy założenie tej fabryki nie przyszło do skutku dla przeniewierstwa fabrykanta, niejakiego Buscheta, magistrat lwowski, niepomny na religję prawowierną i niezważając na to, że kościół nasz należał do rzędu najpiękniejszych budynków miasta i już od 178 lat poświęcony był służbie Boga, nie wahał się zamienić na stajnię i ujeżdżalnię, a klasztor, gdzie przemieszkowało tyle świątobliwych mężów i sług boskich, na karczmę publiczną, a później przeznaczyć go na więzienie kryminalne!» — Tyle słów kroniki, lecz zdaje się, iż rozżalony jej autor niesłusznie obwiniał władze miejskie o prześladowanie klasztoru, którego zniesienie było wynikiem postanowień naczelnej władzy rządowej. Za szczególniejszą dopiero instancją szlachty i znakomitszych obywateli lwowskich, udało się przeorowi konwentu, księdzu Albertowi Karpińskiemu, wykołatać we Wiedniu dekret nadworny, nadający Karmelitom trzewiczkowym klasztor, odebrany Reformatom, a zajmowany poprzednio przez długi lat szereg przez Karmelitów bosych, wraz z kościołem pod wezwaniem Michała Archaniola.

Gmach pokarmelicki przy dzisiejszej ulicy Batorego upamiętnił się w wspomnieniach całego kraju, w latach 1833—1846 choć i później niejednokrotnie mieścił w swych murach przestępców stanu. Zakryte «koszami» okna i gęsto snujące się po przyległym dziedzińcu strażę nadawały mu posępny wyraz, a brud i nieczystość, panujące w tym gmachu, czyniły z «Karmelitów» jedno z najokropniejszych więzień w kraju. Zbutwiałe podłogi, z pod których dostawały się do kaźni kloaczne wyziewy i stada szczurów, wilgoć, okrywająca mury, brak powietrza, świeżej wody i strawy — to były właściwości tego okropnego gmachu w którym jęczał kwiat narodu, zakuty w kajdany. Od czasu do czasu tłumy

ludu zalegały ulicę przed zabudowaniem dawnego sądu karnego, gdzie na rusztowaniu z desek skleconem, otoczona bagnętami, ukazywała się wynędzniałego postać więźnia, zakutego w żelaza. Na balkonie sądowego budynku stawał trybunał, którego przewodniczący odczytywał skazańcom wyroki śmierci, lub też opiewające na długie lata więzienia. Łoskot bębnow głuszył słowa, jakimi skazani żegnali ziomków i niejedno westchnienie, niejedna klątwa przyłgnęły do tych murów, które w marcu b. r. runęły w gruzy, gdyby złowrogie widmo przeszłości.

Przyległy do klasztoru kościół pod wezwaniem św. Leonarda stał przez lat kilkadziesiąt pustką i rozebrany został w r. 1870, by ustąpić miejsca dzisiejszemu gimnazjum Franciszka Józefa. U zbiegu ulic dzisiejszych: Fredry i Batorego stała do roku 1800 stara cerkiew Bohojawlenia, zastąpiona w późniejszych latach nieistniejącym też obecnie zajazdem Krynickiego.

Skwer, ozdabiający dziś placyk przed t. zw. kręconymi słupami, powstał w maju 1853 roku, podobnie jak pomost, rzucony na strumieniu, zwanym Pasieką, a płynącym wzdłuż ulicy, przezwaney dziś ulicą Kochanowskiego, dawniej: na Rurach. Prócz pierwszej ochronki dla dzieci, założonej w roku 1840 przez komisarza wojennego Schiesslera, nie znajdujemy w tem miejscu, niezbyt zresztą wonnem wśród lata, żadnych wspomnień, prócz tak zwanej Szumanówki. W budynku, mieszczącym dawniej zakłady mechaniczne Schumana, zakwaterowała się szkoła weterynaryi, zaś na przyległym stawku Towarzystwo łyżwiarskie odprawiało zimą swe popisy. Stawek ten, niezbyt głęboki i zasłonięty od drogi, urządzono w roku 1846 jako miejsce kąpielowe dla pań. Istniał tu budynek o dwudziestu kabinach, służący do zmiany ubioru a nawet znalazł się nauczyciel, ofiarujący swe usługi paniom, chcącym korzystać z lekcji pływania.

Dalej już tylko porozrzucane w wielkich odstępach dworki i domki przedmiejskie ciągnęły się ku Pohulance, której właścicielem w ostatnich latach ośmnastego wieku byli Krzysztof

i Franciszek Deymowie, radcy lwowskiego sądu apelacyjnego. Po Dyemach własność Pohulanki przeszła na Dziewałtowskich, od których kupił ją w r. 1810 słynny z dowcipu, humoru i obrotności w interesach mecenas lwowski, Franciszek Węgliński. Od tego też czasu datują się nazwy tej miejscowości: Pohulanka lub lasek Węglińskiego. Węgliński chciał i umiał się bawić a obrawszy sobie to ustronie za letnią rezydencję, zalesił puste przedtem wzgórze bukami i brzozaami, wyszlamował stawek w dolinie i urządził przed domem, na wzgórzu wzniesionym, wytworny ogród, w którym podejmował bardzo często śmietankę lwowskiego towarzystwa.

Niedługo niestety trwały świetne czasy Pohulanki, gdyż Węgliński rzucił niebawem lwowską palestrę, by zaciągnąć się w szeregi sądownictwa księstwa warszawskiego. W roku 1818 był już senatorem - kasztelanem, zaś w rok później objął tekę ministra sprawiedliwości po Sobolewskim. Od Węglińskiego nabył Pohulankę w roku 1821 restaurator Jan Diestl, który urządził w tem miejscu piwiarnię oraz ogród publiczny, odwiedzany bardzo licznie przez Lwowian. Wożono się czółnem po stawku, spijano piwo i wino. Wśród gości przeważał oczywiście zastęp przybyszów z nad modrego Dunaju i Wełtawy, rozprawiających z zapalem o najświeższych wypadkach stołecznych, choć od czasu do czasu zajeżdżały na Pohulankę eleganckie powozy, przywożące miejskich elegantów, lub — jak ich wówczas nazywano — fanfaronów, w kratkowych kapeluszach, kratkowych chustkach, w surdutach kadrylowanych, czyli podbitych kratkowaną kitajką i w pantalonach prążkowanych. Tak wyglądała Pohulanka w lecie 1823 roku, według opisu, zamieszczonego w «Rozmaitościach». Po r. 1848 zmieniła się znów fizyognomja Pohulanki, która przeszła w owym czasie na własność Jana Kleina. Ten zburzył dawne zabudowania, wznoszące się na wzgórzu i w dolinie; w miejscu osuszonego stawku, postawił budynek mieszkalny oraz browar. I wówczas jeszcze Pohulanka była licznie uczęszczaną. Kurczaki, pierogi ze śmietaną, rzodkiewka oraz piwo miejscowego wyrobu, ściągaly tam każdej

niedzieli tłumy publiczności, zaś w roku 1853 istniała w tem miejscu nawet letnia cukiernia Maisona, dostarczająca lodów najwybredniejszym gościom.

Do Pohulanki tuliła się od strony Łyczakowa urocza Cetnerówka, ongi siedziba wojewody bełzkiego, Ignacego Cetnera, pana na Podkamieniu, Krakowcu i Bakończycach. Mieszkał on stale w Krakowcu, który przyozdobił przepysznym ogrodem, nazwanym przez Kuropatnickiego «zbiorem z czterech części świata», a z równem zamięlowaniem i nakładem ozdobił Bakończyce i Cetnerówkę, szukając w ogrodnictwie zapomnienia o troskach domowych i publicznych. Ożeniony z Ludwiką Potocką, kobietą dziwacznych zachceń i zmiennego wielce humoru, nosił biedny wojewoda przez całe życie cierniową koronę. Uprzejmy i litościwy dla wszystkich, padł ofiarą własnych oficjalistów, którzy go najbezwstydniej w świecie okradali, hardo się stawiając dobrotliwemu panu. W roku 1787 złożył Cetner godność wojewody, co dało sposobność do powiedzenia o nim pani Kossakowskiej: Uczciwy był to kiedyś cetnar, teraz i funta niewart... Urządzenie Cetnerówki, dziś zaniedbane, zwracało w pierwszych lat dziesiątkach bieżącego wieku uwagę znawców. Między skałami wiła się droga z kamienia budowana, wysadzana kłębami drzew jednakich. Jasnozielone jodły amerykańskie malowniczo tworzyły kontrast z czarnymi bukami i jasionami; akacje kłóciły się z klonami, rozrzuconymi w fantastycznych grupach. Kwiaty, rzadkie krzewy, trawniki, utrzymane z nadzwyczajną troskliwością, okalały prześliczny stawek, tudzież skromny na pozór dom wiejski, którego wspaniałe, wewnętrzne urządzenie sprawiało u zwiedzających to ustronie wrażenie miłej niespodzianki. Cetnerówka oddawna już wyszła z rąk Cetnerów; obecnie jej właścicielami są Jabłońscy.

W ogóle część halickiego przedmieścia, tworząca dziś ulice: Kochanowskiego, Zieloną i Jabłonowskich, była szczególnie ulubioną przez dygnitarzy dawnej Rzeczypospolitej, którzy w tej stronie zakładali swe rezydencye. Oddalenie od krzykliwego śródmieścia i ogrody, ciągnące się w tej stronie nieprzer-

wanem niemal pasmem, przedstawiały dla możnych panów wielką zaletę w tym wyborze mieszkania miejskiego.

I tak przy dzisiejszej ulicy Pańskiej, (l. 25 i 27), wznosił się dziwnie zbudowany pałac Sieniawskich, później Czartoryskich. Strzegły go dwa sfinksy, czyli meluzyny, które zapamiętała dobrze starsza generacja Lwowian. W ogrodzie pałacowym, istniejącym jeszcze w pierwszych latach naszego wieku, szumiały odwieczne lipy, które zapamiętały czasy Augusta II., goszczącego u Sieniawskich w roku 1698.

Odnaczający się również oryginalną strukturą pałacyk Zamojskich powstał już w późniejszych czasach. Przed rokiem trzydziestym istniała w tem miejscu, (l. 22, 23, ulica Zielona) posiadłość Olszewskich, złożona z dwóch dworców, stojących wśród ogrodu. Tu mieszkał czas jakiś i poznał pierwszą swą żonę, Kornelię Olszewską, serdeczny nasz pieśniarz, Pol Wincenty. Po Olszewskich nieruchomość ta przeszła w ręce Bazyłego Lewickiego, który ją sprzedał Zamojskim.

Minąwszy kościół św. Urszuli, odebrany Dominikanom dla pomieszczenia w nim zboru ewangelickiego, zboczmy na prawo dzisiejszą ulicą Jabłonowskich. I oto nad stawem, oblewającym frontową część gmachu, ujrzymy obszerny pałac Jabłonowskich z rozległymi ogrodami od tyłu. Rezydencya ta założona przez hetmana Stanisława Jabłonowskiego, pozostawała w ręku jego sukcesorów do roku 1832, lecz już z końcem ośmnastego wieku ogród pałacowy, słynny z lipowych czworoboków, zasadzonych na pamiątkę wiedeńskiej odsieczy, był miejscem ulubionej przechadzki dla towarzystwa lwowskiego. Z pałacem Jabłonowskich łączy się też wspomnienie o scenie, jaka się rozegrała w jego murach w roku 1783, kiedy to cesarz Józef II., bawiący we Lwowie, doprowadził do skutku pojednanie między macochą a pasierbicą, żyjącymi z sobą od dawna w zawziętej nienawiści. Były niemi kasztelanowa Konstancya Bilska, dama gwiazdzonego krzyża i pasierbica jej, Teofila. Znalazł się nawet wieszcz natchniony, który owe zda-

rzenie opisał w szumnym wierszu po polsku i po łacinie. Dla nas szczególnie ciekawym jest następujący ustęp poematu.

Kędy leży przedmieście, tuż przy górach blisko,
 Tam pałac Jabłonowskich z obszernym ogrodem,
 Gdzie ulicami chodzić można w spieki chłodem,
 Tam wzniosłe w niebo lipy wzywają słowiki,
 Tam niedaleko mruczą z opoki strumyki,
 Tam ogromne dźwigają góry w obłok karki,
 Skąd Turek już gotował arkany na barki,
 Burzliwe z śmiercionośnej niosąc spiżu gromy,
 Czem się waliły wieże, świątynie i domy;
 Tu się z całego miasta liczne państwo schodzi
 I chłodnemi wieczoryienne prace chłodzi...

Ogród Jabłonowskich, podzielony lipami na ośm czworoboków, bywał też widownią publicznych produkcji. Tu ujrzeli Lwowianie po raz pierwszy w roku 1792 unoszący się w górę balon, wypełniony ogrzanem powietrzem, a puszczony przez niejakiego Moranowicha, zaś w latach 1795—1799, wznosił się w tem miejscu teatr letni Bogusławskiego, zbudowany przez Włocha Maraina. Rozpoczęte w maju 1795 roku roboty, ukończone zostały w połowie czerwca t. r. Okazały ten budynek mógł pomieścić do trzech tysięcy widzów, dla których urządzono siedzenia na splantowanym w trzy kondygnacye wzgórzu. Scena i audytoryum obywateli się zrazu bez dachu, który urządzono dopiero w latach następnych, zaś główną ozdobę teatru tworzyło olbrzymie proscenium, udekorowane kolumnami, przedstawiającemi zwaliska starogreckiej świątyni. Liczne tłumy, żadnej bezpłatnych wrażeń publiczności, dążyły wieczorami do ogrodu, przypatrując się szybko rosnącej budowie i trapiąc biednego Maraina tysiącem pytań, na które stare włoszysko, źle władające językiem polskim, jak mogło, odpowiadało. Układanie proscenium, które budowano i malowano na murawie, było dla miejskiej gawiedzi ciekawem widowiskiem. Tego wieczora gięły się gałęzie lip ogrodowych pod naciskiem widzów, którzy z tego wysokiego stanowiska darzyli Maraina hucznymi oklaskami. Teatr letni w ogrodzie Jabłonowskich posiada chlubną

kartę w dziejach naszej sztuki dramatycznej. Tu ujrzeli nasi ojcowie po raz pierwszy Krakowiaków i Górali. Tu zaskoczyło ich wschodzące słońce podczas przedstawienia Izkahara.

Z chwilą wyjazdu Bogusławskiego ze Lwowa, w lecie 1799 roku, rozebrano ów amfiteatr i sprzedano na materyał. W roku 1832 ogród Jabłonowskich wraz z pałacem przeszedł na własność rządu. Obalono wówczas przyległe stajnie i oficyny, właściwy pałac przerobiono na koszary, zaś ogród po wykarczowaniu drzew przeznaczono na plac ćwiczeń wojskowych. Po raz ostatni przypomniła się ta miejscowość Lwowianom w roku 1877, gdy na obszarze dawnego ogrodu Jabłonowskich rozłożyła się pierwsza wystawa krajowa.

Od placu Jabłonowskich ku ulicy Stryjskiej, dziś Zyblikiewicza, ciągnęły się grunta, tworzące osobną jurydykę t. z. Jabłonowszczyznę. Za nimi, wśród wąwozów i cegielni, istniała już przed rokiem 1830 miejscowość nazwana Żelazną Wodą. Żelazna Woda była w owym czasie licznie odwiedzana, zaś Franciszek Kratter, dyrektor niemieckiej sceny, urządził w niej w latach 1819—1824 teatr letni. Na wzgórzach, wznoszących się od tej strony nad pałacem Jabłonowskich, istniał przed laty ogród, tworzący wraz z szaletem letnią rezydencję arcyksięcia-gubernatora, Ferdynanda d'Este. Dzisiejszy park stryjski przedstawiał istny labirynt wąwozów, zarosłych krzakami, bagnistych, to znów świecących gliniastymi wydhami, zaś w północnej części tych plantacyi, między dzisiejszemi ulicami: Dąbrowskiego, Puławskiego i Stryjską, rozciągał się dawny cmentarz stryjski, zamknięty w roku 1823. Chowano na nim samobójców.

Nowy cmentarz tego nazwiska powstał bezpośrednio po zamknięciu dawnego cmentarza stryjskiego, przy gościńcu, oddzielającym przybytek zmarłych od dzisiejszego parku Kilińskiego. Służył do roku 1893, a wśród bezimiennych grobów mają też spoczywać liczni żołdaci rosyjscy, którzy pomarli w czasie przechodu posiłkowych wojsk carskich do Węgier. Podobno umierających biedaków pocieszali ich popi nadzieją,

że pod ziemią powrócą na łono matuszki Rosyi — tak przynajmniej utrzymuje tradycja, krążąca po dziś dzień wśród ludności tego przedmieścia.

Tuż obok parku Kilińskiego, przecięty drogą krętą, wiodącą na plac Wystawy krajowej z r. 1894, istnieje gajk św. Zofii, którego obszar zmniejsza się z każdym niemal rokiem, gdyż stare drzewa padają pod cięciem siekiery, by ustąpić miejsca zgrabnym willom, powstającym w tej stronie w nader znacznej liczbie.

Tak zwana popularnie Zofiówka zawdzięcza swe powstanie kościółkowi świętej Zofii, fundowanemu około roku 1614 przez mieszczkę tutejszą, Zofię Hanelową, który jeszcze przed wykończeniem został spalony przez Turków. Odbudowany następnie, był ongi prebendalnym. Dziś jednak należy do parafii św. Mikołaja i raz tylko do roku, w dniu dwudziestym czwartym czerwca odprawia się w nim nabożeństwo. Dzieje się to na zasadzie rozporządzenia ostatniej woli Jana Łukiewicza, ongi właściciela tej miejscowości. Łukiewicz, dziedzic dóbr ziemskich i sekretarz sądu apelacyjnego we Lwowie, zajmował się gorliwie upiększaniem Zofiówki. Koło kościoła założył ładny ogród owocowy, w którym rad przyjmował liczne przyjaciół grono. Umierając bezdzietnie w dniu dziewiątym sierpnia 1817 roku, zapisał testamentem cały swój majątek złożony z wsi: Bieniowa, Horodyłowa i Końca Górnego, położonych w Złoczowskiem, oraz z Zofiówki, konwentowi lwowskiemu Sióstr Miłosierdzia.

Siostry osiadły we Lwowie dopiero w połowie ośmnastego wieku, (w r. 1774), trudniąc się w myśl reguły swego zgromadzenia wychowywaniem ubogich dziewcząt oraz pielęgowaniem chorych płci obojga. Pierwotną ich siedzibą był jeno klasztor, położony przy kościele, poświęconym Franciszkowi Serafiickiemu, podczas gdy istniejący w najbliższem sąsiedztwie kościółek świętego Kazimierza należał do Reformatów, którzy przy tej świątyni posiadali siedzibę. Mimo szczupłych stosunkowo zasobów, Panny Miłosierne działały wiele dobrego dla

ulżenia cierpiącej ludzkości. Choć w szpitalu łóżek funduszo-
wych było czterdzieści i cztery, to jednak liczba chorych,
pozostających pod opieką Sióstr, przewyższała setkę. Toż samo
działo się w zakładzie wychowawczym, gdzie miasto dwudziestu
pięciu sierot — jak pierwotnie postanowiono — znajdowało opiekę
i naukę trzy razy tyle dziewcząt, z których nieznaczną jeno
liczba mogła składać szczupłą opłatę i to nie w gotowiźnie,
lecz w jarzynach i leguminie, nadsyłanych klasztorowi przez
rodziców dziatwy ze wsi. Humanitarna ta działalność konwentu
była przyczyną, iż wśród ogólnej kasaty klasztorów za rządów
Józefińskich, Siostry nietylko ocalały od grożącej im zagłady,
lecz nadto uzyskały znaczniejsze wsparcie z funduszu religij-
nego. Cesarz Józef II. podczas bytności we Lwowie w roku
1783 zwiedził szczegółowo zakłady Panien Miłosierdzia, a zna-
lazłszy w nich wzorowy porządek, kazał im wypłacać rocznie
kwotę sześciu tysięcy złotych na szpital oraz instytut wycho-
wawczy. Zauważywszy nadto, iż bezpośrednie sąsiedztwo dziatwy
ze szpitalem może mniej korzystnie oddziaływać na jej zdrowie,
zarządził monarcha opróżnienie klasztoru Reformatów, który
oddał Siostrom. Z rozszerzeniem gmachów poszło w parze
znaczne też powiększenie zakresu działalności konwentu, który
coroczne niedobory musiał pokrywać w drodze składek, zbie-
ranych przez opiekunki zakładu, jakiemi z początkiem bieżą-
cego wieku były panie: Türkheimowa, Ryszczewska i Dulska.
Szczególniejszą też dobrodziejką Sióstr była księżna Lotaryńska,
z domu Cetnerówna, opłacająca z własnych funduszków chirurga
szpitalnego, podczas gdy innych chorych opatrywał lekarz, do-
chodzący z miasta i spełniający ten obowiązek bezpłatnie w za-
mian za pobierane podczas studyów medyczne stypendyum
t. z. Lingerowskie, nadawane przez magistrat miasta Lwowa.

Zapis Łukiewicza, ogłoszony urzędownie w roku 1820,
przysporzył Pannom Miłosiernym środków dla zabezpieczenia
przyszłości ich wychowanek. Według rozporządzenia fundatora
dochód roczny z jego majątku miał być dzielony na cztery
równe części. Dwie pierwsze przeznaczał Łukiewicz na utrzy-

manie kościółka świętej Zofii, dla Sióstr Miłosierdzia, dla proboszcza z parafii świętego Mikołaja, wreszcie na ugoszczenie wychowawcy zakładu w dniu dwudziestym czwartym czerwca. Druga połowa rocznego dochodu służyć miała na wyposażenie jednej z sierót, wychowanych w zakładzie, którą oznaczy los. W losowaniu, odbywanem zaraz po mszy, odprowadzanej w dniu św. Jana w kościółku na Zofiówce, brać mogły także udział sieroty z miasta, polecane przez proboszcza od św. Mikołaja. Akt ten odbył się po raz pierwszy w dniu dwudziestym czwartym czerwca 1832 roku. Do losowania zgłosiło się wówczas pięćdziesiąt dwie wychowawce zakładowe i dziewięć sierót z miasta. Wrzucono więc 61 kartek do wazy; na jednej z nich wyrażoną była cyfra posagowa: 400 zł. Wybranką fortuny, która wyciągnęła los pełny, była Maryanna Janiszewska z Niżyńca, sierota, wychowująca się w zakładzie lwowskim. Odtąd corocznie w dniu św. Jana odbywa się ceremonia losowań posagów na Zofiówce z tą jedynie różnicą, iż w latach następnych przybyły na tenże cel fundacye Suchodolskiego, Wincentego Łódzia Ponińskiego, Czar-kowskiej i Soboty.

Przypatrzmy się teraz z kolei przeobrażeniom, jakim miejscowość ta ulegała po śmierci Łukiewicza. Ogród, przyległy do kościoła, był miejscem wycieczki dla lubiących ciszę, a rozrzucone wśród lasu wiejskie chaty dodawały temu ustroniu sielankowego uroku. Taką była Zofiówka jeszcze przed rokiem 1830. Z owych też czasów datuje się rycina litograficzna, zachowana w zbiorach Pawlikowskich we Lwowie, reprodukująca obraz tego miejsca, wykonany przez pejzażystę Langa. Ze szczytu wzgórza rozciągał się przepyszny widok na miasto, w pobliskiej zaś gospodzie, (dziś: wille Kołakowskiego), dostać można było podśmietania oraz innych wiejskich przysmaków. Pracowite Niemkinie, żony i córki tutejszych urzędników, przybywały na Zofiówkę z imbrykami kawy, i z pończochą, którą robiły na drutach wśród najbardziej nawet ożywionej rozmowy. Widok ten pobudził w lecie 1825 roku bezimiennego wieszczka do następnego uczuć wylewu:

...Ze z wami szczęście przybywa,
 Bez was ponurą jest radość,
 Wy to sercu czyniąc zadość
 Lube spajacie ogniwa...

Kto chciałby poznać utwór ten w całości, niech zajrzy do *Rozmaitości lwowskich* z roku 1825. I w latach następnych Zofiówka cieszyła się względami Lwowian. W roku 1839 budowniczy Underka założył u stóp tego wzgórza ogród publiczny, gdzie prócz nabiału można też było dostać mięsnych potraw na talerzach niezbyt czystych, muzyka zaś żydowska dodawała ochoty bawiącym się gościom. Pierwsze wille na Zofiówce powstały już w roku 1841. Wzniósł je architekt Salcman, twórca skarbkowskiego teatru, lecz później miejscowość ta i z powodu odległości od miasta i dla zbyt bliskiego sąsiedztwa z cegielniami poszła w zapomnienie u publiczności lwowskiej. Przypomniała ją potroszę wystawa, której plac i obecnie jest celem częstszych wędrówek mieszkańców naszego miasta. Zresztą z dawnych ogrodów na Zofiówce nie pozostało obecnie i śladu, posiadłość zaś Panien Miłosiernych zwiedzać można jedynie za zezwoleniem zwierzchności klasztornej.

Od drogi wystawowej szeroka ścieżka wiedzie nas ku wzgórzu, na którym wznosi się skromny, lecz schludnie utrzymany kościółek św. Zofii. Jest w nim jeden jedyny ołtarz z obrazem patronki tej świątyni, do której światło pada przez barwne witraże. Na chórze brak organów. W niewielkiej odległości od kościoła stoi budynek jednopiętrowy. Na dole, prócz mieszkania dozorczy, jest pokój dla komisji, urzędującej przy losowaniu, z którego przechodzi się do jadalni, kredensu i kuchni. Całą górę budynku wypełnia jedna sala, pokryta jeno dachem blaszanym, bez sufitu, a służąca za miejsce zabawy i noclegu dla dziatwy zakładowej, przybywającej tu w dni pogodne dla odetchnienia świeżem powietrzem. Starannie utrzymany ogród owocowy, warzywny i niewielki lasek tworzą wielce malowniczą całość tego ustronia, tchnącego dziwnym spokojem, mimo bliskiego sąsiedztwa z ludną dziś i ruchliwą dzielnicą.

Jak już wspomniano, raz na rok, w dniu losowania, kościół św. Zofii otwartym jest dla publiczności, powtarzającej z wdzięcznością imię pierwszego dobroczyńcy sierót, Łukiewicza. Na cześć tego męża skreślił ktoś w roku 1853 w lwowskim Telegrafie wierszyk, opiewający w te słowa:

Cześć ci o mężu! Cześć twojej pamięci,
 Wołamy dzisiaj u świątyni progu,
 Gdzie wzniesion ołtarz Twych szlachetnych chęci
 Dla dobra sierót i na chwałę Bogu.
 Cześć Ci eny mężu! z którego ofiary
 Tylu sierotom szczęście już urosło,
 Że dotąd z ludzkiej wdzięczności i wiary
 Twe imię trwały sobie pomnik wzniosło.
 Cześć ci wołają ze łzami sieroty,
 Co dziś obchodzą święto Twej szczodroty.

Góra Kalecza oddziela dawną Jabłonowszczyznę oł Chorażczynny, przewanej tak od chorążego koronnego, Potockiego, a tworzącej osobną jurydykę. Przejdźmy więc dzisiejszą ulicą Marka, tak nazwaną od kościoła, istniejącego ongi w miejscu realności, oznaczonej l. 38 przy ulicy Zyblikiewicza (zniesionego w roku 1786), a znajdziemy się koło uniwersyteckiego ogrodu, w którym dzięki Hyacentemu Łobarzewskiemu znalazł ostatecznie stałe pomieszczenie instytut botaniczny. Pierwotnie bowiem, przy powstaniu uniwersytetu w roku 1784, noszono się z zamiarem założenia ogrodu botanicznego przy klasztorze dawniej misyonarskim na Żółkiewskim przedmieściu. Później profesor Schivereck z ramienia rządu urządzał instytut botaniczny przy klasztorze dawniej Dominikanek, przy dzisiejszej ulicy Kopernika, zaś w r. 1823 profesor Wittmann zakładał ogród tego rodzaju na Strzelnicy Miejskiej. Dzisiejszy ogród botaniczny założył i urządził w r. 1851 profesor historii naturalnej Łobarzewski w dawnym ogrodzie Trynitarzy, którzy rezydowali od połowy ośmnastego wieku także przy kościele św. Mikołaja.

Podobnie jak ogród botaniczny, tak i gmach uniwersytecki, niezbyt wygodny i brudny, należy do nowszych czasów

i rozmaite przechodził koleje, zanim stał się siedzibą naszej *Almae Matris*. Budynek ten powstał w r. 1842, kiedy to w miejsce zniesionej Akademii Stanowej otwarto w nim konwikt szlachecki pod kierunkiem OO. Jezuitów, zawiadujących już od roku 1837 parafią św. Mikołaja. Funduszków dostarczyła wspomniana już poprzednio fundacya Głowińskiego. Wychowañcy pobierali nauki w konwikcie, ale egzaminy zdawali w szkołach publicznych. Konwiktorowie nosili jednostajny uniform, stosowane kapelusze i krótkie szpady. Powtórna w państwie austriackiem kasata zakonu Jezuitów, orzeczona w maju 1848 roku, kres położyła istnieniu lwowskiego konwikt. Gmach, przeobrażony na koszary, zajęło w dniu 1 lipca t. r. wojsko, które tu załogowało do roku 1851.

Tymczasem uniwersytet po spaleniu gmachu przy dawnej bramie Krakowskiej koczował w odnowionym na prędce ratuszu i dopiero w lecie 1851 r., po długich pertraktacyach z władzami wojskowemi, przeniósł się do swej dzisiejszej siedziby. Wyszedłszy z uniwersyteckiego gmachu widziałeś jeszcze około r. 1820 dość duży staw w miejscu dzisiejszego placu Akademickiego. Ulice: Garncarską, Mikołaja i Długosza, zajmowały dworki i chałupy, ukryte wśród ogrodowej zieleni, podczas gdy cała przestrzeń między ulicami Fredry i Zyblikiewicza przedstawiała jedno bagnisko. Parterowe domki, a co najwyżej jednopiętrowe kamieniczki ciągnęły się też wzdłuż ulicy Świętojańskiej, (dziś Akademickiej), ku miastu, zaś brzegi Pełtwy, płynącej odkrytem korytem, ocieniał podwójny rząd wysmukłych drzew topolowych.

Łazienki św. Anny istniały w tem samem co dziś miejscu, lecz mieściły się w niepozornym, parterowym domku, położonym w głębi dziedzińca teraźniejszego zakładu. Odkrywca źródła, zawierającego prócz wapnia i żelaza, także kwas węglowy, był niejaki Immer, właściciel tego gruntu z początkiem bieżącego wieku, ale dopiero następca jego, Kowieński, zbudował w roku 1810 pierwsze łazienki, które mimo restauracyi w roku 1857 dokonanej, przedstawiały widok arcysmutny.

Jedyną okazałą budowlą, zamykającą Chorążczyznę od strony miasta był hotel *de la Russie*, przezwany później hotelem Żorża, z dwoma zajazdowymi bramami od strony placu Maryackiego, oraz z obszernym ogrodem od strony dzisiejszej ulicy Chorążczyzny. Ogród ten zabudowany został obecnie kamienicami, tworzącymi przecznicę imienia Bielowskiego. W oficynie hotelowej rezydowało przez lat kilkanaście Towarzystwo «Frohsin», w umyślnie dla niego wzniesionem zabudowaniu. Ostatni ten zabytek niemieckości we Lwowie przestał istnieć w r. 1894.

Naprzeciw hotelu Żorża, przy wylocie Akademickiej ulicy, istniał schowany w głębi dziedzińca zajazd pod Tygrysem. Był to hotel jednopiętrowy, dość brudny, lecz nadzwyczajnie tani i dla tego cieszący się liczną klientelą, rekrutującą się przeważnie z grona ruskich księży i wiejskich dzierżawców. Tak więc dotarliśmy z powrotem na plac Ferdynanda, które to imię nadano mu w dniu 29 czerwca 1843 roku, ku uczczeniu arcyksięcia-gubernatora. W roku 1862 przezwano ten plac Maryackim, od figury marmurowej Matki Boskiej, zaofiarowanej przez hrabinę Władysławową Badeniową, a ustawionej na studni w pośrodku skweru stojącej.

Z placem Maryackim łączy się wspomnienie pierwszej we Lwowie konstytucyjnej manifestacji, która odbyła się w tem miejscu w dniu dziewiętnastym marca 1848 roku. Już dnia poprzedniego wieczorem doszła do Lwowa drogą prywatną wiadomość o wypadkach wiedeńskich. Proklamacyę monarszą, zapowiadającą wolność prasy, zniesienie cenzury, formacyę gwardyi narodowej oraz powołanie Stanów celem obrad konstytucyjnych, polecił gubernator hr. Stadyon, ogłosić publicznie plakatami, zaś patryoci jak Smolka, Hefern i inni zabrali się bezzwłocznie do ułożenia petycyi, wyluszczonej żądania ludności. Nazajutrz petycja była gotowa i wyłożono ją do podpisu w redakcyi Dziennika Mów Paryskich mieszczącej się na pierwszym pięttrze domu, oznaczonego dziś numerem jedenastym, przy placu Maryackim. Od rana — była to niedziela —

tłumy ludu kupiły się na placu. W lokalu redakcyjnym panował tłok niesłychany. W każdym pokoju ustawiony był stół z arkuszami do podpisywania petycji, którą co pół godziny odczytywano głośno z tem nadmienieniem, że o godzinie szóstej wieczorem osobna deputacya wręczy adres gubernatorowi. Cisnęli się do podpisu mieszczanie i urzędnicy, szlachta i żydzi, księża i magnaci, robotnicy i rzemieślnicy, nawet służba w liberyi. O godzinie pierwszej z południa, cały plac Maryacki zalany był tłumem ludu, podczas gdy Jan Dobrzański naprzemiany z Józefem Dzierzkowskim odczytywali z balkonu treść adresu, objaśniając takowy i zalecając spokój oraz porządek.

— Zachowajcie się spokojnie i poważnie! — wołał potężnym głosem Dzierkowski. — Naród z godnością winien się dopominać praw swoich!...

Jakoż spokój i cisza panowały wśród wielotysięcznego tłumu. Wojsko i policya nie ukazywały się wcale na ulicach. Równocześnie podpisywano adres w akademii, zkąd również miała się udać deputacya, łącznie z miejską do gubernatorskiego pałacu. O godzinie szóstej wieczorem sygnał pożarny z wieży ratuszowej zapowiedział pożar na żółkiewskim przedmieściu i w tej chwili, miasto zwykłego pogotowia pożarowego, wystąpił silny oddział piechoty na plac Maryacki, opodał stanęła bateria artyleryi, a w końcu przypędził galopem szwadron huzarów, witany przez tłumy gromkiem: *Eljen!* Równocześnie pojawiła się na placu deputacya miejska, pod przewodem księcia Leona Sapiehy i krocząc parami, udała się do rezydencji gubernatora. Odebrawszy z rąk księcia Sapiehy adres, zapowiedział hr. Stadion bezzwłoczną formacyę gwardyi narodowej, tudzież uwolnienie więźniów stanu za poręką, które to oświadczenie powtórzył na żądanie deputacyi z balkonu pałacowego wobec nieprzejrzanym okiem tłumów ludności, przepelniających szkarpy, górę Karmelicką, tudzież całą ulicę Czarnieckiego. Zwolna lud począł się rozchodzić. Ustępujące wojsko żegnano okrzykami: *Niech żyje wojsko!* — poczem pewna część ludności pospieszyła do więzienia Maryi Magdaleny dla powitania uwol-

nionych więźniów. O zmroku całe miasto zapłonęło rześistą iluminacją. Na wieczór zapowiedziane było przedstawienie Wiśliczanek ale policya w obawie dalszych manifestacyi zaleciła dyrekcyi odwołać przedstawienie i spiesząca do gmachu skarbkowskiego publiczność, zastała podwoje Melpomeny zamknięte. O północy cisza zapanowała w mieście.

Tak się zakończył pierwszy dzień swobód konstytucyjnych we Lwowie.

Jak świadczy akwarella Galtona, zachowana w zbiorach biblioteki Pawlikowskich, plac Ferdynanda, czyli Maryacki, nie uległ od roku 1847 żadnej ważniejszej zmianie. Przybył w ostatnich lat dziesiątkach jedynie skwer, okalający studnię z Matką Boską. Natomiast wielkie zmiany zaszły przy ulicy dzisiejszej Kopernika, noszącej dawniej pompatyczne miano: Szerokiej. W roku 1820 początek tej ulicy od strony placu Maryackiego oznaczały dwa parkany, za którymi z jednej i z drugiej strony ciągnęły się ogrody.

Ogród grecko katolickiego seminaryum sięgał aż do końca ulicy. Na jego gruncie stoi dzisiejszy gmach Towarzystwa kredytowego ziemskiego, w którym około roku 1840 mieścił się sąd wyższy krajowy. W latach 1858—1855 lewe skrzydło tego gmachu służyło za mieszkanie arcyksięciu Karolowi Ludwikowi, bawiącemu stale we Lwowie. Arcyksiążę przybył do naszego grodu w grudniu 1853 roku, by zapoznać się z biegiem spraw politycznych i finansowych przy pomocy ówczesnego namiestnika, Agenora hr. Gołuchowskiego. W kwestyach prawniczych informował arcyksięcia prezydent apelacyi, Strojnowski, zaś języka i literatury polskiej uczył go Maurycy hr. Dzieduszycki. Wrodzona uprzejmość dostojnego gościa zjednała mu sympatyę w szerokich kołach tutejszego towarzystwa. Arcyksiążę bywał chętnie w domach lwowskiej arystokracji; u hr. Gołuchowskiego był niemal codziennym gościem. W dniu dziewiętnastym sierpnia 1855 roku wyjechał arcyksiążę do Insbruku, zaś od dnia trzydziestego lipca tegoż roku, bezimienna do tej pory ulica, przezwaną została ulicą Karola Ludwika. Przy dzisiejszej ulicy

Kopernika, w domu ongi Glixellego, mieściły się od roku 1881 biura Wydziału krajowego, zaś tuż naprzeciw, w miejscu dzisiejszego pałacu Potockich, rozciągał się obszerny ogród, wśród którego w głębi wznosił się jednopiętrowy budynek, nazywany dworkiem Potockich. Seminarium gr. kat., umieszczone wraz z cerkwią w odebranych Dominikankom w roku 1784 klasztorze, traciło w miarę mnożących się budowli kawałek po kawałku z swego rozległego niegdyś ogrodu, który ostatecznie ustąpić musiał miejsca gmachowi poczt i telegrafów.

Tak zwane ruskie seminarium odegrywało ważną rolę nie tylko w dziejach Lwowa, ale i kraju całego, dzięki rozdziałowi moralnemu, istniejącemu od lat dziesiątków, między klerem łacińskiego a greckiego obrządku w Galicyi.

Na ów antagonizm zwracał już uwagę centralnego rządu pierwszy gubernator galicyjski hr. Pergen, zaś w roku 1831, podczas rewolucyi listopadowej, odrębność ruskiego społeczeństwa zarysowała się jeszcze wybitniej. Byli wprawdzie wówczas księża ruscy, którzy z nami szli ręką w rękę, ale ogół ruski zachowywał się obojętnie, zaś koło pułkownika Breindla, rosyjskiego rezydenta we Lwowie, poczęło się już kupić nieliczne zrazu kółko inteligencji ruskiej, przeważnie z kleru złożonej, które wręcz uznawało sprawę rosyjską jako swoją. Zohydzali ci apostołowie nienawiści nazwę Polaków, zwąc ich Lachami. Cara przedstawiali jako wybawiciela chłopów z niewoli szlacheckiej, prawosławie jako nie różniące się w niczem od unii, zaś walkę Polaków o niepodległość, jako wojnę, wymierzoną przeciw ruskiej cerkwi. Agitacya w tym duchu wśród ludu wiejskiego prowadzona, była tylko echem akcji, zainscenowanej przez rząd carski w ziemiach zabranych dla osłabienia i rozdzielenia budzącego się w tych prowincjach ruchu rewolucyjnego. Systematyczna robota około szerzenia i hasel wszechsłowiańskich, a raczej wszechrosyjskich wśród Słowian monarchii austro-węgierskiej rozpoczęła się dopiero w kilka lat później, około roku 1835, w którym to czasie za przykładem Czechów powstały stowarzyszenia słowiańskie w Wiedniu

i w Preszburgu. Zrazu stowarzyszenia te miały ściśle literacko-historyczny charakter. Zadaniem ich było porównawcze badanie języków słowiańskich, oraz dziejów pierwiastkowych. Niebawem jednak zapomniały towarzystwa wiedeńskie i preszburskie o swych naukowych celach, lecz oparłszy się na demokratycznej zasadzie, zabrały się gorliwie do budzenia samowiedzy narodowościowej wśród poszczególnych szczepów słowiańskich.

Z prądu tego skorzystał w lot Józef Rajewski, kapelan ambasady rosyjskiej w Wiedniu, który w tamtejszem greckokatolickim seminaryum jał snuć swe roboty, wmawiając w młodzież ruską, że jako jednoplenna z Rosją winna dążyć do połączenia z caratem. Wywody Rajewskiego, choć nie trafiły do przekonania ogółu ruskiej młodzieży, kształcącej się w Wiedniu, to jednak zdołały omamić szczupłą stosunkowo garstkę ukończonych teologów i świeckich akademików, którzy powróciwszy do kraju, za główny teren swej działalności obrali greckokatolickie seminaryum we Lwowie. Prefektem tego instytutu po zmarłym księdzu Hordyńskim został zamianowany Michał Malinowski, gorliwy wielbiciel carskiej potęgi, który przedewszystkiem przerwał dotychczasową komunikację między wychowancami seminaryum, a słuchaczami innych wydziałów uniwersytetu, by na odosobnionych wywierać wpływ tem silniejszy, w myśl instrukcyj z Wiednia otrzymanych. Garść pocziwej młodzieży ruskiej, należąca do rozgałęzionego wówczas spisku, znanego pod mianem «Stowarzyszenie ludu polskiego», pragnęła zrazu przeciwstawić moskiewskiej robocie szczerze ruską propagandę. Zażądała przeto od kierowników spisku rozszerzenia programu Stowarzyszenia w tym duchu, iżby w nazwie związku figurował obok polskiego też lud ruski. Ale źle zrozumiana stanowczość naczelników organizacyi nie dopuściła do spełnienia słusznego tego żądania i młodzież, ożywiona szczerze narodowym duchem, zawiązała w seminaryjskich murach odrębne «Koło ruskie», które, mimo najlepszych intencji, dało początek rozdzieleniu łącznej do tej pory działalności Polaków i Rusinów.

Tymczasem Malinowski, kryjąc się starannie z ostatecznym celem swych zabiegów, ruszczył energicznie powierzoną mu młodzież, która do tej pory w stosunku prywatnym między sobą używała wyłącznie mowy polskiej, a nawet zajmwszy probostwa zwykła była kazania wygłaszać w tym języku. Wprowadziwszy za pomocą środków przymusowych język ruski, jako potoczny między klerykami, kazał im Malinowski opracowywać kazania po rusku, a wszelkie jego zabiegi w celu wywoływania narodowościowego antagonizmu między Polakami a Rusinami znalazły uznanie i najżywsze poparcie ze strony Grzegorza Jachimowicza, zamianowanego w roku 1837 rektorem seminarium. Jachimowicz, podówczas już kanonik metropolitalny, nie działał na własną rękę, lecz w ścisłym porozumieniu z gronem zaciętych russofilów, ukrywających pod płaszczykiem lojalności wszechrosyjskie aspiracje. Mikołaj Napadiewicz, profesor tutejszego uniwersytetu i Dyonizy Zubrzycki, znany autor «Kroniki miasta Lwowa», rej wiedli w tem kółku. Teraz dopiero rozpoczął się systematyczny posiew nienawiści wobec wszystkiego, co polskie. Zaczęto od publikacyi słownika porównawczego, rusko-rosyjskiego, której celem było wykazanie podobieństwa między oboma tymi językami, tudzież od wprowadzenia skoropisu rosyjskiego i grażdanki w miejsce używanej dotychczas kirylicy. Zaprowadzono wykłady dziejów ruskich na podstawie podręczników, rozpowszechnianych przez carat po rewolucyi listopadowej na Ukrainie, a ziejących najokropniejszą nienawiścią ku Polsce. Usiłowali zrazu członkowie «Koła ruskiego» walczyć z tym zgubnym dla własnej narodowości prądem, a rezultatem ich usiłowań była odezwa parocha Łozińskiego, ogłoszona w *Rozmaitościach*, wzywająca Rusinów do przyjęcia alfabetu łacińskiego, poparta wydaniem jego gramatyki ruskiej, łacińskimi czcionkami wytłoczonej. Przeciw projektowi temu wystąpił kleryk Marcyan Szaszkiewicz w broszurze, w której wręcz obwinił Łozińskiego o zdradę, popełnioną na własnej narodowości. Szaszkiewicz zyskał pochwałę ze strony naczelnika rządów krajowych, barona Kriega

i głos Łozińskiego przebrzmiał bez echa, podobnie jak propozycja kleru łacińskiego, podana w porozumieniu z członkami «Koła ruskiego», a domagająca się porównania obu obrządków pod względem kalendarzowym.

Wówczas to w roku 1838 przybył do Galicyi Michał Piotrowicz Pogodin, profesor uniwersytetu moskiewskiego, jeden z głównych apostołów wszechrosyjskiej idei państwowej, twórca licznych komitetów słowiańskich, powstałych w latach późniejszych w obrębie cesarstwa rosyjskiego. Pozornie misja jego miała charakter naukowy. Celem jej miało być zbadanie plemion słowiańskich, pozostających pod berłem austriackim. W rzeczywistości zaś zamierzał carski wysłannik obietnicami zjednać dla Rosyi przewodników budzącego się ruchu słowiańskiego. Wobec Polaków odgrywał Pogodin dwulicową rolę. W oczy sławił ich jako naród wielki, tak gorąco przywiązany do ojczyzny, poza oczy potępiał ich i skazywał na zagładę. Zaraz za przybyciem do Lwowa, nawiązał ruchliwy emisaryusz bardzo ściśle stosunki zarówno z Jachimowiczem, jak z Malinowskim i z Szaszkiewiczem, z którymi porozumiał się rychło co do dalszego programu działania.

Przywrócenie Rusinów do pierwotnego i prawdziwego stanu narodowości — wyrażając się stylem Pogodina — stało się hasłem nowej ery. Wymowny profesor nie omieszkiał bowiem stworzyć dogodnej dla swych planów teoryi naukowej, w myśl której Ruś Czerwona, nie mogąca tworzyć osobnej narodowości oraz osobnego ciała politycznego, miałaby połączyć się z jednoplemienną Rosyą w jedną całość państwową. Przeciwników zgniecie carat siłą i — rublami! Nie do wszystkich jednak Rusinów przemawiał Pogodin z równą otwartością, jasno i bezwzględnie wskazując im cel ostateczny swej propagandy. Z wtajemniczonymi grał w otwarte karty. Wobec szerszego ogółu ruskiego występował natomiast jako bezinteresowny przyjaciel Rusi, pragnący jej wyswobodzenia od jarzma łackiego, jej odrębności narodowej. Tym sposobem przemawiał do dumy narodowej pocziwców, obojętnych dotychczas na

partyjne walki w łonie ruskiego społeczeństwa i rozżarzał drobne niechęci, urazy od dawna już zapomniane, do rozmiarów walki rasowej na śmierć i życie. Naczelnicy «Stowarzyszenia ludu polskiego», zaniepokojeni temi robotami, wybrali z swego grona Eugenjusza Chrzastowskiego dla wybadania carskiego ajenta. Chrzastowski udał wobec Pogodina zapalonego zwolennika idei wszechsłowiańskiej, ale nie zdołał podejść chytrego moskwicina, który bajał mu o zamiarze caratu wskrzeszenia Polski odrębnej, złożonej z zachodniej Galicyi, Królestwa Kongresowego, Księstwa Poznańskiego i z Prus Królewskich a równocześnie, gdzie mógł, podburzał Rusinów przeciw Polakom. Liczba zwolenników Pogodina rosła nietylko w seminaryum lwowskiem, ale i w każdym powracającym z Wiednia teologu gr. kat. obrządku znajdował on gorliwego prozelitę, przygotowanego już dostatecznie przez Rajewskiego.

Wieść o ukazie cara Mikołaja, znoszącym w roku 1840 statut litewski w krajach zabranych, obudziła pewne powątpiewanie co do prawdziwości obietnicy Pogodina wśród Rusinów tutejszych, zwłaszcza u tych, którzy działali w dobrej wierze. Równocześnie jednak nastąpiły aresztowania Chrzastowskiego oraz innych spiskowców, które naturalnym rzeczy porządkiem wpłynęły przynębiająco na członków naszej organizacyi. Członkowie tejże wśród ruskiego kleru zamilkli, podczas gdy Pogodinowcy — jak ich nazywano — podnieśli głowę. Historyk rosyjski widząc, że nauka przez niego szerzona znalazła już pewną podstawę wśród inteligencyi ruskiej, opuścił po dwuletniej gościnie Galicyę, by spełniać w dalszym ciągu swe posłannictwo wśród Słowian południowych i zachodnich. Czynnym był i wśród Słowaków, w których przewodniku, Hurbanie, znalazł odpowiednią dla swych zamysłów osobistość i wśród szyszmatyckich Serbów w Karłowicach, a i na kierownika kroackiego ruchu narodowego, Ludwika Gaja, wywierał przez czas dłuższy wpływ potężny. Z Czechów o Hance, Palackim, Jungmanie, wyrażał się Pogodin jako o swych najle-

pszych sprzymierzeńcach. Liczył głównie na ich nienawiść przeciw Niemcom.

I powracając z podróży po Słowiańszczyźnie, nie ominął carski wysłannik Lwowa, dokąd zawitał w roku 1842. Olbrzymi proces stu pięćdziesięciu przestępców stanu, rozgrywający się w murach pokarmelickiego więzienia, rzucił postrach na trwożliwsze umysły, zniechęcił wielu do sprawy, która tyle nieszczęść i cierpień na kraj sprowadziła. Tryumfowała tem głośniej przewrotna nauka Pogodina wśród ruskiego społeczeństwa w Galicyi, lecz złe ziarno, rzucone wówczas przez niego, przekłete wydało plony.

Kto wiatr sieje, burzę zbiera...

Sąsiadujący z grecko-katolickiem seminaryum pałac książąt Sapiehów tworzył przy końcu ubiegłego wieku jedną posiadłość wraz z realnością Międzyńskiego, (ul. Leona Sapiehy l. 2), oraz z tak zwanym arsenałem Sieniawskich. W tem miejscu stał pałac księcia Augusta Czartoryskiego, wojewody ruskiego, który później przeszedł na własność księcia-jenerała ziem podolskich. W tej to rezydencji mieszkał prawdopodobnie Tadeusz Kościuszko, przybywszy do Lwowa w listopadzie 1792 roku w towarzystwie księżny Maryi Wirtemberskiej oraz księżniczki Zofii, późniejszej ordynatowej Zamojskiej. Przedłużenie ulicy Sykstuskiej rozdzieliło posiadłość Czartoryskich na kilka części, tworzących dziś osobne nieruchomości. Jedną z nich jest pałac sapieżyński, wzniesiony przez księcia Leona a przez kilka lat dziesiątków tworzący ognisko towarzyskiego życia we Lwowie. Nazwisko Leona Sapiehy zbyt ściśle łączy się z ruchem ekonomicznym, jaki mimo różnorodnych przeszkód, począł się u nas objawiać po roku czterdziestym, by nie należało kilka słów wspomnienia poświęcić osobistości księcia. Leon Sapieha był uczniem słynnego ministra skarbu królestwa polskiego, księcia Lubeckiego, pod którego okiem oddawał się górnictwu. W chwili wybuchu rewolucyi listopadowej znajdował się książę Leon w Paryżu, lecz mimo odradzań osób wpływowych, powrócił do kraju, by wziąć czynny udział w walce.

Na placu boju zyskał stopień oficerski i krzyż *virtuti militari*, ale upadek powstania pozbawił go całej niemal fortuny, skonfiskowanej przez rząd rosyjski. Mimo, że obiecano mu zwrot majątku, książę nie podpisał prośby o amnestyę i przybył z okrucami mienia do Galicyi, gdzie przez lat trzydzieści z okładem nazwisko jego figurowało na czele wszystkich, ważniejszych przedsiębiorstw w kraju. Towarzystwo kredytowe ziemskie, Towarzystwo gospodarcze, Galicyjska kasa Oszczędności, zawdzięczały swe powstanie pośredniej lub bez pośredniej inicjatywie Sapiehy, który już w roku 1844, napróżno niestety, domagał się od rządu pozwolenia na budowę linii kolejowych w Galicyi. Z nastaniem doby konstytucyjnej pełnił ks. Leon przez długie lata obowiązki marszałka krajowego, by w końcu złamany cierpieniem usunąć się do Krasieczyna, gdzie też życia dokonał w dniu dziesiątym września 1879 roku. Na kartach pogrzebowych księcia-marszałka widniał ten skromny napis: Oficer byłych wojsk polskich, ozdobiony za waleczność krzyżem *virtuti militari*.

Godną towarzyszką księcia Leona była jego małżonka, zmarła w marcu 1890 roku, księżna Jadwiga Sapieżyna, która zdołała przez długie lata utrzymać w swej dłoni berło towarzyskiego życia nie tylko we Lwowie, lecz w całym kraju. Córka Stanisława Zamojskiego, a wnuczka księstwa jenerałostwa ziem podolskich, odziedziczyła po matce swej, Zofii, urodę, rysy klasyczne, prześliczne niebieskie oko, wzrost wyniosły, ów wdzięk nieporównany, którym wszystkich, wszędzie czarowała. Zaślubiona w dziewiętnastym roku życia księciu Leonowi Sapieżę, towarzyszyła mężowi w jego zajęciach urzędowych w Szydłowcu, w Kielcach i w Suchedniowie. Rok trzydziesty zastał młodą parę w Paryżu, a po upadku rewolucyi przeniosła się księżna Jadwiga do męża, przebywając z nim kolejno w Frankfurcie i w Wrocławiu. Bieda niejednokrotnie zaglądała wówczas do ich mieszkania i dopiero pomoc matki wybawiła księstwo z trudnego położenia. Uzyskawszy nie bez trudności pozwolenie na pobyt w Galicyi, osiedli Sapiehowie naprzód w wydzierża-

wionych od matki Pichorowicach, a następnie we Lwowie. Po stracie siedmiorga dzieci, księżna zajęła się z całym poświęceniem sprawami dobroczynności publicznej. Czynną była i w Towarzystwie Wincentego a Paulo i przy rozdawnictwie zupy rumfordzkiej, zaś po rzezi 1846 roku, zajęła się z całą, niezwykłą energią niesieniem pomocy ofiarom krwawej katastrofy. Wówczas to za staraniem księżny powstały: dom roboczy, czerownia i mała bursa, przeobrażone z czasem w zakład imienia św. Teresy, (tak nazwany na pamiątkę zmarłej córki księstwa Leonów). Jej dziełami były również instytucje tyle pożyteczne, co szpitalik św. Zofii oraz «dom Opatrzności». Oceniając zasługi księżny, wybiła Rada miejska miasta Lwowa medal na jej cześć, (w roku 1886). Obok działalności filantropijnej, księżna Jadwiga gromadziła w swym salonie kwiat towarzystwa miejscowego. Na zebraniach u Sapiehów, obok przedstawicieli rodowej arystokracji, widziałeś reprezentantów przemysłu i wolnych zawodów, świata urzędniczego, literackiego i artystycznego, a pałac Sapieżyński odegrywał u nas przez długie lata tę samą rolę, co «Barany» w Krakowie.

Z okien Sapieżyńskiego pałacu widać całą górę Wronowską, oraz tak zwany turecki szaniec. U stóp tej góry, przy ulicy Wronowskich, stał jeszcze do wiosny 1895 r. pałacyk Wronowskich, otoczony ongi rozległym ogrodem, który splantowany starannie, z drogami wysadzanymi lipami, spadał aż ku stawowi pełczyńskiemu.

Pałacyk ten powstał na czas krótki przed rewindykacją, gdyż w styczniu 1767 roku właściciele tej nieruchomości, Maryanna z Marcinkowskich Wilczyńska, cześnikowa nowogrodzka, tudzież Ignacy Koszutski sprzedali ją Ignacemu Kolumna Czosnowskiemu za sumę 5.800 złp. Po Czosnowskim właścicielem pałacu był Piotr Zabielski, od którego nabył go w roku 1791 Stanisław z Wronowa Wronowski, radca lwowskiego sądu szlacheckiego i właściciel dóbr. Był to człowiek światły, mecenas literatury i sztuki więc też nie dziw, iż jego dom właśnie posłużył tutejszym adeptom Melpomeny za miejsce popisów, w czasie,

gdy podwoje miejskiego teatru, przerobionego z Franciszkańskiego kościoła, były niedostępne dla sztuki polskiej.

Było to z końcem ośmnastego wieku. Wojciech Bogusławski, który po rzezi Pragi gościnne z swymi towarzyszami znalazł przyjęcie w murach Lwiewo grodu, opuścił nasze miasto po czteroletnim pobycie, dążąc z powrotem do Warszawy. W dniu siódmym maja 1799 roku opuścił Bogusławski Lwów na zawsze, lecz pobyt jego nie pozostawał bez skutku na dalszy rozwój sceny polskiej w tem mieście. Co prawda, początki podjętego po Bogusławskim zadania słabe były i nikłe, gdyż wzięli się do dzieła ludzie młodzi, niedoświadczeni i biedni. W każdym jednak razie ów zapal dla sztuki, stworzony przez ojca sceny naszej wśród lwowskiej młodzieży, zdaje się chlubnie świadczyć o artystycznym poziomie teatru Bogusławskiego. Zapatrzony na grę polskich aktorów, rzucił już w roku 1797 adwokacką kancelaryę mecenasa Dierżkowskiego, siedemnastoletni Alojzy Żółkowski, by dotrzeć do sceny warszawskiej i uniknąć doraźnych skutków gniewu ze strony surowego stryjaszka, generała Żółkowskiego, który przyszłego autora «Momusa» gwałtem chciał wypromować na palestranta. Obok wielkiego komika dojrzewał wśród nas w ukryciu wielki tragiczny talent w dzieciaku, Antonim Benzie, który nosił ochotnie muzykom skrzypki i basetłę, by przyczajony w kącie podziwiać grę wspaniałą Owsińskiego lub Pierożyńskiej, choć wiedział biedaczysko, że za powrotem do domu srogie czekały go plagi... Rówieśnikiem Żółkowskiego był wreszcie Jan Nepomucen Kamiński, młodzieńczy tłumacz wręczonego Bogusławskiemu tekstu «Drzewa Dyan», który wzgardziwszy czynionemi sobie propozycjami wstąpienia do urzędu, biedny jak mysz kościelna, chudopacholek, bez znajomości i stosunków, pierwszy rzucił się do organizowania widowisk polskich we Lwowie.

O współzawodnictwie z uprzywilejowanym przedsiębiorcą niemieckiego teatru, Henrykiem Bullą, nie mógł i marzyć Kamiński. Wprawdzie Bulla z chwilą przybycia Bogusławskiego do naszego miasta siedział w długach po uszy, ale szczęśliwe

prorowadzenie połączonych jakiś czas teatrów niemieckiego i polskiego przez tego ostatniego, tudzież zakupno gmachu teatralnego przez gminę, poprawiły stan materyalny jego przedsiębiorstwa. Nadto Bulla był posiadaczem wyłącznego przywileju na utrzymywanie kasyna, redut i balów w mieście a czynszu rocznego płacił magistratowi zaledwo 4170 zł. 20. kr. którą to opłatę ułatwiał mu zasiłek rządowy, dwutysięczny. Niedziw przeto, iż Bulla mógł utrzymywać liczny, jak na owe czasy personal dramatyczny i liryczny, złożony z trzydziestu dwu osób płci obojga; grywano niemal codziennie, repertoar zaś niemiecki, obok dzieł szekspirowskich obejmował także opery, głównie kompozycye Mozarta.

Z takim współzawodnikiem trudną była konkurencya już ze względów ściśle artystycznych, że nie wspomniemy o trudnościach formalnej natury. Grywała więc młodzież, zapalona do teatru, gdzieś pod strychem i dopiero pożar, który w dniu szóstym czerwca 1800 roku zniszczył przedmieście krakowskie, posłużył Kamińskiemu za pozór do uzyskania pozwolenia na urządzenie publicznych widowisk z przeznaczeniem dochodu z takowych na wsparcie pogorzalców. «Rząd nie wzbraniał nieść pomocy» — pisał Kamiński w kilkadziesiąt lat później w swym liście do hrabiego Adama Zamoyskiego. — «Aby zrobić krok do zamierzonego celu tłómaczę dniem i nocą sztuki dla pogorzalców i odgrywam kilkanaście. Lecz cel się nie powiódł»... Zrażony tą przeciwnością Kamiński przeniósł się z garstką bardziej zdeterminowanej młodzieży do Kamieńca podolskiego, gdzie rozpoczął kłopotliwy zawód kierownika wędrownej sceny, pozostali zaś we Lwowie lubownicy teatralnego kunsztu uciekli się pod opiekuńcze skrzydła konsyliarza Wronowskiego.

Przedstawienia w pałacu Wronowskiego odbywały się bezpłatnie w latach 1804 — 1807 ku wielkiej ucieście publiczności polskiej, która z zapalem oklaskiwała wyborną grę dyletantów: Dominika Jakubowicza, Klugera i Szczęsnego Starzewskiego. Zwłaszcza Jakubowicz miał być nieporównany w rolach komicznych. W roku 1807 przenieśli się nasi amatorowie

do teatru miejskiego, gdzie urządzali płatne przedstawienia, oddając część dochodu Bulli. Kierował tem zaimprovizowanem towarzystwem Kluger, a po tegoż wyjeździe ze Lwowa, Starzewski, który doczekał się w maju 1809 roku powrotu Kamińskiego z Odessy. Dalsze zabiegi Kamińskiego około ustalenia bytu sceny polskiej we Lwowie nie wchodzą w ramy niniejszego opowiadania. Natomiast słów kilka wzmianki należy się amatorom oraz właścicielowi pałacu Wronowskich.

Przewodnik tego grona miłośników sztuki dramatycznej, Kluger, z zawodu pedagog, nauczyciel szkół ludowych, czyli, jak je wówczas nazywano normalnych, przeniesiony ze Lwowa na prowincję, ginie nam z oczu bez śladu. Dokładniejsze natomiast wiadomości posiadamy o Jakubowiczu, który rzuciwszy chudą Melpomenę dla tłustej Temidy, dosłużył się szczęśliwie rangi radcy sądu wyższego i zmarł w r. 1874, przeżywszy lat dziewięćdziesiąt. Wena komiczna nie opuszczała go przez czas dłuższy, a nie mogąc bez narażenia sędziowskiej powagi występować publicznie na scenie, służył jej jako tłumacz, przekładając utwory Kotzebuego, Weissenthurmowej, oraz innych, popularnych w owym czasie autorów, w czerwcu zaś 1830 roku zasiadł w gronie komitetu, zarządzającego Towarzystwa akcyjnego, które objęło przedsiębiorstwo sceny polskiej we Lwowie. Jego to pióra była przeróbka głośniejsza w roku 1814 «Syreny z Dniestru», (z *Donauweibchen* Kauera), w której popisową rolę Terefercia odegrywał Starzewski ku pociesze kilku pokoleń Lwowian. Starzewski był też jedynym z owego grona dyletantów, który zdecydował się wstąpić na ciernistą drogę żywota, jaką przedstawiała dola polskiego aktora. Przez lat 40 służył on scenie lwowskiej, grywając wybornie role trzpiotów, waletów i charaktery komiczne. Niezrównany Pedrillo w «Don Juanie», lub Szarmancki w «Powrocie posła», upamiętnił się Starzewski we wspomnieniach starszej generacji Lwowian jako świetny Papkin w «Zemście» lub szambelan w «Jowialskim.» Ożeniony ze słynną z urody i talentu Anielą Rutkowską, nie był szczęśliwym w pożyciu domowem. Jedenastoletnia choroba

żony, która dotknięta paraliżem, gaśla powoli i rozłączenie z córką Wandą, zaślubioną Dawizonowi, która przeniosła się do Drezna, podkopywały stargane siły weterana sceny. A gdy zabrakło starcowi i głosu i werwy i humoru, przedsiębiorca lwowskiego teatru, Chełchowski, dał mu w r. 1855 odpawę... Na szczęście posiadał Starzewski znajomość obcych języków, dzięki czemu znalazł zajęcie w redakcyi *Gazety Lwowskiej*. Nie długo wszakże zażywał spokoju w tym nowym zawodzie, gdyż zgasł już w październiku 1857 roku, przeżywszy o rok zaledwo swą małżonkę. Na pogrzebie jego rozrzuciła nieznana ręka paszkwil, wymierzony przeciw Dawizonowi i jego żonie, którzy rzekomo zaparli się teścia i wyrzucili go ze swego «pałacu»... Oburzenie ogólne było należytą zapłatą dla paszkwiliście, rozmiągające się w zupełności z prawdą.

Wcześniej o wiele, bo już w dniu trzeciego grudnia 1829 roku rozstał się z tym światem zacny radca Wronowski. W chwili zgonu liczył on sto sześć lat. «Lwów traci w nim jednego ze swych patryarchów» — pisały *Nowiny Lwowskie* — «niejako żyjącą kronikę dziejów ostatniego stulecia, męża światłego i kochającego nauki i sztuki piękne, czego dał dowody, gromadząc przez całe życie liczny zbiór książek, obrazów, mineralów, monet i tym podobnych przedmiotów, których znaczną część jeszcze za życia tutejszym zakładom publicznym poświęcił...» Pałac Wronowskich otrzymała już w maju 1806 roku w posagu od ojca Józefa Wronowska, zaślubiając Fabiana hr. Humieckiego. Po jej śmierci, (w styczniu 1872 roku), pałac ten przeszedł na własność Braunów a następnie Neumanów, dzieląc smutne i wesołe losy swych kaźdoczesnych mieszkańców, by z wiosną 1895 roku ustąpić miejsca domom czynszowym. Wśród ogrodu, otaczającego ongi pałacyk Wronowskich, w zabudowaniach zwanych «na tureckim szańcu» mieścił się w roku 1840 instytut wychowawczy dla dzieci żołnierskich.

Zanim zboczymy w stronę stawu pełczyńskiego, musimy choć słówkiem wspomnieć o rozrzuconych na górze Wronowskich oraz na przyległej wyżynie, gmachach cytadeli. Powstały one

w roku 1856, tworząc zapewne części przyszłych obwarowań Lwowa, których wzniesienie projektowało ministerstwo wojny w latach 1849—1850. Jakkolwiek później odstąpiono od myśli fortyfikowania miasta, to jednak zbudowane już koszary i bastiony okazały się wielce przydatnymi pomieszczeniem dla załogi, dla której w mieście trudno było znaleźć dość miejsca.

Dom ubogich św. Łazarza powstał z dawnego szpitala, istniejącego w tem miejscu już z początkiem siedemnastego wieku, tudzież z funduszków zniesionych szpitali św. Ducha, św. Stanisława, Duchaczek i kilku pomniejszych fundacyj tego rodzaju. Otwarcie domu ubogich nastąpiło w dniu dwunastym października 1845 roku, po zakupieniu realności Schumana na pomieszczenie prebendaryuszów przeznaczonej.

W podziemiach kościoła św. Łazarza mieściły się już za naszych czasów liczne zwłoki, spoczywające tam od wieków a zasuszone gdyby mumie. Według kroniki Chodynieckiego, przeniesione one zostały do kościoła Łazarza z dawnego cmentarza, istniejącego pod wysokim Zamkiem. Bardzo jednak być może, że w podziemiu tem grzebano również ofiary moru, skutkiem którego w roku 1631 w jednym tylko szpitalu św. Łazarza przeszło dwa tysiące ludzi zakończyło życie. Zwłoki owe spoczywały nienaruszone w krypcie kościelnej aż do lipca 1872 roku, to jest do chwili, w której pod wpływem zaciekającej wody deszczowej poczęły się rozkładać, szerząc wokoło szkodliwe wyziewy. Wówczas też wywieziono je na cmentarz.

Tuż za instytutem ubogich droga nagle zwraca się na lewo ku stawowi Pełczyńskiemu i zbudowanej na nim pływalni. Zakład ten powstał w roku 1820 z inicjatywy Jana Karola hrabiego Fresnela, jenerała jazdy i zastępcy głównodowodzącego w Galicyi. Koszta urządzenia pokryto w drodze składek, zaś miasto ustąpiło stawu bezpłatnie. Ale z czasem staw się zamulił i gmina zastrzegłszy sobie zwrot kosztów przystąpiła w r. 1837 do oczyszczenia takowego.

Wydatki, spowodowane ową robotą, przekroczyły wszakże kwotę 13.000 złr. m. k. i wywołały dłuższy spór między woj-

skowością a miastem, zakończony dopiero po sześciu latach ugodą tej treści, iż w zamian za odstąpienie od swego żądania, uzyskała gmina prawo prezenty dziesięciu uczniów corocznie do korzystania z nauki pływania bezpłatnie. Płeć piękna poczęła pobierać lekcye pływania w zakładzie od roku 1834. Rozmaitości donoszą bowiem w sierpniu t. r. iż pierwsza odbyła tak zwaną próbę pływania na stawie czternastoletnia panienka «z pewnego tutejszego dobrze znanego domu, umiejąca się wznosić nad wszystkie zdrowiu dzieci szkodliwe przesady». Według zapewnienia Rozmaitości, młoda ta osoba wraz z dwiema siostrami były pierwszemi uczennicami pływalni.

W latach 1843—1845 staw Pełczyński bywał dwukrotnie widownią ciekawych popisów wojskowych na wodzie. Pierwsze tego rodzaju widowisko odbyło się w dniu trzydziestym sierpnia 1843 roku. Brzegi stawu i przyległe wzgórza zajęły tłumy ciekawych, podczas gdy wyższe sfery towarzyskie przybyły w powozach lub konno. Za przyjazdem arcyksięcia-gubernatora, który wraz z jeneralicją zasiadł na balkonie pływalni, rozpoczął się popis od ewolucyi wodnych, wykonywanych przez starszych uczniów, odbywających wszystkie ruchy, określone regulaminem ćwiczeń, z tą samą co na placu musztry dokładnością. Później produkowały się dzieciaki, synowie żołnierzy, wychowywani kosztem państwa, zaś zakończenie popisu tworzyła bitwa morska, przedstawiona przez oddziały piechoty i kawaleryi, rzucające się w pełnem uzbrojeniu w wodę. Zabawniejszem dla szerszej publiczności było widowisko, urządzone w dwa lata później, w d. 14 września 1845 r., a przedstawiające walkę z potworami morskimi.

Tym razem jeszcze większe tłumy ciekawych zaległy brzegi stawu a znalazł się przemysłny przedsiębiorca, który wystawił w tem miejscu trybuny z płatnym wstępem. Żądny nowości ludek lwowski nie zawiódł się i tym razem w oczekiwaniach. Krążące po stawie sztuczne wieloryby, krokodyle i syreny, budziły głośnie okrzyki zachwytu i grozy, które spotęgowały się

jeszcze bardziej na widok batów, zapelnionych murzynami, Turkami, majtkami. Koroną spektaklu były ognie sztuczne tudzież pojawienie się statku, naśladującego wszystkie zwroty i fortele, będące w użyciu podczas połowu wieloryba.

Produkcyje te dostarczały Lwowianom wątku do długich opowiadań i komentarzy, naturalnych wielce wobec szczupłego programu rozrywek, jakie miasto nasze wówczas przedstawić było w stanie. Bawiono się jednak za owych czasów i lepiej i szczerzej.

Pływalnia doczekała się nawet rymowanego opisu, pióra Rafała Wężyka p. t. «Spacer do pływalni we Lwowie». Poemat ten zamieszczony w Rozmaitościach za rok 1825, rozpoczął się następującym ustępem:

Ledwie, że Jabłonowskich pominiesz ogrody,
 Weź się trochę na prawo, jak szmer słyszysz wody;
 Wnet ujrzysz słup wysoki, gdyby maszt wzniesiony,
 Na którym wśród chorągwi orzeł umieszczony,
 Tam się droga rozdziela. Lecz choć wstecz strumienia
 Wabią cię piękne wzgórza i gaików cienia,
 Nie pragniej w krótkiej chwili tyle rzeczy przejrzeć,
 Co w myśli tkwić ma długo, trza pilnie obejrzeć
 Udaj się raczej w prawo za tym tłumem ludu,
 Któremu dzień zabawy słodzi sześć dni trudu.
 Patrz! ta droga wygodna, którą jak w zawody,
 Spieszą w powozach panie prześlicznej urody,
 Po których młodzież hoża na rumakach dzielnych,
 Wyściga się naprzemian wśród śpiewów weselnych,
 Była bagnem niedawno, które w zbytku trwogi,
 Omijano jak zdrajcę, nakładając drogi
 Tam dalej, gdzie to kształtne wznoszą się budowy,
 Zachwycić się widokiem pływalni wojskowej...

Twórca tyle uwielbianej pływalni, Fresnel, którego nazwiskiem ochrzczono dzisiejszą ulicę Kościuszki, był w swoim czasie bohaterem arcyromantycznej historii, rozegranej na tujszym bruku. Oto nie młody już, siwy generał poznał i pokochał młodą i przystojną panienkę, Zuzannę Strzemboszcówną. Panna była mu wzajemną, ale ojciec i słyszeć nie chciał o tym

związku. Strzemboszówna zamknęła się w obec tego w klasztorze, gdzie — jak głośiły złośliwe języki — widywała się z Fresnelem w rozmownicy. W końcu udało się jej przełamać opór ojcowski. Wyszła za Fresnela, który był bardzo dobrym gospodarzem i z prawdziwym żalem opuszczał Galicyę, gdy go przeniesiono do Gracu. Tam też niebawem życia dokonał. Fresnelowie byli bezdzietni i hrabina świadczyła wiele ubogim. Owdowiawszy, wyszła po raz wtóry za mąż za Ożarowskiego. Romans skończył się poczęści prozą.

Powracając ulicą Kopernika ku miastu, widzimy dzielącą ją przecznicę, noszącą nazwę ulicy Ossolińskich. Ulica ta powstała dopiero w pierwszych dziesiątkach lat naszego stolecia, gdy z ruin poklasztornych począł się dźwigać Zakład narodowy imienia Ossolińskich. Dawniej istniał w tem miejscu ogród, wśród którego w głębi wznosił się klasztor Karmelitanek trze-wiczkowych, wraz z kościołem św. Agnieszki. Po kasacie zakonu w roku 1782, klasztor przeznaczono na pomieszczenie rzym. kat. seminaryum, a następnie na piekarnię wojskową i magazyn. Pożar w roku 1804 powstały, znacznie uszkodził ową budowę, która w dniu czternastym maja 1812 stała się ponownie pastwą płomieni. Tym razem gmach ów poszedł w zupełną ruinę i okopcone mury, zwane popularnie: spalonym magazynem, zakupił za niską stosunkowo cenę Józef Maksymilian Ossoliński, na pomieszczenie zbiorów, przekazanych przez niego krajowi. W dniu dziewiętnastym czerwca 1827 roku odbyła się z wielką uroczystością ceremonia założenia kamienia węgielnego pod mający się wybudować gmach biblioteczny, lecz mimo najsilniejszych zabiegów, pierwszego kuratora Henryka Lubomirskiego, jego zastępcy, księdza Siarczyńskiego i bezinteresownej pomocy Józefa Bema, wówczas dymisyonowanego kapitana inżynierii, kierującego dziełem restauracyi, kilka lat upłynęło, zanim można było otworzyć czytelnię i rozpocząć roboty w drukarni i litografii zakładu.

Czytelnię otwarto w roku 1833 równocześnie z urządzeniem drukarni, podczas gdy zakład litograficzny istniał już od

jesieni 1830 roku. Doprowadzenie do skutku tych urządzeń, mimo braku pieniędzy i różnorodnych przeszkód było w pierwszym rzędzie zasługą Konstantego Słotwińskiego, który po śmierci Siarczyńskiego objął w grudniu 1831 roku kierownictwo zakładu. Słotwiński, doktor praw obojga i filozofii, był człowiekiem wykształconym, energicznym, samodzielnym i te właśnie zalety stały się powodem, dla którego rzucić musiał służbę rządową. Piastował on urząd komisarza obwodowego, lecz mimo pracowitości i gorliwości w służbie, pomijano go systematycznie przy mianowaniach na wyższe stopnie. Miano mu zarzucać noszenie wąsów, których wówczas nie wolno było zapuszczać tak cywilnym urzędnikom, jak i oficerom z pułków piechotnych... Zrażony niesprawiedliwem postępowaniem władzy przełożonej, rzucił Słotwiński zawód biurokratyczny, by z całym zapalem oddać się pracy w zakładzie Ossolińskich. Ta ruchliwość nowego dyrektora nie podobała się władzom lwowskim.

Niepomyślny wynik wyprawy partyzanckiej do Polski, do której przygotowania nie były tajemnemi rządowi, dał hasło do prześladowania emigrantów, znajdujących tu przytułek po rewolucyi listopadowej, jakoteż obywateli miejscowych, obwiniętych o udział w tej sprawie. Po wsiach i lasach urządzano formalne wyprawy na wychodźców, drogi obstawiano wartami chłopskimi, zaś we Lwowie jednooki Sacher-Masoch na czele zgrai policyjnych łapaczów, wysiłał cały swój spryt i przebiegłość celem wyśledzenia nurtujących w kraju spisków. W jesieni 1833 roku nastąpiły liczne aresztowania partyzantów oraz ich pomocników, a to na podstawie wskazówek z Warszawy otrzymanych. Gmach pokarmelicki zaludnił się przestępcami stanu, nad którymi znęcano się bezlitośnie dla wydobywania z nich prawdy.

W takich stosunkach, zabiegi Słotwińskiego, czynione u rządu celem uzyskania pozwolenia na założenie stowarzyszenia naukowego, pozostającego w związku z zakładem, oraz z wydawnictwem czasopisma «Biblioteki Ossolińskich», musiały go podać w podejrzenie u władzy i tak już niechętnie wobec

niego usposobionej z powodu śmiałości, z jaką występował w obronie praw instytutu, uszczuplanych przy każdej sposobności tak przez rząd, jak przez wydział Stanów. Ale Słotwiński, jako były urzędnik, znał dokładnie drogi, jakimi zwykle byli chadzać jego przeciwnicy i dla tego w publicznych swych wystąpieniach przestrzegał troskliwie legalnych pozorów.

Inny charakter miała jego działalność wewnątrz murów zakładu, z którego chciał stworzyć główne ognisko patryotycznych usiłowań. Mając do dyspozycji drukarnię i litografię, gdzie pracowali ludzie zupełnie mu oddani, począł odbijać bez wiedzy cenzury portrety wodzów i wybitniejszych osobistości z czasów rewolucyi listopadowej, a równocześnie w największej tajemnicy przedrukowywał dzieła, zabronione wówczas w Galicyi i w szczupłej jeno liczbie egzemplarzy przemycane przez granicę.

Przez długi czas zarówno policya lwowska, jak i władze pograniczne nie mogły odkryć źródła, z kąd się rozchodzą po kraju zakazane druki i dopiero zdrada jednego z więźniów stanu, ośmnastoletniego Adolfa Rolińskiego, podała śledzącym pierwsze wskazówki w tej mierze. Roliński, syn profesora warszawskiego uniwersytetu, skazany za udział w powstaniu do służby w sybirskich bataljonach, umknął do Galicyi, a schwytany przez władze austriackie, straszące go wydaniem Rosyi, stał się powolnem narzędziem w ręku kierującego śledztwem radcy Wittmana. Plótł mu niestworzone rzeczy, oskarżał osobistości znane mu lub nieznane, mnożąc bez końca ilość areztowań. Roliński wskazał też między innemi zakład Ossolińskich, jako główne źródło, z którego po kraju rozchodzą się tak pilnie poszukiwane przez policję książki i broszury.

W dniu jedenastym kwietnia 1834 roku spadła na zakład pierwsza rewizya, która nie znalazła wprawdzie, czego szukała, lecz zabrała natomiast z półek bibliotecznych kilkaset dzieł nieodpowiednich — zdaniem rewidujących — dla publicznego księgozbioru. Daremnie protestował przeciw tej samowoli Słotwiński, który był o tyle nieostrożnym, iż nie usunął już po

tych odwiedzinach ukrytych w gmachu zakładowym druków. Sądził zapewne, że ponowna rewizya nie nastąpi. Omylił się niestety. W dniu trzynastym czerwca policya wraz z komisją sądu kryminalnego wkroczyła ponownie do zakładu i przez cztery tygodnie z rzędu budynek ten w istnem trzymała oblężeniu. Cały gmach od góry do dołu przetrząsnęto. Przejrzano nie tylko bibliotekę i zbiory muzealne, ale także mieszkania urzędników zakładu i dyrektora. Żona Słotwińskiego, zmuszona do wstania z łóżka w dwa dni po położu, zmarła pod wpływem przestachu i doznanego wzruszenia, osieracając troje drobnych dzieci. Poszukiwaniami kierował tym razem aktuarjusz sądu karnego Ignacy Zajączkowski, który swą bezwzględnością zasłynął później w całym kraju pod mianem: Wielkiego Inkwizytora. Zajączkowski chciał po raz wtóry przeprowadzić puryfikację biblioteki z dzieł politycznie podejrzanych, ale temu zarządzeniu gorliwego aktuaryusza energicznie a skutecznie sprzeciwili się: kuratorya i urzędnicy zakładu. Z tem większą dokładnością zajął się przeto smutnej pamięci poszukiwacz śledzeniem ukrytych druków. Drobiazgowość posuwał do tego stopnia, iż sam z wychodków wydobyte kawałki papierów odczytywał i odczytywał. Po długich poszukiwaniach udało się Zajączkowskiemu odkryć utajoną skrytkę z przedrukami: Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego, tudzież siedemnastu innych broszur, w liczbie których znalazły się: Konfederatka, Towarzystwo wzajemnej pomocy Jełowickiego, Prawa człowieka i obywatela. Równocześnie odkrył statuty związku Pod berłem Bogarodzicy, tudzież korespondencję między wychodźcami, przebywającymi w Galicyi i w Księstwie Poznańskiem, a mającą na celu stworzenie organizacyi spiskowej w ziemiach dawnej Polski.

Bogaty ten połów spowodował uwięzienie Słotwińskiego, Aleksandra Komarnickiego, praktykanta zakładu i akademika Emila Korytki. Ten ostatni aresztowany został pod zarzutem rozpowszechniania zabronionych druków. Uwięzionych oddano sądowi kryminalnemu, zaś zarządcę drukarni, Franciszka Ząb-

kowskiego, policyi lwowskiej. Równocześnie opieczętowano bibliotekę i drukarnię zamykając je na cztery spusty.

Nie czekając na ostateczny rezultat procesu, który według ówczesnej procedury włókł się latami, nosił się Krieg z zamiarem zupełnego zwinienia zakładu Ossolińskich. Przedstawił przeto Wiedniowi projekt połączenia zbiorów bibliotecznych zakładu z miejscową biblioteką uniwersytecką, albo też przeniesienia tychże do księgozbioru nadwornego w stolicy. Tylko usilnym zabiegom kuratora, Henryka księcia Lubomirskiego, przypisać należy, iż potworny ten zamysł nie uzyskał potwierdzenia monarszego. Książę kurator udawszy się do Wiednia, przypomniał cesarzowi Franciszkowi I. zasługi fundatora instytutu, Ossolińskiego, wobec tronu a oraz przedstawiał, że za błędy jednego człowieka, nie należy karać całego narodu. Cesarz, który zresztą własnoręcznym listem, pisany w swoim czasie do Ossolińskiego, uznał się protektorem tego instytutu, uwzględnił prośbę Lubomirskiego i myśl zwinienia zakładu posłała w niepamięć. Nie zabroniono wszakże Kriegowi zamknąć czytelnii i drukarni zakładowej, tak, iż instytut wegetował bez pożytku dla publiczności przez całe piętnastolecie. Dopiero w jesieni 1847 roku zezwolił rząd na ponowne otwarcie drukarni, zaś czytelnia została oddaną do użytku publicznego w kwietniu roku następnego. Obie te koncesye były już dziełem hrabiego Stadion, gdyż Krieg wszelkimi, możliwymi środkami utrudniał i tak już bierną egzystencję zakładu. W dniu dwudziestym piątym lutego, 1837 r. odczytano wyroki Słotwińskiemu na lat ośm i Komarnickiemu na sześć lat więzienia w Kufsteinie. Szczęśliwszym był Ząbkowski, który uznany za mniej winnego przez policyę, otrzymał pozwolenie wychodzenia do miasta pod dozorem strażnika. Ponieważ jako wychodźcy groziło mu wydanie Rosyi, przeto przy pierwszej sposobności umknął i oparł się aż w Strasburgu, gdzie jako drukarz znalazł korzystne zajęcie. Korytkę internowano w Lublanie.

Tymczasem osieroconym zakładem zajął się Gwalbert Pawlikowski, zamianowany na wniosek Lubomirskiego zastępcą.

kuratora. Pawlikowski napróżno kołatał u Kriega o obsadzenie opróżnionych urzędów w instytucie, na które przedstawiał kandydatów: Augusta Bielowskiego, Lucyana Siemieńskiego i Wincentego Pola. Ale szef rządu krajowego, oburzony rzeczoną propozycją, odparł kuratorowi, iż jeżeli komukolwiek z stronnictwa przewrotu, (*Umsturzpartei*), nadaną zostanie posada w Zakładzie, to on potrafi przeprowadzić rozwiązanie instytutu. I nie poprzestał na gołosłownej groźbie, lecz wydalil z Galicyi kustosza Zakładu, Stanisława Przyłęckiego, jedyną siłę zawodową, jaka w bibliotece pozostała. Niezrażony tem postępowaniem, podał Pawlikowski w r. 1845 ponownie propozycję nadania posady Bielowskiemu i Polowi, gdyż Siemieński bawił wówczas na emigracyi. Rząd zwlekał z decyzją. Z wyższego polecenia Sacher-Masoch protektorom obu kandydatów odpowiadał, że władza nie ma przeciw Bielowskiemu i Polowi żadnych zarzutów, lecz że ich przyjęcie zależy jedynie od Pawlikowskiego... W końcu ten ostatni, przyparł Kriega do muru i wyrzuciwszy mu dwulicowe postępowanie, zdołał uzyskać pozwolenie rządowe na mianowanie Bielowskiego skryptorem, pod warunkiem, że w każdej chwili może władza zażądać jego oddalenia.

Kilka słów jeszcze wypadnie nam dorzucić o kolejach życia osób w sprawę tę wmięszanych. Słotwiński, ułaskawiony w roku 1843 osiadł w swem rodzinnem gnieździe, w Głębokiej dolnej. Przebyte cierpienia i strata żony, wpłynęły w ten sposób na niego, iż usunął się zupełnie od ludzi, zajęty pisanem dzieła religijnej treści w dziewięciu językach, wychowaniem synów, gospodarką i opieką nad poddanymi. W okolicy zwano go anachoretą, chłopomanem. Oddany całem sercem ludowi, nie chciał Słotwiński uciekać do miasta podczas rzezi 1846 r. i w dniu dwudziestym pierwszym lutego, modlącego się przed obrazem Chrystusa ukrzyżowanego, zabiła czerń pijana chłopstwa. Zdrajca Roliński, skazany na dziesięcioletnie więzienie w Kufsteinie, zmarł tamże, już w roku 1840, przeklinając jeszcze w chwili zgonu niesumieńczych sędziów, którzy nadu-

Pepłowski. Obrazy.

żyli jego łatwowierności. Nie ujrzał też ojczystej ziemi internowany w Lublanie Korytko, który zgasł na obczyźnie około roku 1840. Był on pierwszym zbieraczem słowiańskich pieśni w Krainie. Ogłosił je drukiem na rok przed śmiercią, oraz zgromadził bogatą kolekcję strojów tamtejszych, ludowych.

Główny autor zamachu na istnienie narodowej instytucji, Ignacy Zajączkowski, doczekał się w końcu zasłużonej kary. W uznaniu oddanych rządowi usług wyniesiony do godności radcy, wysłany został w roku 1846 do Krakowa dla tropienia w tem mieście zbrodniarzy stanu. Wywiązał się i tym razem ku zupełnemu zadowoleniu władzy przełożonej, lecz kula mściciela przerwała w dniu piątym listopada 1847 roku pracowity żywot gorliwego inkwizytora. Powracając późnym wieczorem przez planty do domu pod osłoną strażnika policyjnego, spotkał Zajączkowski dwie czarno ubrane postacie, które go spytały o nazwisko. Zaledwo je powiedział, gdy rozległ się huk strzału i trup radcy leżał na miejscu. Sprawcy uszli bez śladu.

Tak odstępcom bywa.

Z chwilą oddania Zakładu Ossolińskich do użytku publicznego, przyległa ulica była zupełnem pustkowiem i dla tego pierwszy dyrektor instytutu, ksiądz Siarczyński, napróżno kołatał w magistracie z prośbą o oświetlenie wiodącej do gmachu bibliotecznego drogi. Władza miejska tłumaczyła się, że ulica Ossolińskich zbyt jeszcze jest pustą i niezamieszkałą, by warto ją było oświetlać.

Z ulicy Ossolińskich przechodzi się na ulicę Sykstuską, zwaną dawniej: Sykstowską lub Syktówką od folwarku słynnego w dziejach średniowiecznego Lwowa, lekarza, Erazma Syksta. Folwark ten istniał podobno w miejscu, gdzie dziś stoi willa Zacharjewiczów, (ulica Technicka l. 1), zaś ulicę Sykstuską zamykały: położony na szczycie góry, wspomniany już poprzednio pałac Czartoryskich, tudzież istniejący poniżej, w równej linii z dzisiejszą cerkwią seminarjum ruskiego, klasztor z szpitalem i ogrodem Kanoniczek de Saxe. Po kasacie Kanoniczek, grunt ich wraz z znajdującymi się tamże drewnianymi

budynkami sprzedano w roku 1790 prywatnym nabywcom. Dziś stoją w tem miejscu kamienice czynszowe, (l. 7 przy ul. Słowackiego i l. 1 przy ul. Kraszewskiego). Z dawnej rezydencji Czartoryskich nie pozostało i śladu, z wyjątkiem tak zwanego arsenału Sieniawskich. Stara ta budowa, ostatnio siedziba Wiktora hr. Baworowskiego, który w niej tak tragiczny znalazł koniec, ma i weselsze wspomnienia z lat dawnych. W jej to murach odbył się w Ostatni Wtorek karnawałowy 1845 roku ów słynny bal składkowy, o którym przez długie lata rozpowiadano sobie w Galicyi. Nie tyle imponującą była cyfra udziałów składkowych, które wynosiły po 100 zlr. od osoby, ile raczej oryginalną wydać się musiała okoliczność, iż bal ten rozpoczął się o godzinie 4 popołudniu w sztucznie zaściemnionych salach i trwał do północy. W zabawie brało udział całe wyższe towarzystwo tutejsze z arcyksięciem-gubernatorem na czele.

Dolna część dzisiejszej ulicy Sykstuskiej nie istniała wcale z końcem ośmnastego wieku, gdyż całą przestrzeń między dzisiejszemi ulicami Kopernika a Jagiellońską, wypełniały trzęsawiska, moczary i zalewiska Pełtwy, na której strzelano dzikie kaczki. Na tym obszarze było kilka sadzawek obmurowanych, gdzie utrzymywano z pobliskich stawów i z Werszycy przywożone ryby.

Tak zwana arcybiskupia sadzawka, własność metropolii łacińskiej, istniała przy dzisiejszej ulicy Słowackiego. Obfitował też w wodę dzisiejszy ogród miejski, znany po kasacie zakonu Jezuitów pod mianem pojezuickiego folwarku, gdyż prócz dwóch sadzawek i łaźienek, istniejących w ogrodzie, był jeszcze trzeci stawek u stóp góry św. Jura, między ogrodem a ulicą Gródecką. C. F. Pindter w swych wspomnieniach o Lwowie z roku 1823 przytacza o owym stawku wcale pocieszne zdarzenie. Oto zjawił się w owym czasie na lwowskim bruku jakiś sztukmistrz dziwnie wielostronny. W programach swych przyrzekał p. t. publiczności ognie sztuczne, taniec na linie i wiele innych sztuczek, lecz koroną popisu miał być skok olbrzymi z ruszto-

wania, wzniesionego na sześć sążni nad powierzchnią stawu, do wody. O oznaczonej godzinie tłumy ciekawych zaległy brzegi stawku. Akrobata ukazał się na rusztowaniu. Przypatrzył się tłumowi, potem wodzie i zbiegłszy z swego stanowiska, przepadł bez śladu. Zawiedziona w oczekiwaniu publiczność jęła wygrażać się biednemu skoczkowi i dopiero ktoś rozsądniejszy uspokoił zaperzonych zapewnieniem, iż niepodobna bez narkęcenia karku wykonać skoku z tak znacznej wysokości do wody zaledwo na sążeń głębokiej.

Przyległe do ogrodu domostwo Höchta, istniejące w miejscu dzisiejszego gmachu sejmowego, miało swoją historię w dziejach towarzyskiego życia we Lwowie. Był to budynek jednopiętrowy z rozległą facyatą, ozdobny filarami. Zwano go kasynem Höchta, to znów salami pojezuickiego ogrodu. Na górze mieścił się — jak wiadomo — hotel, w parterowych salach odprawiano konferencye, hasano na balach, urządzano ucztę. Tu odbył się w zimie 1795 roku słynny sąd polubowny w sprawie księcia generała Ponińskiego, który wobec zaproszonych oficerów kościuszkowskich i publiczności, przepelniającej salę, tłumaczył się z zarzuconej mu zdrady pod Maciejowicami. Sędziowie wydali wyrok uniewinniający Ponińskiego i tysiąc butelek szampana pękło tej nocy w Höchtowskiem kasynie.

W salach ogrodu pojezuickiego odbył się też świetny bal wydany przez Stany galicyjskie w lipcu 1817 roku na cześć bawiącego we Lwowie cesarza Franciszka I. wraz z małżonką. Cesarska para odprawiała wjazd do miasta z cerkwi świętego Jura, gdzie wstąpiła do arcybiskupiej rezydencji dla zmiany odzieży. Jechała wśród radośnych okrzyków ludu pod łukami z kwiatów utworzonymi, do domu Kratterów (dziś pałac gubernatorski). Festyny wojskowe, bale u wojewodziny Potockiej, u księstwa Ponińskich, uprzyjemniały kilkudniowy pobyt cesarskich gości w murach Lwowa. Wszystkie te przyjęcia przyćmił wszakże okazałością wspomniany już bal stanowy, przed którego rozpoczęciem przyszło do ostrej wymiany słów między Albertem Mierem a Kazimierzem Rzewuskim. Ten ostatni,

świeżo mianowany wraz z hr. Mniszchem komisarzem sejmowym, stał u drzwi wchodowych sali, utrzymując, że mu służy pierwszeństwo w powitaniu monarszej pary. Ale i hr. Mier, jako tajny radca i komandor orderu świętego Szczepana, rościł sobie podobne pretensye. Od słowa do słowa, przyszło do starcia między Rzewuskim a Mierem, które głośnie stało się w kraju i później rozmaicie je przedstawiano. Istotny przebieg sporu rozegrał się w tym sensie. Pan pisarz, widząc nadjeżdżające pojazdy dworskie rzekł do swego przeciwnika:

— Panie hrabio! Nie jest to miejsce, stosowne do sporu. Rozprawimy się później...

— I owszem — odpowiedział Mier z naciskiem i cofnął się ku reszcie towarzystwa, wśród którego szeptano już o pojedynku na pistolety, jako jedynym sposobie załatwienia tej sprzeczki, cesarzowa atoli dowiedziawszy się jeszcze podczas balu o powstałym nieporozumieniu, zaważwała obu poważnionych na dzień następny, na jedną godzinę do siebie. Rzewuski i Mier stawili się w oznaczonej porze, nie wiedząc nawzajem o sobie. Wprowadzono ich równocześnie przeciwległymi drzwiami przed oblicze cesarzowej, na której rozkaz musieli sobie podać dłonie. Mogli to uczynić tem snadniej, iż zarówno Rzewuski jak i Mier nie po raz pierwszy rozprawiali się o honor z bronią w rękę. Mier odbył podobno w życiu czterdzieści pojedynków, a zapytany w tej kwestyi przez Wielkiego księcia Konstantego w warszawskim Belwederze, odparł bez chwili namysłu.

Monseigneur! J'étais vif et n'étais pas prince...

W latach pięćdziesiątych odbywały się w salach Höchta pierwsze wystawy rolniczo-przemysłowe, projektowane już w roku 1848, lecz niedoprowadzone do skutku z powodu współczesnych wypadków politycznych, zaś w latach 1867—1877 rezydował w tym lokalu, znacznie już ku starości pochylonym «Sokół» tutejszy. W jesieni 1877 roku poczęto rozbierać budynek Höchtowski wraz z przylegającymi do niego od strony dzisiejszej ulicy Trzeciego maja łazienkami z powodu przygotowywania fundamentów pod gmach sejmowy.

Ogród pojezuicki zmieniał kilkakrotnie w ciągu tego czasu swą fizyognomię. Z końcem ubiegłego wieku był to park ciemnisty, gęsto zarosły starymi drzewami. Ciemne aleje, utworzone z splecionych konarów starych lip, były niejednokrotnie widownią romantycznych schadzek. Około roku czterdziestego, gdy Wysoki Zamek jął pociągać ogół publiczności urokiem nowości, zaniedbywano coraz to bardziej stary ogród. A gdy około roku sześćdziesiątego wzięto się do porządkowania tych plantacji, postąpiono zbyt doraźnie, gdyż w czambuł wycięto wszystkie stare drzewa. Szwajcarski domek, stojący wśród restauracji, nie jest też pozbawionym pewnych tradycji. Tu Wincenty Połubił przybywać na literackie gawędy, tu przyjmowano Kraszewskiego w roku 1867. Zaś w sierpniu 1869 roku w zaimprovizowanej w ogrodzie jezuickim halli podejmował Lwów balem przybyłych na uroczystość założenia kopca ziomków.

Ale i festyny, ta problematyczna wielce rozkosz mieszkańców Lwowa, w tym ogrodzie wzięły swój początek. Pierwsza tego rodzaju w naszym grodzie zabawa odbyła się w dniu dziesiątym lipca 1842 roku na rzecz pogorzańców Rzeszowa, który w czerwcu tegoż roku spłonął doszczętnie. W ogrodzie urządzono kiermasz, karuzele, słupy do wspinania się o nagrodę. Wieczorem spalono ognie sztuczne, zaś w arenie odbywały się cyrkowe przedstawienia. Do drugiej godziny po północy roit się ogród od publiczności. Trzyście tysięcy osób pospieszyło na ów pierwszy festyn. Druga zabawa ogrodowa odbyła się w tem miejscu w lipcu roku następnego. Dochód przeznaczono również na cele dobroczynne. Główną siłą atrakcyjną była wówczas loterya fantowa, nowość po raz pierwszy zaprodukowana we Lwowie; ciągnięcie losów odbywało się z pewną uroczystością, za pośrednictwem chłopaków, z zakładu ubogich, wyjmujących kartki z czterech waz, ustawionych w środkowym kole. Mimo straszliwej ulewy, która przemoczyła popołudniowych gości w ogrodzie, zgromadził się tamże wieczorem tłum przeszło dziesięciotysięczny.

Od ogrodu pojezuickiego wzięła też nazwę dzisiejsza ulica

Jagiellońska, zwana dawniej Jezuicką, zaś w górnej swej części (dziś: ulica Mickiewicza) Świętojurską. Na rogu tej ulicy, za furtaa jezuicką, stał jeszcze w roku 1763 tak zwany dwór alwertowski, własność kasztelana lwowskiego, Józefa Potockiego. Później w tem miejscu zbudował kupiec tutejszy, Jan Preschel, dwupiętrową kamienicę, którą zakupiła gmina na pomieszczenie biur i apartamentów głównodowodzącego generała. W roku 1839, po przeniesieniu jeneralnej — jak wówczas mówiono — komendy do jej dzisiejszej siedziby, urządzono w Preschlowskiej kamienicy zajazd pod firmą hotelu angielskiego, który miasto wydzierżawiało prywatnym przedsiębiorcom aż do roku 1890, kiedyto miejsce hotelu zajęła budowa gmachu Kasy Oszczędności.

Za posiadłością Preschlów ciągnęła się aż po ogród Jezuicki posiadłość Majera, zamiłowanego pomologa, który obok rozmaitych gatunków owoców hodował też w swym sadzie winną latorośl. W kwietniu 1841 roku na gruncie tego ogrodu powstała ulica Majerowska, zwana dziś ulicą Trzeciego Maja, zaś ulica Świętojurska, jeszcze około roku 1840 figuruje na odnośnych rycinach jako zarosła drzewami.

Plac Świętojurski, prócz cerkwi i pałacyku biskupiego, zbudowanego przez Szeptyckich w miejsce dawnego, Bałabanowskiego dworu, świecił również pustką. A jednak, mimo odległości od śródmieścia i dróg nieszczególnych we Lwowie, pałac, mieszczący się tuż obok cerkwi, skupiał w sobie przez lat szereg cały niemal ruch towarzyski w naszym grodzie. Rezydowała tu od kwietnia 1785 roku Katarzyna z Potockich Kossakowska, znana pod mianem wielkiej «mądrochy» na całym obszarze ziem Rzeczypospolitej. Siedziała na pozór spokojnie w tym pałacyku, na «wysokości» — jak sama zwykła nazywać swą rezydencję — lecz w istocie żadna intryga polityczna, żadna sprawa rodu Pilawitów nie obyła się bez jej współdziałania. Energetyczna wdowa, zachowująca z całą ścisłością obyczaj i modę z czasów saskich, otaczała się wielkim dworem, złożonym z nieprzeliczonej rzeszy pajuków, hajduków, laufrów, masztalerzy,

węgrzyneków i kozaków, że nie wspominamy o frauencymerze, przepelniającym garderoby pani kasztelanowej, oraz o ulubionych jej karlicach. W kwietniu 1787 roku przyjmowała pani Katarzyna w salonach świętojurskich cesarza Józefa II, który już w czasie pierwszej w Galicyi bytności zaszczycił ją swemi odwiedzinami w Stanisławowie. Słynne były obiady piątkowe u pani Kossakowskiej, która w ten sposób starała się zachęcić młodsze pokolenie do ścisłego obserwowania postu. Tłoczyli się na nie i nieproszeni goście. Słusznie więc kasztelanowa, zapytana przez jednego z bliższych znajomych o powód zamieszkania w tak znacznej odległości od miasta, zauważyła: «Chcę prawdziwych wypróbować przyjaciół, którzy trudu odwiedzenia mnie tutaj nie pożałują...»

Najświetniejsze wszakże czasy salonów świętojurskich przypadły na jesień 1792 roku, kiedyto gościli w nich: księżna generałowa ziem podolskich z księżną Wirtemberską, księż biskup Warmiński, biskup Krasiński i Kościuszko. Z chwilą wyjazdu Kossakowskiej do Krystynopola i jej rezydencya lwowska w głuchem pograżyła się milczeniu.

Obszerny plac przed cerkwią ożywił się chwilowo w dniu dwudziestym siódmym maja 1809 roku, gdy wojska księstwa warszawskiego, wiedzione przez generałów Roźnieckiego i Kamińskiego, biwakowały w tem miejscu, podejmowane gościnnie przez Lwowian. Niedługą była bytność tych zuchów w naszym grodzie. Orły napoleońskie wywiodły ich daleko, na północ, by w śniegach głębokiej Rosyi, w toniach Berezyny pograżyć dzielnych żołnierzy, wiążących sprawę ojczyzny z rydwanem korsykańskiego zdobywcy. I znów cisza zaległa piaszczyste to wzgórze, na którem odbył się w dniu siódmym września 1848 roku przegląd gwardyi narodowej, lwowskiej wobec sędziwego Dwernickiego. Jenerał przybył na plac zborny konno, wprost z obiadu, wyprawionego na cześć jego przez dowodzącego naczelnie generała Hamersteina. Muzyka wojskowa, ustawiona na prawem skrzydle gwardyi, uszykowanej w jednej, długiej linii, powitała gościa odgłosem hymnu: *Heil dir im Sie-*

geskrans, przy którego dźwiękach odbyła się defilada. W rok niespełna później, w pierwszych dniach lipca 1849 roku, wzdłuż placu świętego Jura obozowali dragoni rosyjscy, przechodzący przez Lwów do Węgier. Dwa pułki dragonie, które weszły w owym czasie do miasta rogatką Łyczakowską, powitane zostały przez przedstawicieli władzy na placu Cłowym i przeciągnawszy przez śródmieście, rozłożyły się obozem na placu Świętojurskim i na Nowym Świecie. Oryginalna melodia śpiewu, nuconego przez jadących na czele pułku śpiewaków, dzielne, jednakiej maści konie i lud rosły w olbrzymich hełmach, zdobnych we włosienne kity, zwały ogromne zastępy ciekawej publiczności na miejsce obozowiska, w którym Rosyanie przez kilka dni z rzędu pozostali.

Na ten też czas, na okres lat 1849—1859, przypada doba stosunkowo największego rozwoju jarmarków świętojurskich.

Jarmark Świętojurski ma swoją historię.

W przywileju Józefa II. z dnia szóstego listopada 1789 roku, nadanym miastu, znajdujemy w ustępie trzynastym zezwolenie monarsze na odprawianie czterotygodniowego jarmarku w miesiącu styczniu, oraz dwóch jarmarków na placu świętego Jura, odbywających się w maju i w październiku każdego roku, z obowiązkiem składania pewnej opłaty grecko-katolickiej metropolii. Jarmark styczniowy, tak zwany: na Agnieszkę, przeniesiony został następnie na czerwiec i z czasem poszedł w zapomnienie. Natomiast jarmarki świętojurskie utrzymują się po dziś dzień, choć wiele z dawnej uroniły świetności. Że jarmarki owe odprawiały się już przed rewindykacją Galicyi, to wystarczy przytoczyć choćby wzmiankę ze znanych «Listów» Krattera, wydanych w Lipsku w roku 1786, a zatem na trzy lata przed ogłoszeniem przywileju Józefińskiego, by przekonać się, jak to odbywał się w owych czasach jarmark świętojurski. «O kwadrans drogi od miasta» — pisze Kratter w liście dwudziestym i ósmym — «pod pałacykiem ruskich biskupów odbywają się corocznie dwa jarmarki. Miasto kramów z towarami, potrzebnymi zarówno dla włościanina, jak dla

mieszkańca miasta, widać tam całe szeregi namiotów, w których szynkują piwo, miód i wódkę. Liczba reszty kramów, w których sprzedają nędzne wyroby szewskie, stolarskie i gliniane, przedstawia zaledwo czterdziestą część szynkowanych namiotów. Ponieważ zaś wszystkie te budy przepełnione są, zwłaszcza wieczorami, po same brzegi gośćmi, przeto nie pomyłę się, twierdząc, że jeden porządny kupiec przypada na dwustu opojów...»

Inaczej wyglądał jarmark pod Jurem według obrazu Galińskiego, tutejszego malarza, wykonanego około roku 1845. Na litograficznej reprodukcji tej kompozycji, wykonanej w oficynie Pillerowskiej, widzimy, plac pod świętym Jurem, zapelniony budami, wozami, kramami. Wśród namiotów piętrzą się stosy wyrobów bednarskich, płoną ogniska, krążą tłumy ludu, zajęte kupnem rozmaitych przedmiotów. Że obraz ten nie był bynajmniej wynikiem fantazyi artysty, o tem łatwo się przekonać z relacyj dzienników miejscowych, ogłaszanych między rokiem 1849 a rokiem 1859, to jest w dobie najżywszego rozkwitu tych jarmarków, oraz z obrazu znanego pejzażysty tutejszego, Langa, którego litograficzna reprodukcya znajduje się w zbiorze rycin biblioteki Pawlikowskich.

Po lewej stronie placu, od strony starego parku Skrzyńskich, dziś zajętego już w znacznej części przez nowe budowle, stawały zazwyczaj zwartym szeregiem olbrzymie wozy z wyrobami bednarskimi, piętrzącymi się gdyby starorzymskie wieżyczki bojowe na słoniowych grzbietach. Tuż obok nich różnobarwnemi kręgi połyskiwały ogromne zapasy rozłożonego na ziemi naczyńia glinianego, kamiennego, fajansów. Gospodynie, próbując wybrane sztuki garnków, dzwoniły w nie silnie przy wtórze pisku, jaki wywoływała młodsza generacya Lwowian na glinianych konikach, w białe malowanych kreski, urządza-
jąca improwizowaną serenadę. Wieprzowina, skwiercząca na patelniach, ustawionych przy ogniskach, płonących pod wolnem niebem, drażniła mile powonienie niewybrednych gości tych restauracyi: «pod słońcem» w gwarze lwowskiej nazywanych. Nie pogardzali oni nawet ciepłą wodą, w której gotowały się

mięsiwo lub kielbasa, zwaną pompatycznie rosołem, a tworzącym bezpłatny dodatek do mięsnej potrawy. Czarne, gliniane miseczki i drewniane łyżki nie pierwszej świeżości stanowiły serwis nie kosztowny owych jadłodajni, w których goście biesiadowali stojąc lub też siedząc w kuczki na piasku, pokrywającym całą powierzchnię placu. Za restauracyjnymi straganami ciągnął się szereg budek i kramików, wypełnionych zwykłym, odpustowym towarem. Medaliki miedziane, szkaplerze jaskrawe, obrazki świętych, Pana Jezusa i Matki Bożej, malowane krzykliwemi barwy, w ramach lub bez ram — zajmowały jedną połowę wędrownego kramu, zwiedzającego kolejno wszystkie, ważniejsze odpusty i jarmarki galicyjskie. Druga połowa straganu poświęconą była świeckim błyskotkom. Chwytały więc za oczy przechodniów krasne wstążki, lusterka, oprawne w złoczone, papierowe ramki, lalki drewniane o potwornych twarzach i o kształtach Wenery Hotentockiej, groszowe nożyki, kozikami zwane i mnóstwo innych cacek, na które mieszczuch spogląda z lekceważeniem, zaś naiwny wieśniak z nietajonym zachwytem. Tu też kupiła się dziatwa koło stosów arcyprymitywnych grzechotek, skrzypek z białego drzewa wystruganych, wózków i sprzączek dla lalek, wyrobionych niezbyt zgrabnie, ale silnie i trwale, malowanych w fantastyczne kwiaty, w których dzisiejsi miłośnicy wyrobów krajowego przemysłu odkryliby z pewnością wielce ciekawe dla siebie motywy ludowe.

Na samym środku placu wyróżniał się rząd namiotów pod płóciennym pokryciem, podpiętem w owalne łuki, ozdobnych sosnową wiechą, upstrzoną połączanymi orzechami. Zdała już dolatujący ztąd gwar i odgłos muzyki hucznej, grającej do tańca, zwiastowały profanom, że zbliżają się ku przybytkom Bachusa i Terpsychory. Pito tu i tańczono do upadłego.

Naprzeciw tych głośnych namiotów rozłożyli się z swym słodkim towarem piernikarze z starym Lewickim na czele. Pierniki lwowskie miały z dawien dawna ustaloną sławę, zaś zakupno «juraszka» dla dziatwy było moralnym obowiązkiem każdego, szanującego się ojca rodziny. Wyrabiano już w pier-

wszej połowie naszego wieku pierniki waniliowe, kawowe, pomarańczowe i migdałowe, lecz nowością były u nas pierniki ozdobne, przedstawiające: huzarów z wąsami, dzieciaki w powijkach, koszyki i serca, które pojawiły się po raz pierwszy na jarmarku świętojurskim w roku 1841.

Całą prawą stronę placu zajmowały wozy z towarami, tworzące dwie wąskie ulice. Ktoś nazwał je trafnie: tłustą i ciepłą. W «tłustej» uliczce połyskiwały żółte polcie słoniny, kielbasy zbaraskie tworzyły fantastyczne festony, szperki i boczek budziły pożądlwość biedaków. Żyda w tej stronie nie znalazłeś oczywiście ani na lekarstwo... Natomiast zajadły szwargot starozakonnych przekupniów witał przechodnia u wstępu drugiej przecznicy, zawalonej siekierami, opończami, pasami, czapkami, kozuchami. Przemyślny żydek ubrawszy chłopca w nowy sierak i w czapkę wysoką, baranią, wiódł go do nadtłuczonego lusterka i wykrzykiwał z udanym zachwytem: Patrz Iwanie! Czy ty nie wyglądasz na pana starostę! Zaledwo jednak po długim krzyku i biciu w dłonie na zgodę, interes przyszedł do skutku, gdy biedny Iwan wypchnięty został, nierzadko nawet kułakiem, poza obręb wędrownego magazynu.

Gwar, kurz i tłok na placu świętego Jura były oznakami udałego jarmarku, na który spieszyły nietylko tłumy ludności wiejskiej z okolic Lwowa i przedmieszczan gromady, lecz także poważne liczebnie zastępy miejskiej, wykwintniejszej publiczności. Nie brakło wśród jarmarcznych bud i przybytków ludowej sztuki, jeżeli tem mianem zechcemy nazwać namioty akrobatów, żonglerów oraz innych łamignatów, mieszczących się w pobliżu wozów, przypominających kształtami i rozmiarami arkę Noego.

Od roku 1849 do chwili połączenia Lwowa koleją żelazną z zachodnimi prowincjami monarchii datuje się — jak to już wspomniano — doba najwyższego rozwoju świętojurskich jarmarków, na które poczęli się ściągać kupcy z Wiednia, z Pragi, z Berna. Nie rozbijali oni wprawdzie namiotów pod świętym Jurem, lecz rozkładali swe towary w hotelach: angielskim, (dziś

gmach Kasy oszczędności), Langa (dziś hotel francuski), lub u Żorża. Jedni z pierwszych przybyli w roku 1845 do Lwowa Marcin Heppner, złotnik i Kuttenger, blawatnik wiedeński. W latach następnych, zachęcone rosnącym odbytem, zjeżdżało w tym czasie do Lwowa coraz to liczniejsze grono zamieszkujących kupców. Jarmark świętojurski był niejako prologiem karnawału letniego, gdyż bezpośrednio po nim, z kilkodniową załedwo przerwą, następowały: jarmark świętej Agnieszki, którego ostatnie ślady zachowywały się do niedawnych czasów w postaci kilku bud garncarskich na placu bernardyńskim, kontrakty, wyścigi i jarmark na wełnę, ściągające znaczną ilość ziemian do miasta.

Spieszyli więc do nas w maju i wiedeńscy handlarze płócien Gotlieb i Bajer, współzawodniczący z miejscowymi kupcami niskością cen i dobrocią towarów, wspólnie z Schwarcem z Wiednia i z Seyfertem z Krakowa. Z nad modrego Dunaju przybywał też głośny w swoim czasie F. S. Maschl z wielkim wyborem materij oraz gotowych ubrań męskich. Rywalizowali z nim: Gerson, tytułujący się nadwornym dostawcą dworu berlińskiego, Kapper z Pragi i Sachs z Wrocławia. Sprzedający gotowe ubrania, przywozili nie tylko wykończone już mantylki i płaszczyki dla pań, lub palmerstony i kabany dla panów, lecz także fraki i czamarki, licznym cieszące się odbytem. Ze Lwowa jechali kupcy zagraniczni do Tarnopola, do Ułaskowic, do Czerniowiec, zaś kupcy lwowscy brali również udział w owych wyprawach, opłacających się im sownie pod każdym względem.

Nie dość wszakże na tem. Znaleźli się u nas pomyslowi kupcy korzenni i blawatni, którzy nie pogardzając zarobkiem, nastręczającym się pod Jurem, stawiali tam swe kramy, sprzedając w nich po bardzo niskich cenach towary już niemodne, lub mniej znacznym uległy uszkodzeniom. I ci znajdowali chętnych nabywców wśród biedniejszej klasy ludności.

Z chwilą, gdy szyny kolejowe połączyły nas z zachodem, straciły rację bytu jarmarki galicyjskie w ogólności, a z niemi i jarmark świętojurski.

Za lat dawnych zamknięty był plac świętojurski od strony południowej obszernym parkiem Skrzyńskich, zajmującym całą, zabudowaną dziś w przeważnej części przestrzeń między ulicami Matejki, Technicką i Lipową. Wśród tego parku, łączącego się bezpośrednio z ogrodem pojezuickim, istniała willa Skrzyńskich, budynek jednopiętrowy z obszernymi, bocznymi oficynami i werandami, własność Wincentego Skrzyńskiego. Willa ta służyła za letnią rezydencję arcyksięciu Karolowi Ludwikowi podczas pobytu jego we Lwowie i z wiosną 1895 roku rozebraną została, by ustąpić miejsca nowej budowie. Naprzeciw willi Skrzyńskich wznoszą się ponure mury odebranego Dominikanom klasztoru wraz z kościołem Maryi Magdaleny, przeobrażonego na zakład karny dla kobiet, zaś na gruntach dawniej własność Fredrów stanowiących, rozłożyły się dzisiaj gmachy politechniczne.

Wróćmy jednak na plac Świętojurski, którego połączyć zachodnią tworzą wykończone w roku 1844 zabudowania zakładu wychowawczego Panien Sercanek. Z cichemi murami tego pensjonatu łączy się również legenda, którą w roku 1848 nazwano: najnowszą, by niebawem dojść do przekonania, iż jest ona wierutną bajką. Ofiarą mistyfikacji padło pismo tak poważne, jak redagowany przez Szajnochę Tygodnik polski, w którego szpaltach w ostatnich dniach lipca t. r. pojawił się artykuł p. t. «Najnowsza legenda». Anonimowy autor twierdził w swej opowieści, że zarząd pensjonatu Sercanek odesłał do Paryża pewnej znakomitej damie, Francuzce, w miejsce zmarłej w zakładzie lwowskim jej córki, obcą zupełnie pannę S..., o której rzekomej śmierci zawiadomił rodziców uwiezionę dziewczeczkę tak późno, iż już na pogrzeb zdążyć nie mogli. Samozwanka wyprawiona w towarzystwie jednej z zakonnic nad Sekwaną miała — według opowieści anonima — przyznać się wobec owej znakomitej damy do winy i ojciec panny S... uwiadomiony o miejscu pobytu swego dziecka, pospieszył już odebrać je...» Cała ta powiastka okazała się zmyśleniem, gdyż według świadectwa szanowanego powszechnie lekarza, Michała Wereszczyń-

skiego, zmarła jeszcze w roku 1845 Marya Sokołowska, której śmierć, pierwszy tego rodzaju wypadek w zakładzie, zataiły Sercanki w obec swych uczennic, skończyła na jego ręku... Tak więc «Najnowsza legenda» nie była niczem innem jak bajką, powstałą w mózgownicy anonima zapewne pod wpływem pilnej lektury «Żyda wiecznego».

Zakład Sercanek był ostatnim, znaczniejszym budynkiem, wysuniętym ku zachodniej stronie Lwowa. Za Sercankami rozpoczął się już Nowy Świat, dziś ruchliwa ulica Sapiehy, wówczas pusta przestrzeń, na której tu i ówdzie wśród ogrodów bieleły się przedmiejskie domki. Klasztor Sióstr Opatrzności pod wezwaniem św. Teresy, istniejący w tej ulicy, powstał dopiero w r. 1855 z domu roboczego i cerowni, założonych przez Leonową księżnę Sapieżynę. Za Nowym Światem ostatnie ślady ludzkich siedzib ukazywały się na Bajkach, zamieszkiwanych przeważnie przez murarzy, oraz na folwarku Dominikanów, którzy prócz pól i ogrodów, posiadali tu stawek. Dominikanie lwowscy byli od roku 1848 właścicielami przeważnej części gruntów na Bajkach położonych, których mieszkańcy aż do chwili zniesienia pańszczyzny opłacali klasztorowi czynsze. Jeszcze gorszem pustkowiem była Kastelówka, poprzerynana parowami, które po osuszeniu używano na sianożęcia lub jako ogródki warzywne. Woda, spływająca dnem tych wąwozów, zasilala stawy, zwane: wuleckim i Sobka. Jedyną fabryką w tej stronie była gipsarnia, założona przez Józefa Franca. Wydobywany w tem miejscu gips wypalano i przerabiano na materiał budowlany i na nawóz. W tym też celu istniały tam, prócz małego pieca, młyn poruszany kieratem, oraz wiatrak.

Ku końcowi Nowego Świata istniał od czasów odsieczy wiedeńskiej aż do września 1875 roku cmentarz tak zwany gródecki. Grobowce znamienitych osób, złożonych przed laty w tem miejscu na wieczny spoczynek przeniesiono następnie na cmentarz łyczakowski. Pozostałe pomniki, rozsypują się pomału w gruzy, choć nie brak w ich liczbie i okazalszych monumentów, na grobach Machanów, Nikiszów, oraz innych

rodzin od dawna we Lwowie osiadłych. Wśród starych grobów niewiasta o urnę opartą strzeże mogiły Eugeniusza Ulatowskiego, który uwięziony pod zarzutem współudziału w partyzantce Zaliwskiego, zmarł w roku 1836 skutkiem przebytych w więzieniu katuszy. Ciało jego wśród nocy wywieziono na cmentarz gródecki i dopiero później dłoń życzliwa uczciła grób męczennika pomnikiem. Wiersz, skreślony pod świeżem wrażeniem tego wypadku, (p. t. «Pogrzeb Ulatowskiego»), krążył w swoim czasie w licznych odpisach po całym kraju i mimo mniej udatnej formy wielkie wywołał wrażenie. Stojąca w pośrodku cmentarza kolumna pamiątkowa, wzniesiona przez Ludwikę z Mniszchów Potocką, kasztelanową krakowską w roku 1753, wskazuje miejsce, w którym na dwa lata przedtem odbyła się koronacja cudownego obrazu Matki Boskiej. Szczyt tej kolumny odnowionej w roku 1837 przez mieszczanina lwowskiego, Stanisława Bernackiego, wieńczy złocista korona z sześciopromienną gwiazdą w pośrodku.

Ciągnąca się w kierunku równoległym do cmentarza, ulica Gródecka była z początkiem naszego stolecia nader słabo zaludniona. Stojący do niedawna przy dzisiejszej ulicy Solarni długi, wysoki budynek drewniany, zwany solarnią, był ongi magazynem artyleryjskim. Idąc w dół ku miastu, widzimy obszerne koszary Ferdynanda, w których od kwietnia 1845 r. pomieszczono oddziały piechoty tutejszego garnizonu. Dalszy ciąg ulicy Grodeckiej, od kościoła św. Anny ku miastu, zwie się dziś ulicą Kazimierzowską. Kościół ten, odnowiony dosyć niesmacznie w roku 1853, należał do Augustyanów, których na równi z innymi konwentami dotknął w roku 1783 dekret kasaty. Zabrano im wówczas wcale pokaźną bibliotekę klasztorną, którą wcielono do księgozbioru uniwersyteckiego, a zarazem spieniężono obszerne grunta konwentu, ciągnące się wzdłuż ulicy Janowskiej, na rzecz funduszu religijnego. Obok kościoła św. Anny istniała do roku 1792 rogatka, posunięta później na koniec drogi janowskiej. Posąg św. Jana Nepomucena, ustawiony przed kościołem, datuje się dopiero od r. 1810.

Biorąc w tym miejscu początek ulica Janowska nie przedstawiała żadnych zabytków z przeszłości. Ongi w miejscu realności, oznaczonej nr. 29, istniał kościółek Znalezienia Świątego Krzyża, którego odległość od ratusza miała tyle wynosić, ile oddalenie Golgoty od murów Jerozolimy. Około roku 1625 wzdłuż gościńca Janowskiego istniały stacje Męki Pańskiej. Naprzeciw owego kościółka zwracał uwagę w pierwszej połowie naszego wieku tak zwany dom Kargera, lekarza, odznaczający się cieplarniami, umieszczonymi na pięttrze. Erudyci tej dzielnicy porównywali je z wiszącymi ogrodami Semiramidy.

Tuż w pobliżu istniejący zakład św. Heleny miał do niedawna swą siedzibę przy ulicy Sakramentek, (l. 7) i pozostawał pod opieką Towarzystwa Dam Dobroczynności, związanego jeszcze w r. 1816 za inicjatywą wojewodziny bełskiej, Korduli Potockiej. Nazwę swą zawdzięczał ów instytut prawdopodobnie Helenie ks. Ponińskiej, która wraz z namiestnikową Gołuchowską wielce się przyczyniła do podniesienia tego zakładu.

Od roku 1843 przez pół wieku niemal gościniec Janowski odświętny przedstawiał widok w dniach odbywających się wyścigów na błoniach, w tej stronie otaczających miasto. Ciągnęły wówczas ku janowskiej rogatce i wykwintne pojazdy wielkopańskie, dorożki i fiakry, dryndulki przedmiejskie i tłumy ciekawej gawiedzi, żądne bezpłatnego widowiska, podczas gdy mniej liczne gromadki oczekiwały powrotu wyścigowych gości, tłocząc się po obu stronach ulicy Janowskiej, dla oglądania wspaniałych zaprzęgów, toalet, oraz fizjonomii zwycięzców i zwyciężonych. Dla miłośników wyścigowego sportu nieobojętną będzie może wiadomość, iż Lwów w tej dziedzinie został wyprzedzony przez inne miasta galicyjskie, lubo w swych murach gościł przez długie lata tak zawołanego jeźdźca jak pan pisarz Kazimierz Rzewuski, który po kilka godzin dziennie przepędzał w maneżu, urządzonym przez przedsiębiorcę przejeźdnego cyrku. Współzawodniczył z nim pod tym względem znany pamiętnikarz, szambelan Ochocki, o którym pan pisarz zwykł był się wyrażać:

— Gdybym nie jeździł konno tak, jak jeżdżę, chciałbym konia tak dosiadać jak Ochocki...

Pierwsze publiczne wyścigi odbyły się w Tarnopolu, gdzie w drugiej połowie lipca odprawiały się znaczne niegdyś na kraj cały jarmarki na świętą Annę. Przybywali wówczas do Tarnopola nietylko kupcy lwowscy ale i handlarze rozmaitych towarów z Rosyi i z Mołdawii. Był to czas błogosławiony przez oberżystów, restauratorów, kawiarzy i cukierników, tudzież przez właścicieli domów, którzy chętnie koczowali na strychach, odstępując swe mieszkania przyjezdnym gościom za sutą zapłatą. Nie tylko domy i zajazdy, ale nawet najmniejszy kątek na rynku założone było towarami. W sali zamkowej odbywały się koncerty amatorskie i bale na cele dobroczynne. Wśród gawiedzi na targowicy popisywali się szybkobiegacze, cyrk zaś dawał dwa a czasem i trzy przedstawienia dziennie w przepełnionej po brzegi arenie. Najgorzej na współzawodnictwie z «lamignatami» wychodził zazwyczaj teatr polski, zjeżdżający na ten czas ze Lwowa. Ani Smochowski, ani Dawizon, nie zdolali wywołać takiego entuzjazmu jak pierwszy lepszy kłown lub woltyżerka w cieliste przybrana trykoty... Na jarmarki tarnopolskie sprowadzano mnóstwo koni. W latach 1836 do 1841 liczba przypędzonych koni roboczych, powozowych i wierzchowych dochodziła od dwóch do czterech tysięcy. Najlepiej płacono konie Kajetana Lewickiego z Chorostkowa. Wierzchowiec ujeżdżony szedł w cenie sześciuset zlr., czwórka powozowa kosztowała do tysiąca dwustu zlr. m. k. Znane i cenione były również stajnie Michała Baworowskiego ze Smolanki, Józefa Baworowskiego z Myszkowic i Adama Baworowskiego z Kopeczyniec, tudzież stadniny Józefa Zawadzkiego ze Szlachciniec i Karola Zagórskiego z Kołodziejówki. Sprowadzano też konie z Rosyi, kupcy zaś przybywali głównie z Węgier. Pierwsze wyścigi w Tarnopolu urządził Karol Korytowski, zamożny obywatel, miłośnik wielki i znawca koni. Własnym kosztem przygotował w lecie 1836 roku tor wyścigowy, pobił trybuny, sprowadził muzykę i w dniu 26 lipca t. r.

odbyły się w tem mieście pierwsze wyścigi przy ogromnym natłoku widzów, żadnych tak niezwykłego widoku. Pierwszą nagrodę na torze tarnopolskim w kwocie dziewięciuset złr. m. k. zabrał ogier angielski, «Kenyes», własność porucznika huzarów Wesselynego. Odtąd corocznie odbywały się wyścigi w porze jarmarkowej, przygotowywane przez magistrat miasta.

We Lwowie Towarzystwo poprawy chowu koni i wyścigów konnych zawiązało się dopiero w roku 1843 pod przewodnictwem księcia Władysława Sanguszki. Ułożono statuty, wystawiono *training*, przyjęto trenera Roberta Rothwella i urządzono metę za Janowską rogatką. Akcyonaryuszów było zrazu 68 i w dniu 2 lipca t. r. odbyły się pierwsze wyścigi na lwowskim torze — wśród ulewnego deszczu. Obowiązki stewardów pełnili Edward ks. Lichtenstein i Władysław Rozwadowski. Tor miał kształt owalny i wynosił sto sążni. W pierwszym dniu wyścigów było trzy biegi. W pierwszym biegu; (*Gentleman Riders*) zdobył nagrodę, złożoną ze szpicruta i stawki wszystkich koni «Znicz», kary ogier księcia Władysława Sanguszki, jeżdżony przez hr. Esterhazego. W biegu drugim koni krajowych, urodzonych w Galicyi w roku 1838, pierwszy stanął u mety, (1200 sążni). «Seymour» Dzwonkowskiego, drugi «Claudio» Konstantego Siemieńskiego. Trzeci bieg koni, urodzonych w roku 1839, pozostał nierozstrzygnięty. «Grisette» bowiem Seweryna Drohojowskiego i «Betty» Rozwadowskiego zrównały się tak dalece przy mecie, iż sędziowie orzekli konieczność drugiego biegu, wobec czego Rozwadowski ustąpił a nagroda dostała się Drohojowskiemu. Obfitszym był program drugiego dnia wyścigów, obejmujących wystawę koni urodzonych w roku 1840 tudzież pięć biegów. Z wystawców pierwszą nagrodę wziął Kajetan hr. Lewicki za karego ogiera i otrzymaną sumę 350 złr. przeznaczył na zakupno pucharu na przyszłoroczne wyścigi. Bohaterem dnia był atoli książę Lichtenstein, którego konie zwyciężyły w trzech biegach. Dwie pozostałe nagrody dostały się Antoniemu Myśłowskiemu za «Pioruna» i Oswaldowi hr. Pallaviciniemu, który pierwszy stanął u mety w biegu koni nietre-

nowanych, jeżdżonych przez właścicieli. Mimo deszczu, trybuny były przepełnione paniami, a dokoła toru czerniały tysiączne tłumy ciekawej publiczności. Miasto podczas odbywających się wyścigów wyglądało gdyby wyludnione. Termin lipcowy wyścigów lwowskich nie przeszkodził bynajmniej udaniu się wyścigów w Tarnopolu, które zwykłym trybem odbyły się w dniu 29 lipca t. r. Jako sędziowie wystąpili na tamtejszym torze: ks. Leon Sapieha, feldmarszałek Narboni i hr. Miączyński, w wyścigach zaś biegały konie Mieczysława Gołuchowskiego, Juliusza Dzieduszyckiego, Karola Korytowskiego, Stojowskiego i Józefa Żurakowskiego. Ten ostatni zdobył pierwszą nagrodę w sumie 300 zlr.

Od roku 1843 a zatem od pół wieku z okładem, pozyskały wyścigi konne prawo obywatelstwa w naszej stolicy, gdzie dały również początek istnieniu t. z. Kasyna narodowego, które powstało w roku 1845 pod skromnem pierwotnie mianem biura galicyjskiego Towarzystwa wyścigów konnych. Lokal kasyna mieścił się na pierwszym piętrze gmachu skarbkowskiego teatru od strony głównego zajazdu i prócz obszernego balkonu, obejmował pięć pokoi. W pierwszym pokoju urządzono kancelaryę Towarzystwa, w dalszych zaś salonach ustawiono bilar, stoliki do gazet, kart i szachów, podczas gdy werandę z pomocą kwiatów i krzewów przeobrażono w sztuczny ogród, wśród którego rozbito dwa namioty. Członków kasyna liczyło zrazu dziewięćdziesięciu, przeważnie z grona ziemiańskiego, z generalicyi oraz wyższych urzędników. Mimo, iż charakter tej korporacyi był ściśle towarzyski, to jednak kasyno brało w pierwszych latach swego istnienia żywy udział w sprawach dotyczących podniesienia sceny polskiej we Lwowie. Za inicjatywą Mikołaja Bóloza Antoniewicza, znanego amatora teatru i tłumacza licznych sztuk scenicznych, postanowiło Kasyno w grudniu 1851 roku zaabonować cztery łoża parterowe dla swych członków a nadto uprosiło kilka osób z swego grona, by zachęcały miejscowe domy arystokratyczne do bywania w teatrze. Delegaci kasyna zajęli się żywo powierzoną

im misją tak, iż w lot rozebrano wszystkie miejsca parterowe i pierwszego piętra. W uznaniu tych zasług powołał namiestnik Gołuchowski z grona członków Kasyna Henryka hr. Fredrę do utworzonego świeżo teatralnego komitetu. Zaslugą Kasyna Narodowego było również rozpiśanie pierwszego w naszym mieście konkursu dramatycznego, na sztuki oryginalne i przekłady. Nagroda, rozpisana przez Kasyno w dniu 25 stycznia 1852 roku, przeznaczająca kwotę stu pięćdziesięciu złotych m. k. w srebrze za najlepszą sztukę oryginalną, komedię, dramat lub tragedię, osnutą bądź to na tle historycznem, bądź też społeczną lub salonową. Nagroda za przekład oznaczoną została w kwocie 50 złr. m. k. banknotami. Termin do nadsyłania przekładów ubiegał w dniu 15 marca, dla sztuk oryginalnych z dniem 15 czerwca t. r. Komisję konkursową składali oprócz Stanisława Pilata i Witalisa Smochowskiego, członkowie Kasyna: Mikołaj Bołoz Antoniewicz, Wiktor hr. Baworowski i Henryk hr. Fredro. W ogóle nadesłano na konkurs sztuk trzynaście. Nagrodę za sztukę oryginalną wziął Józef Korzeniowski, autor «Wąsów i Peruki», za przekład Witalis Smochowski, tłumacz «Powiastek królowej Nawary».

Kasyno Narodowe jest najstarszym klubem towarzyskim w naszym mieście.

Powracając z Janowskiego przedmieścia do miasta widziało się dawnymi laty ciągnące się długim rzędem wzdłuż dzisiejszej ulicy Kazimierzowskiej magazyny zbożowe. Ponury dom karny dla mężczyzn wzniesiony został na miejscu dawnego klasztoru panien Brygidek. Po kasacie konwentu w roku 1782 klasztor przerobiono na zakład karny, zaś kościół przeznaczono na więzienną kaplicę. Ztąd nazwa Brygidek na oznaczenie domu karnego, w którego murach obok pospolitych przestępców przebywali niejednokrotnie więźniowie polityczni. Stali mieszkańcy tego gmachu, zbrodniarze z nałogu, czy też z zawodu, posiadają, prócz innych właściwości, swą własną gwarę, której najdawniejszym śladem ma być piosenka o «pocziwym» złodzieju Andrusie, zaczynająca się od słów:

Andrus, Andrus, jaki ty ubogi,
Kiedy ci dziągają manele na nogi!*)

Że złoczyńcy w Polsce posiadali i dawniej za przykładem swych zawodowych towarzyszy w innych krajach europejskich, osobną gwarę, to fakt ten zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości. Dopiero wszakże w roku 1778 zwrócono w Warszawie uwagę na gwarę złodziejską, której istnienie stwierdza współczesna Gazeta Warszawska w setnym czwartym numerze, donosząc o straceniu niejakiego Tomasza K... z Niepołomic, skazanego na śmierć za liczne kradzieże. Przy tej sposobności podała Gazeta kilkanaście wyrazów, jakimi porozumiewali się między sobą złodzieje warszawscy, osadzeni w kaźniach, lub też «przy robocie...»

W literaturze naszej pierwszy zwrócił uwagę na ów żargon zbrodniarski Józef Dierzkowski. W *Kuglarzach* napisanych w roku 1839, osnuł on treść fabuły na stosunkach lwowskich i w rozdziale tejże powieści, zatytułowanym *Szynk pod Krogulcem*, nakreślił z właściwym mu temperamentem wstrętny obraz złodziejskiej nory. W norze tej Lizus, Laufer i Pilnik — (zawodowe pseudonimy) — układają wraz z Kobylą Głową i z Wroną — (takie przydomki noszą damy, przebywające w tem towarzystwie) — plany swych przyszłych wypraw i operacji. Dla dosadniejszego scharakteryzowania tej sceny użył autor *Kuglarzy* w dyalogu kilkunastu wyrazów złodziejskich, a nawet każe jednemu z mistrzów witycha spiewać piosenkę miłosną w tym żargonie.

O ile jednak Dierzkowski przygodnie się tylko zajmował tym przedmiotem, o tyle zasłużony bibliograf, dr. Karol Estreicher, poświęcił gwarze złodziejskiej wcale wyczerpujące studium, które zamieścił w tygodniowym dodatku do *Gazety Lwowskiej*, w «*Rozmaitościach*» z roku 1859. W rozprawie tej, ogłoszonej pod tytułem: «*Język złoczyńców*», zebrał dr. Estreicher, podówczas jeszcze sędzia w naszym mieście, około czte-

*) Dziagać manele, znaczy: zakładać kajdany.

rysta wyrazów, używanych w języku więziennym w Warszawie, we Lwowie i w Krakowie. Przy tej sposobności zauważył zasłużony badacz pewną ciągłość w tworzeniu się tej gwary, która w niektórych wyrażeniach powtarza się we wszystkich trzech, powyżej wymienionych miejscowościach. I tak naprzykład wyraz: andrus oznaczał zarówno we Lwowie, jak w Krakowie i w Warszawie, każdego w ogóle złoczyńcę, podczas gdy na określenia pojęcia: złodziej, były w użyciu aż trzy wyrażenia: buchacz, labun, szawron.

Niektóre wyrazy tego żargonu są wręcz niewiadomego pochodzenia, jak naprzykład binia (dziewka), gawruk (gospodarz), dula wa (fajka), lub też powstały w przystępie dobrego humoru twórców tej gwary, jak naprzykład: ojojek (lekarz). Bardzo też często zapożyczali się złoczyńcy z obcych języków, nadając wszakże pochwyconym przez siebie wyrazom odmienne znaczenie. I tak: lamur (*l'amour*) oznaczał urzędnika bezpieczeństwa, bransolety (kajdany), klawisze (klucze), granda (wielki rozbój), prokurator (wytrawny złodziej). Inne znów wyrażenia miały ściśle lokalne znaczenie. Tak wyraz: bąk oznaczał w Krakowie kryminal, w Warszawie zaś lichwiarza. Podobnie pajakiem we Lwowie nazywał się policyant, podczas gdy w Warszawie słowo to oznaczało koszulę. Tak przedstawiało się w najogólniejszym zarysie cenne studium dr. Estreichera, zaopatrzone odpowiednim słowniczkiem. Dykcjonarz ten wydano w jakiś czas później w Stanisławowie dla użytku organów bezpieczeństwa.

Uzupełnieniem pracy dr. Estreichera jest rozprawa księdza Henryka Felsztyńskiego, Lwowianina, zachowana w zbiorze rękopisów Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Tytuł jej: Wiadomość o języku Bosańskim w Galicyi, datą powstania okres czasu między rokiem 1861—1863. Według księdza Felsztyńskiego, nazwa Bosanie pochodzi od legendarnej postaci bandyty Bosana, złodzieje zaś ówcześni zwali swój język bosańskim lub lemberskim (lwowskim). Co do wywodów etymologicznych zgadzał się ksiądz Felsztyński z dr.

Estreicherem, którego dykeyonarz pod pewnymi względami uzupełnił. Dla próby przytaczamy kilka wyrazów przez niego podanych: kumać (rozumieć), zitać (mówić), chatrak (rewizor), kwacz (areszt), bnać (iść), budować wystawkę (uciekać). Najobfitsze wszakże znaczenie zdawał się posiadać wyraz klawy, (dobry, piękny, wielki, nowy, wytworny).

Jak ongi mieszkańcy klasycznej Romy, dzielili Bosanie noc na trzy wigilie, zabywanki. Pierwsza «zabywanka» obejmowała czas między godziną szóstą a ósmą wieczorem, druga od godziny ósmej do dziesiątej, trzecia od dziesiątej do północy. W Stanisławowie — jak twierdził ks. Felsztyński — odrębna panowała gwara. Księżyc u tamtejszych rycerzy łatwego przemyśłu nie nazywał się wojtkiem, jak we Lwowie, lecz łysym; osobny też język był w użyciu między hultajami mojżeszowego wyznania. Wśród przydomków, jakimi Bosanie wzajemnie się oznaczali, najbardziej przyzwoicie brzmiały stosunkowo nazwy: Żabie oczko, Wściekły pieprzyk, Baranie jajko... Wtajemniczego zwali Bosanie blatem lub blatnym, profana frajerem. Lecz do pozyskania zaufania «kolegów» nie wystarczała znajomość gwary. Trzeba było nadto znać hasła, które się zmieniały co soboty, a zazwyczaj oznaczały jakiś budynek w mieście. W swoim czasie gmach popijarski, mieszczący w sobie szpital dla obłąkanych, zwał się w bosańskim języku: Wysokie okna. Pobałować na wysokie okna, znaczyło dostać się do czubków. Kto jednak dla ciekawości lub przypadkowo zabłąkał się do nor złodziejskich na Sieniawszczyźnie, nie znając hasła, ten co rychlej musiał nogi za pas zabierać, czyli budować wystawkę...

W rozprawce księdza Felsztyńskiego znajduje się też próbka poezji bosańskiej, z której na przytoczenie zasługuje następująca zwrotka:

*Bnaje binia wedle kwaczu,
Dzień klawy ci mój buchaczu,
Dzień klawy ci gustowany,
Mniasz helich pobuchany,*

*Klawo chiżysz, klawo troisz
A o binię nic nie stoisz.*

(Idzie dziewczyna koło aresztu,
Dzień dobry ci mój złodzieju,
Dzień dobry ci mój kochany,
Masz pieniądz kradziony,
Dobrze pijasz, dobrze jadasz,
A o dziewczynę nie dbasz).

Tuż do przybytku Bosanów przypierała popularna Szafówka, dobrze znana nierzetelnym dłużnikom, gdyż w tej rzeczywistości mieścił się areszt za długi, zaś naprzeciw, w miejscu dzisiejszej rzeczywistości, oznaczonej l. 33, wznosiła się rozebrana w roku 1802 cerkiew Błahowiszczenia.

Od św. Anny rozpoczyna się dzielnica żydowska. Granice jej znaczne są nie tylko dla oka ale i dla powonienia. Kto jednak pragnął świeższem odetchnąć powietrzem, mógł je znaleźć rychło, zboczywszy od kościoła na prawo, dzisiejszą drogą Kleparowską, wiodącą ku domowi inwalidów oraz ku Kortumówce.

Miedzy ulicą Kleparowską a domem inwalidów, po lewej stronie drogi, wznosi się puste, niezbyt wysokie wzgórze. Jest to tak zwana góra tracenia, na którym to miejscu już od początku ośmnastego wieku odbywały się egzekucye przestępców osądzonych na karę śmierci. W ostatnich latach przed rewindykacją Galicyi tracono na tem wzgórzu hersztów hajdamackich rozruchów na Ukrainie, których wraz z całemi partjami zbuntowanej czerni, przysełano do Lwowa celem, zbadania sprawy i ukarania winnych przez sądy doraźne. Dla Lwowian stało się owe miejsce pamiątkowem od chwili, gdy w dniu trzydziestym pierwszym lipca 1847 r. powieszono na górze tracenia Teofila Wiśniowskiego i Józefa Kapuścińskiego. Pierwszy skazany został na śmierć jako winny zbrodni zdrady stanu, podczas gdy Kapuścińskiemu, zarzucono nadto zbrodnię morderstwa, popełnionego na osobie Kaspra Markla, burmistrza pilzneńskiego. Obaj zostali aresztowani wespół z innymi uczestnikami rewolucyi lutowej, bezpośrednio po krwawych wypadkach tego roku, lecz

śledztwo trwało przez kilkanaście miesięcy, zanim zapadł wyrok skazujący, który utrzymywano w najściślejszej tajemnicy. Przeciwnie, głoszone w sferach oficjalnych, że podążający do Lwowa nowy gubernator, Franciszek hr. Stadion, wiezie z sobą ogólną amnestję. Dopiero w dniu dwudziestym ósmym lipca odczytano obu skazanym wyrok, a w trzy dni później, o godzinie szóstej rano, wywieziono Wiśniowskiego i Kapuścińskiego tylną furką z pokarmelickiego gmachu na miejsce kaźni. Mimo tego podstępny, plac Bernardyński, Podwale i Krakowskie przedmieście przepełnione były ludem, który przedzierając się przez szeregi eskorty rzucał kwiaty na wóz straceńców. Wiśniowski zginął z okrzykiem: Niech żyje Polska! któremu przywodził Kapuściński wołając: Bracia! Nie dajcie się odstraszyć śmiercią mo... — resztę już nie domówił. Do wieczora ciała straconych wisiały na szubienicy. Rysy ich twarzy nie uległy żadnej zmianie. Ukradkiem tylko przybywali pod stopy szubienicy patryoci, by pomodlić się za dusze straconych. Nie brakło wśród nich i żydów. Wieczorem zdjęto zwłoki i wrzuciono do przygotowanego na górze dołu, napełnionego niegaszonym wapnem. W tydzień później pospieszył liczny zastęp mieszkańców na górę tracenia, by uczcić pamięć męczenników wspólną modlitwą, ale wojsko rozprędziło zgromadzonych. Toż samo w dniu 26 kwietnia 1848 roku policja nie dopuściła do odprawienia nabożeństwa w tem miejscu, a wojsko z okrzykiem: *Weg mit dem Plunder!* rozebrało do połowy już wznie-siony ołtarz. Cichemi modły uczczono też pierwszą rocznicę stracenia obu męczenników. Dla uniknienia starcia z załogą, którą skonsygnował rząd w koszarach, wzgórze strzeżone było od rana przez gwardyę narodową, utrzymującą wzorowy porządek wśród tłumów, zasypujących stosami kwiatów miejsce narodowej żałoby. Na górze tracenia nie było żadnego przemówienia, lecz już w przeddzień rocznicy uczcił pamięć obu straconych Józef Dzierzkowski świetną mową, wygłoszoną na uroczystem posiedzeniu Rady Narodowej, zaś w dniu żałoby odprawiono msze za ich dusze we wszystkich kościołach lwo-

wskich. Wówczas też powstała myśl wmurowania tablicy pamiątkowej z odpowiednim napisem w ścianę Dominikańskiego kościoła. Do spełnienia tego zamiaru nie przyszło i dopiero w lipcu 1895 roku wzniosło mieszczaństwo lwowskie na górze tracenia skromny obelisk, poświęcony pamięci Wiśniowskiego.

Na pomniku tym, którego szczyt wieńczy orzeł z rozpostartymi skrzydłami, widnieje napis następujący :

*TEOFILOWI WIŚNIEWSKIEMU,
straconemu na tem miejscu
dnia 31. lipca 1847 roku
za wolność ojczyzny
mieszczaństwo lwowskie
1895.*

Zbudowany opodal dom inwalidów jest budową nowszą, gdyż powstał dopiero w latach 1855—1863. Natomiast lasek, założony przez Ernesta Kortuma, radcę gubernialnego, zmarłego w roku 1811, cieszył się przez długie lata liczną frekwencją publiczności, służąc zarazem jako miejsce doświadczeń dla instytutu ogrodniczego. Z altany, wznoszącej się na szczycie wzgórza, roztaczał się przepyszny widok na miasto i okolicę zaś wśród sosen, brzoź i wierzb płaczących istniał w dolinie grobowiec Kortumowej.

Posiadłość Kortuma składała się z dwóch folwarków. Mniejszy, przewany przez założyciela «Friderikenhof», jest właśnie w mowie będącą Kortumówką. Prócz piętrowego domu mieszkalnego, budynków gospodarczych i kilkunastu morgów ornego pola, główną ozdobę tego ustronia przedstawiał wielki ogród owocowy i spacerowy, z oranżeryami oraz z małą winnicą. W ogrodzie tym z chwilą śmierci założyciela liczono 2.233 drzew owocowych. Do Kortumówki należały też kamieniołom, lasek, oraz dwadzieścia trzy dni pańszczyzny rocznie, odbieranej przez czterech poddanych. Drugi folwark Kortuma, złożony z stu niespełna morgów ornej ziemi, leżał za rogatkami Janowskiemi.

Powróciwszy tą samą drogą w otchłań lwowskiego *Ghetta*

niepodobna oprzeć się reminiscencji, iż nie tak dawno jeszcze w miejscu dzisiejszych uliczek: św. Stanisława, Rzeźnickiej i Furmańskiej, tworzących stek brudu i niezdrowych wyziewów, rozciągały się ogrody. Były one własnością szpitala, założonego w drugiej połowie piętnastego wieku pod wezwaniem tego świętego a przeznaczonego dla trędowatych... Po zniesieniu tego zakładu i przeniesieniu chorych do szpitala św. Łazarza, nosił się rząd w roku 1794 z myślą przeznaczenia kaplicy szpitalnej dla gminy grecko-wschodniego obrządku. Niebawem jednak odstąpiono od tej myśli. W październiku t. r. wystawiono kaplicę oraz szpital z ogrodem na licytację. Pierwszą nabył niejaki Orłowski za niespełną tysiąc zł., drugi kupił gmina miasta Lwowa. W dawnym budynku szpitalnym mieściły się przez długie lata areszty policyjne, później strażnica ogniowa.

Dzisiejszy plac Krakowski mniej może był zabudowany w pierwszej połowie naszego wieku, ale czystością i wówczas nie grzeszył. Minąwszy kościół P. Maryi Śnieżnej wraz z statuą Matki Bożej, ustawioną przed świątynią, a przeniesioną w to miejsce ze zniesionego kościoła Misyonarzy, stajemy na starym rynku, w którym niestety żadnych nie znajdujemy zabytków z przeszłości. Nawet kościółek św. Jana, według tradycji najstarsza świątynia we Lwowie, nie zachował w swem wnętrzu żadnej cenniejszej pamiątki. Stawał się on kilkakrotnie ofiarą płomieni i ostatecznie zgorzał do szczytu w roku 1799. Odbudowany, restaurowany był już dwukrotnie w naszym stolecu, w latach 1855 i 1869. Wznoszący się opodal klasztor pomisyonarski służy dziś za więzienie garnizonowe, zaś dawniej nosił nazwę Małych Koszar, (Zamarstynowska 9), dla odróżnienia od Wielkich Koszar, wzniesionych w miejscu dawnego, ormiańskiego kościoła św. Krzyża. I Małe Koszary smutną cieszą się tradycją w pamięci Lwowian, dawniej bowiem służyły niejednokrotnie jako więzienie dla przestępców stanu. Na przyległym placu, (Misyonarskim), rozłożyła się tandeta. Pierwotna rezydencya przekupniów starzyzny była mniej odległą od śródmieścia, gdyż budki i kramy tandeciarskie stały na pustym

dziś placu św. Teodora, nazwanym tak od cerkwi, istniejącej w tem miejscu do roku 1800 i następnie rozebranej. Atoli w nocy z piętnastego na szesnastego marca 1864 roku stara — jak ją nazwano — tandeta padła ofiarą pożaru. Spłonęły, prócz trzydziestu trzech kramów, także dwa domy mieszkalne, a płomienie poczęły już lizać wieżę monasteru bazylińskiego św. Onufrego, który z najwyższym jeno wysiłkiem zdołano ocalić. W monasterze tym, najstarszym z istniejących, musieli też znaleźć przytułek czerńcy z monasteru, istniejącego przy świętojurskiej cerkwi do roku 1817. Usunięto ich, by wzniesć budynek mieszkalny dla kanoników i na pomieszczenie biur konsystoryalnych służący.

Prócz monasteru św. Onufrego, posiadali jeszcze Bazylianie na Żółkiewskim przedmieściu monaster i cerkiew św. Jana Ewangelisty przy dzisiejszej ulicy Zamkowej. Własnością tego konwentu, zniesionego w roku 1784, miała być cała kottlina, wśród której widzimy dziś ogród, browar i stawy spadkobierców Kiselki. Cerkiew św. Jana rozebrano dopiero w roku 1809. W miejscu jej stoi obecnie pod sklepioną altaną pomalowane jaskrawo popiersie św. Jana Ewangelisty.

U stóp tej kapliczki zarosły drzewami istnieje dawny cmentarzyk, tak zwana Paparówka, założony podobno podczas wielkiego moru, który nawiedził Lwów za panowania Jana Kazimierza. Cmentarz ten rozszerzono w roku 1817 przez zakupno sąsiednich gruntów lecz przestano grzebać zmarłych w tem miejscu już w r. 1856. W roku 1869 część terytorium cmentarnego zabraną została pod budowę kolei, łączącej Lwów z Podwołoczyskami, zaś wiele pomników wywieziono w owym czasie na cmentarze: Łyczakowski i Gródecki.

Obok dawnego cmentarza, t. zw. Paparówki, powróćmy na gościniec Żółkiewski, który przed rewindykacją nazywał się drogą wołyńską.

Tuż za rogatką, po prawej stronie, widzimy okazały budynek, zwany pałacem, a służący dziś w znacznej części za restaurację letnią. Jest to dawny pałac Cieleckich, nabyty na-

stępnie przez żydów, później własność Łaszowskich i Baczewskich. W pałacu tym miały istnieć ongi freski, dziś już zupełnie zniszczone, zaś czarne złomy marmuru, zdobiące obecnie kaplicę Baczewskich na Łyczakowskim cmentarzu, pochodzą z olbrzymich kominków, zniszczonych lub zamurowanych przez poprzednich właścicieli tego budynku.

Za cerkwią św. Praksedy, (Piatnica), przy ulicy Balonowej, wznosił się po lewej stronie trzeci jeszcze klasztor bazylianński na tem przedmieściu. Był to monaster żeński, zajmowany przez czernice i rozebrany również w roku 1809. Z Bazylianami współzawodniczyli pod względem liczby kościołów w tej dzielnicy miasta Ormianie, którzy, prócz wspomnianego już kościoła św. Krzyża, posiadali jeszcze kościółek św. Anny z klasztorem zakonników reguły św. Antoniego (w miejscu, gdzie dziś realność, oznaczona liczbą 42 przy ulicy Żółkiewskiej), oraz kościółek św. Jakóba bliżej pod górą zamkową położony. Kościół św. Anny był bardzo bogaty skutkiem legatów, czynionych przez zamożnych Ormian.

Prócz gotowizny, przekazanej następnie Bankowi «Pii Montis», były tam bogate aparaty i sprzęty kościelne, które wszakże przemysłni przybysze z pod Araratu wczas jeszcze uprzątnęli, zanim komisya rządowa, znosząca klasztory w roku 1784, zdołała przybyć na miejsce. Na pytanie urzędników, co się stało z skarbcem kościelnym, odpowiedzieli prowizorowie tego kościoła, że «to dyabeł wszystko ze złości zniszczył», (*dass der Teufel aus Bössmuth das alles vernichtet habe*). Tak przynajmniej opiewa urzędowa relacya cyrkułu lwowskiego, przedłożona w dniu 11. października 1784 roku do gubernium... Grunt kościelny pozostawiono na własność kapitulie ormiańskiej, która uprzątnąwszy lepiej zachowane nagrobki, umieszczone dziś przed kościołem katedralnym, sprzedała cały ten obszar w r. 1791 niejakiemu Neuhoferowi. Nieruchomość owa zmieniła kilku właścicieli. W roku 1792 nabywcą tego gruntu był Jan Karpf, zwany popularnie na dzielnicy trzeciej Kasperkiem. On to wybudował na miejscu dawnego kościoła browar, posługując

się przy budowie pozostałym tutaj materiałem. Wiele nagrobków poszło wówczas pod fundamenty browaru, prowadzonego w tem miejscu do r. 1840, w którym to czasie browar przerobiono na dom mieszkalny i łaźnię, dziś jeszcze służącą do użytku publicznego.

Przedmieście żółkiewskie było pierwotną siedzibą ogrodników. Przy dzisiejszej ulicy Zborowskich mieściły się z początkiem tego wieku zakłady ogrodnicze Schneidera i Geislera, podczas gdy Stincing oraz inni, pośledniejsi ogrodnicy, produkujący przeważnie warzywo, usadowili się przy ulicy Zamarstynowskiej. Nie mając żadnej konkurencyi, zarabiali ówcześni ogrodnicy lwowscy bardzo wiele, lecz już w drugim pokoleniu firmy ich i fortuny poszły w ruinę. Miejsce ich zajęli krajowcy.

Na tem kończą się przechadzki po Lwowie, mające na celu przedstawienie, o ile możności, dokładnego obrazu miasta z czasów jego przeobrażenia się z średniowiecznego grodu w nowoczesną stolicę kraju. Był ten Lwów i mniejszy i bardziej zaniedbany od miasta naszych czasów. A jednak wśród starszego zwłaszcza pokolenia Lwowian znajdują się nieochybnie ludzie, wspominający z szczerem zadowoleniem i wązkie uliczki śródmieścia i bruk ohydny i światło naftowe po ulicach. Nie dziwić się tym zacofańcom. Wspomnienia młodości ozłacają im szary, mglisty już w pamięci obraz dawnego Lwowa, który wydaje się dla nich piękniejszym, bogatszym, weselszym od dzisiejszego miasta. I nas podobny los czeka...

